

Jeleńska Emma

OBRĄCZKA

powieść

Jestem starą, zupełnie już starą kobietą. Życie moje skończone — już mię nic spotkać nie może — oprócz śmierci. Gdy zaś ona przyjdzie, powiem: Bądź błogosławiona!

Tymczasem jednak żyję, i to moje żelazne zdrowie każe przypuszczać, iż długo jeszcze żyć będę. Tak jestem silną, że kamienie przy drodze mogłabym rozbijać — a gdybym miała wnuki, tobym je nosiła na rękach i huśtała wysoko — wysoko...

Ale nie mam wnuków. Nie mam nikogo na świecie — nikogo i nic. Bo wszystko com, miała najlepszego, tom rozdała, rozdarowała, poświęciła...

Dzisiaj usiadłam przy kominku nad stosem gazet i tygodników. Miałam zamiar spokojnie wieczór spędzić na ich przeglądaniu. Oparłam nogi o stółek, poprawiłam ogień, przysunęłam lampę i otworzyłam pierwszą z brzegu gazetę. Cicho było ciepło — przytulnie w tym moim saloniku wypełnionym ładnymi sprzętami. Firanki były spuszczone i tylko czasem z

za okien dochodziło wycie jesiennej nocy — takie przeciągłe,
smutne wycie, jakby
dusz potępionych a błagających zmiłowania. Ale

do mnie nie dochodziło ani zimno ani wiatr i mogłam siedzieć
spokojnie w ciepłe
i w ciszy, wtulona w miękki fotel. Wszakże tak siedzę co
wieczór i nie słyszę i
słuchać nie chcę wycia tego wiatru — czy tych potępieńców.
A dziś nie mogłam. Zdawało mi się, że oni tam do mnie
mówią, że mnie wołają po
imieniu, że dla mnie tu przyszli gromadą, że się zlecieli tu po
mnie i chcą
unieść mnie z sobą — porwać i unieść. A potem, zdało mi się,
że lecę z nimi
razem, że spuszczone ze smyczy duch mój hula tam w
przestrzeni i goni z wichrem,
i pławi się w śnieżnej zamieci, i wyje rozpaczliwą,
niewymowną pieśń swą, tę, co
miała być pieśnią radości i potęgi, tę pieśń za życia zaczęta i
urwaną, a teraz
zmienioną w zgrzyt. Zdało mi się, że te wszystkie zmije i
zmijki, co zwykle,
zwinęte w kłębek, śpią cicho na dnie mej istoty, że się naraz
wyprężyły,
wysunęły głowy jadowite, że im skrzydła wyrosły i że
poleciały w ciemną noc z
gwizdem, z sykiem i wyciem. Poleciały ze skargą, poleciały z
gniewem i z buntem.

Walał w świat biczem swojego gniewu, rozdzierają
przestrzenie sykiem i krzykiem,
chcą bić, rozbijać, drzeć, szarpać i łkać, i żalić się, i jęczeć, i
świat cały
poruszyć swym jękiem — i mścić się... — i mścić się...
Babo stara, co siedzisz pod piecem — co się dzisiaj stało?
Bunt? A to paradne!
Ty, którą wielki wóz Dżagernauty zmiażdżył już dawno, ty,
coś się sama przecie i
dobrowolnie podeń rzucała, ty, coś palec w złotą obręcz kładła
i kajdany brała
na

siebie z uśmiechem, ty, którą Los włożył wcześniej do
życiowego mózdzierza i
usilnie tłuczkiem swym ścierał na proch, tłukł na miazgę, ty
jeszcze masz coś w
sobie? Jeszcze tam jakiś duch — i to duch wolny — kołacze
się w tobie? i łeb
podnosi — i w taką jesienną noc hasa po świecie — i woła o
sprawiedliwość?...

Ach, babo stara! nie bądź-że śmieszna! Pilnuj swoich
reumatyzmów i wytrzepuj
pacierze. To jedyne właściwe dla ciebie zajęcie. Daj pokój
głupim buntom. Nie
ciebie pierwszą, nie ciebie ostatnią zmiażdżyło życie. Po to
ono jest przecie,
aby miażdżyć, gnieść, z dusz i ciał robić sobie klepisko —
dobrze ubitą szosę,
po której się toczy naprzód. Po to ono jest przecie... Czyś się o
tem jeszcze

nie przekonała?

Tak, bywam śmieszna czasami. Ot i dzisiaj, zamiast czytać sobie spokojnie i grzać stare kości przy kominku, takie hece wymyślać! niema sensu!

I to mówią, że na starość uczucia tępieją! Ach! nieprawda!

Ot i teraz, od pewnego czasu chwyta mnie chęć opisanie swego życia. Wiem, że to

wyskok jakiś niepotrzebny. A przytem... moja przysięga...

Złamać przysięgę? A

cóż? Komuż to zaszkodzi? Wtedy było co innego. Ale teraz.

Wszakże dla siebie

tylko pisać zamierzam. Tak, tylko dla siebie. Wiem, że

«interesującą» być nie

mogę dla nikogo. Naprawdę, to nigdy «interesującą» nie

byłam, nawet wtedy, gdy

miałam oczy «jak płatki burzli-

wego nieba», a włosy «jak bogate runo rdzawego złota» a cała
byłam «liljowa i

świeża, zasłuchana w grające gdzieś w duszy melodye». Ach,
biedny, dobry

Wiktorze! Tyś jeden poetyzował mnie czasami. Ale i tyś mię
nie znał do gruntu.

Właściwie, czy może dusza jednego człowieka być do gruntu
poznana przez

drugiego? Zdaje mi się, że nie. Bo to, co w nas jest najbardziej
doniosłe —

wszelkie narodziny i wszelkie zamierania — to się odbywa w
ciszy, w ciemności i

w milczeniu.

Moja dusza, bardziej jeszcze od innych, zasnuła się ciemnością i milczeniem.

Tego, co się w niej działo, żadne ludzkie oko nie dostrzegło nigdy. Do jej

zaklętych pałaców nie weszła nigdy żadna druga dusza.

Bo któżby tam się o to starał i zaprzętał sobie głowę takimi rzeczami. Dobrze to

jako środek do flirtu z interesującymi kobietami.

A ja interesującą nie byłam bodaj nigdy.

Nie znałam matki wcale. Umarła, kiedy byłam malutka i pamiętać jej nie mogłam.

Edzio, o cztery lata odemnie starszy, imponował mi zawsze przez to, że «mamę widział».

Rosłam, przez nikogo nie kochana. Bo ojciec zaledwie wiedział o moim istnieniu

dopóki byłam brzydkim i niezgrabnym dzieckiem i dopiero gdy, około lat

szesnastu, rozwinęłam się w świeżą i dość zgrabną

dziewczynę, spostrzegł moją

obecność i zaczął mną się zajmować i zachwycać. Pamiętam, że brał moją rękę,

gładził ją, pieścił, patrzył w moje

oczy, dotykał włosów, kazał przechadzać się po pokoju i powtarzał, oblizując

swoje wydatne wargi: «No, wcale... wcale»... Oświadczył, że się już uczyć nie

potrzebuje, odprawił nauczycielki i pojechał zenną najprzód na bardzo huczne

wesele mojej kuzynki, a potem na karnawał do Warszawy. Śmieszne to było, owo karnawałowanie w szesnastym roku życia i wyobrażam sobie, że być musiałam przedmiotem drwin całego towarzystwa. Nie rozbawiłam się wcale.

Ale za to ojciec, którego serce i fantazyja pozostały młodem, bawił się wyśmienicie, nie ustępując w niczem złotej młodzieży, robił długi, flirtował na prawo i na lewo i używał, co się zmieściło.

Ów karnawał odniósł wręcz przeciwny skutek, niż to było w zamiarach ojca. Ja miałam świetnie i bogato wydać się za męża, moja przyszłość miała być ustaloną i dzieło uwieńczone.

Stało się jednak całkiem inaczej. Nie wiem, czy kto na serio pomyślał o żenieniu się ze mną, ale ja stanowczą powzięłam odrazę do małżeństwa. Widok panien na wydaniu, matek szukających zięciów, głuchej walki, toczącej się dokoła każdej grubszej ryby, zawiści, plotek, dyplomatycznych zabiegów, kłótni, zamaskowanych słodkimi uśmiechami, fałszów i kłamstw, widok suffizancyi tych, którzy się czuli pożądanymi, ich pewność siebie, ich kompletne odrzucanie na bok serca i sympatii, a najbardziej może same panny z ich robioną naiwnością, płytkie, banalne a interesowane te panny, których jedynym celem i pragnieniem było okazać

się dobrym towarem na rynku małżeńskim, które, gdy mówiły
o najświętszych
rzeczach, to z takim właśnie uśmiechem, z jakim wiedziały, że
im jest do twarzy,
to wszystko razem wzbudziło we mnie obrzydzenie, wstręt i
poraz pierwszy w
życiu, niestety, nie ostatni! — wściekły bunt.
Ta zima w Warszawie nauczyła mię bardzo wiele. Odrazu
dojrzałam i zmadrzałam. W
naszych zapadłych Lubiniewiczach, ślęcząc nad książkami, w
samotnych marzeniach
i rozmyślaniach, zdążyłam już sobie wyrobić pewne sądy,
pewne ideały, które mi
się wydawały niewzruszonymi. O miłości zwłaszcza myślałam
wiele, wertując bez
wyboru wszelkie romanse, co mi w rękę wpadły i wyrobiłam
sobie o niej pojęcie
tak wzniosłe, tak szczytne, że potem widok płytkich i
interesowanych zabiegów
karnawałowych przejął mię oburzeniem. O ludzkiej
swobodzie, o kobiecej godności,
o potrzebie walki z przesądami, o wyzwoleniu się z więzów
niesłusznych, o tem
wszystkiem myślałam często i głęboko.
Tu zaś spotkałam mnóstwo starszych odemnie kobiet, dla
których owe wielkie
kwestye były obcemi zupełnie. Żyły one jak ładne i syte
papużki, które nauczono
wymawiać słowa: cnota, religia, ojczyzna, miłosierdzie,
miłość, grzech,
obowiązek, dusza, ale które znaczenia tych słów nie rozumiały
wcale. Skakały one

po pręcikach swej klatki, muskały piórka i ćwirkały
przyjemnie, jadły, piły,
kręciły główkami, a potem łączyły się w pary, przenosiły

się do innej klatki, gdzie w dalszym ciągu mogły sobie
ćwirkać i skakać.

I takimi były kobiety dziś. Dziś, gdy się otwierały przed
niemi tak wspaniałe
drogi, gdy mogły iść, walczyć, zdobywać, wstępować na
najwyższe szczyty i żyć
pełnią życia i ducha.

Nie! Ja się przynajmniej do tych złotych klatek nie dam
zamknąć, ja w tę
małżeńską niewolę się nie wprzęgnę, takiej miłości nie chcę i
tych ludzi nie
chcę, tych samolubów i zjadaczy chleba, i tego świata nie
chcę, ani jego fałszu,
ani jego komedyi, ani tych praw, ani tego szablonu, ani tych
więzów. — Nie chcę.

Ja chcę być wolną, być człowiekiem, być działającym kołem
w maszynie tego świata

i iść, chociażby przebojem, naprzód ku wiedzy, ku światłu.

Porzucę to wszystko, wyzwolę się — i pójdę w świat.

Wiedziałałam z częstych narzekań ojca, iż matka moja zostawiła
testament, którym

swój posąg zapisała Edziowi i mnie, ale z tem zastrzeżeniem,
że tylko procenty

będą wypłacane tymczasem ojcu, a po naszym dojściu do
ośmnastu lat, nam samym.

Kapitał zaś dopiero w dwudziestym piątym roku życia
mieliśmy prawo podnieść. Nad

tym funduszem czuwał wuj Biniński, brat matki i pomimo
niejednokrotnych usiłowań
ojca, święcie wykonywał zlecenie. Edzio pobierał już procenty
od swojej części,
co mu też umożliwiło wyjazd do wyższego zakładu
naukowego.

Ja postanowiłam doczekać lat ośmnastu, wziąć pieniądze i
zrobić to samo.
Myśl ta skryształizowała się we mnie ostatecznie podczas
owego karnawału
warszawskiego.
Wróciwszy, potrafiłam sobie zdobyć programy, książki, nawet
nauczyciela do
potrzebnych mi przedmiotów. Naturalnie, musiałam zdobywać
to przebiegłością i
sprytem kobiecym, wmawiając ojcu, że to damskie fantazyje,
że ja się na wsi
nudzę, że matematyka mnie bawi i tym podobne głupstwa. Ale
raz mając wszystko,
czego mi było potrzeba, zatopiłam się w pracy z tą jedyną
myślą: zdać egzamin i
dostać gimnazjalną maturę.
Gdy wspominam teraz te minione lata, widzę, że nieraz
dążenie jest szczęściem
większym, niż posiadanie.
Jak ja się czułam szczęśliwą wtedy! Jak ja przyszłość swą
widziałam w jasnych,
promiennych barwach!
Zwłaszcza była jedna chwila w dniu, najmiłsza ze wszystkich.
Po kolacyi na dole

— lekcye już umiałam na dzień następny doskonale —
mówiłam ojcu dobranoc,
zostawiałam go z Niemką, Matyldą, która mu zaczynała
czytać gazety, zamykałam za
niemi drzwi i szłam do siebie na górę. Już to zamknięcie drzwi
za niemi
sprawiało mi niewymowną rozkosz. Oddzielałam się od
wszystkiego co było płytkie,
ciasne i nudne, wyzwalalam się z wszelkiej władzy i kontroli.
Byłam panią swej
istoty aż do dnia następnego. Oni zapadali się dla

mnie w głąb, nie chciałam o nich ani myśleć, ani wiedzieć.
Byłam sama — i wolna.
Otrząsałam proch ze stóp moich i szybko wbiegałam na
ciemne schody.
Ach, to pędzenie w górę przez ciemność! Jeszcze dziś czuję to
bicie serca
radosne! Potem stawałam w balkonowym oknie i patrzyłam w
noc. Zatem wstępowałam
na balkon i brałam w siebie wyziewy zroszonej ziemi. I to
była chwila, gdy we
mnie coś roztwierało się szeroko i duch mój wylatywał jak
ptak z gniazda i
leciał aż pod samo niebo — pod gwiazdy.
Potem szłam do swego pokoju, zamykałam drzwi na klucz i
do późnej nocy czytałam,
a częściej jeszcze pisałam.
Bo wtedy właśnie rozpoczęłam pierwszą swą powieść. Tytuł
jej dałam: «Wiecznie

samotna». Było to ogromnego zakroju powieści — bomba romantyczno-naturalistyczno-ideowa. Jednak, nie bez pewnego talentu pisana. A z jakim zapalem!
Ach, te noce natchnione! te błogosławione noce, pełne widm, grające od wewnętrznych moich melodyi! pełne szczęścia, zachwytów, przeczuć, rozanielen, szału. Ach, te moje noce samotne, te moje wigilie święte, gdy, jak młody rycerz, czuwałam przed jutrzejszym pasowaniem, przed pasowaniem na wielkie dzieła, na wielkie czyny, na trud krwawy, lecz luby...
Ach, noce moje piękne!...

Tak minęło półtora roku. Przez cały ten czas tak byłam pochłonięta przygotowaniem do egzaminów i wewnętrznym swoim światem, że mało wiedziałam, co się dokoła mnie dzieje.
A działo się dziwnie. Ojciec, który nigdy nie był wzorowym ani mężem, ani ojcem, teraz pod starość bynajmniej się nie reformował. Przeciwnie, jego dawne, nigdy zbyt wytworne gusta stały się jeszcze mniej wytwornymi, a ostatnie pozory przyzwoitości zaczął uważać za niepotrzebny całkiem przesąd. Zaczęły się więc dziać w domu rzeczy bardzo dziwne i trzeba było mojej prawdziwej niewinności i,

pomimo nacytania się, naiwności wyjątkowej, aby nic nie widzieć i nie słyszeć.

Dopiero przyjazd Edzia na wakacje trochę mi w oczach rozjaśnił. On, sam zawsze wzorowy, naszpikowany moralnością, «Książę Niezłomny», jak go zwali koledzy, nie mógł znieść tego, co tu widział. Odbyło się z ojcem parę scen przykrych, które naturalnie, że do niczego nie doprowadziły. Ze mną Edzio miał obszerną rozmowę, starając się mnie skłonić do wyjazdu.

— Jestem pewny — mówił — że wujostwo Binińscy przyjęliby cię chętnie do siebie tymczasem. Zimą zaś ciocia Leonowa nie odmówi zabrania cię z sobą do Warszawy.

Może ci się tam trafi jaki mąż. Ostatecznie brzydka nie jesteś, masz dobre nazwisko, no i ., to na ciężkie czasy, niezły kawał grosza. A w naszych rodzinnych warunkach, to im prędzej, tem lepiej. Mam nadzieję, że to zrozumiesz.

Cóż? Chcesz, to cię odwiozę do wujostwa?

Musiałam wszystko mu wyznać. Nie, ani do wujostwa Binińskich, ani tembardziej do cioci Leonowej, ani na karnawały warszawskie jechać nie chciałam. Miałam zupełnie co innego na myśli. Tu, ucząc się i pracując, doczekam końca moich lat ośmnastu. Wtedy pojedę zdać egzamin gimnazjalny i stamtąd prosto ruszę na

uniwersytet do Krakowa. O zamążpójściu nawet słuchać nie chcę, do łapania męża nie mam żadnych zdolności, tylko chcę się uczyć — uczyć — i uczyć.

Jak przewidywałam, moje zamiary wzbudziły w Edziu nadzwyczajne oburzenie.

Wytoczył przeciwko nim cały arsenał moralnych, religijnych, naukowych, ironicznych i praktycznych argumentów. Nie żałował fatygi i wyszukał mi mnóstwo artykułów po gazetach i książkach zbijających «emancypację» kobiet.

Ja czytałam wszystko, co mi dawał i słuchałam pół-uchem jego wywodów. Ale prawie nie odpowiadałam na nie.

Budziła się we mnie coraz wyraźniej świadomość mego odosobnienia, tej absolutnej samotności, co się koło mnie czyniła, samotności tak wielkiej, jak gdybym żyła na odrębnej jakiejś i bezludnej planecie. Nie miałam na świecie nikogo, nikogo, coby mój język zrozumiał i moje myśli podzielił. Jeśli zaś czasem kto o mnie się zatroszczył, to właśnie widział we mnie to, czego nie było, a tego, co było, dojrzeć nie mógł. Jeśli kto zapragnął kiedy zrobić mi co dobrego, to z pewnością robił to właśnie, co było dla mnie najgorsze.

Edzio, ze swemi dobrymi chęciami, był dla mnie najnieznośniejszy. Wolałam już

mieć do czynienia z ojcem.
Pozostałam jednak przy swoim. Z Lubiniewicz nie
wyjechałam i uczyłam się na
zabój. Zimą ojciec mi zaproponował przejażdżkę do
Warszawy, ale się wymówiłam,
nie wiem już czem i pojechał sam.
Nareszcie doczekałam się końca moich ośmnastu lat. Byłam,
wedle prawa,
pełnoletnią. O, i zamierzałam z tego korzystać!
Wuj Biniński wezwał mnie do siebie dla dopełnienia jakichś
prawnych formalności.
Postanowiłam, nic ojcu o dalszych projektach nie
wspominając, udać się do
wujowstwa — i już nie wracać. Z pokojową wyjechałam, niby
na parotygodniowy
pobyt. Po jakimś czasie odesłałam pokojową z obszernym
listem wyjaśniającym
moje postanowienie, a sama, z papierami w porządku, z
kwartalnym procentem w
kieszeni, z niewielkim kuferkiem, w skromnej szarej sukience,
z sercem, które
szczęście rozpierało, i piersią pełną przeczuć wiosnianych,
ruszyłam w świat.
Przebyłam w Krakowie lat pięć.
I dziś, gdy patrzę na życie swoje jakby z boku, powiedzieć
mogę, to jedno było w
niem doskonale piękne, harmonijne i szczęśliwe.
Tak w tych latach cudownych dni moje płynęły jak wspaniała,
przezroczyta rzeka,
o głębokiej fali, płynęły raźnie, ochoczo naprzód, przeska-

kując kamyki, niosąc na sobie barwy nieba. Muł, brud, szlam i
brzydkie porosty,
jeśli były, to gdzieś zostawały na dnie, niewidzialne. A fala
czysta i
przeźrocza szła wciąż naprzód, coraz chyżej i radośniej. Żadna
nizka troska,
żaden marny i poziomy frasunek, żadna zawiść, żadne
kłamstwo nie skaląły mej
duszy przez te błogosławione lata.
Rozkwitała moja istota jak kwiat, zasiany na dobrej grzędzie,
gdzie go słońce
grzeje, a ziemia sokami zasila, a deszcze ciepłe polewają, a
wietrzyk z
szerokich pól osusza i świeży, na grzędzie, gdzie wokoło
kwitną także kwiaty i
wspólnie z nim kołyszą swe korony w podmuchu wieczornym,
i wspólnie ciągną
pożywienie z matki-ziemi, i wspólnie otwierają kielichy swe
ku ciepłu, ku
światłu. A dla wszystkich wystarcza, a wszystkie mają do syta
i karmią się i
rosną i pięknieją i są szczęśliwe.
Byłam i ja szczęśliwa. Nauka przedstawiała dla mnie
nieopisany urok, coraz to
nowy czar, codzień otwierający się szerszy i piękniejszy
horyzont, codzień nowa
walka do stoczenia, walka w której wiedziałam, że zwyciężę. I
samo to wyęczenie
sił, sama ta gimnastyka umysłu i ta praca szlachetna, jakież to
było szczęście!
I te głębie niezgruntowane, zawrotne głębie, nad którymi się
pochyłała moja

dusza z lękiem i z czcią, i z drzeniem, nad którymi stawała,
wstrząśnięta
świętym dreszczem i bladła, jak blednie podróżny, gdy w
przepaść wzrok
zapuści...
I te światy nowe, bezgraniczne, wśród których ziemia nasza
była ziarnkiem
prochu, rzuconem

w przestrzeń, te światy, w które duch mój leciał, jak orzeł leci
ku słońcu i
patrzył w nie ognistym, pytającym wzrokiem i objąć usiłował
od krańca do krańca.
I te zagadki bytu, nęcące jak zakazane owoce, co «piękne
oczom i na wejrzeniu
rozkoszne».
I Sztuka naga, promienna, ponad światem stojąca — sama dla
siebie pani i
prawodawczym.
I te uczucia wzniosłe — święte uczucia przyjaźni, ufności,
braterstwa, tak
czyste, jak kryształowa woda tatrzańskiego potoku, tak żywe i
radosne jak ona.
I myśl... myśl ludzka, co, jak wichur pustynny, lata po świecie
i wstrząsa jego
posadami, co, jak powódź, wzbiera pod lodową skorupą i
zatapia miasta i pola,
co, jak płomień, wzniesła pożary i zostawia zgliszczka, a na
tych zgliszczach nowe
rzuca nasienie i nowe zbiera plony.

I ciche zakątki serc...
I marzenia ogniste...
I ukochania ogromne — płomienne — ofiarne i czyste.
I niezłomne ślubowania — i przysięgi wzniosłe.
I ta radość życia — potężna, szalona radość — rozpierająca
piers, wlewająca w
żyły krew bujną i gorącą, zapalająca głowy do czynu, do boju,
unosząca dusze,
szepcząca im wciąż: «Młodości, ty nad poziomy wylatuj!»...
Tak przeżyłam pięć czarownych lat. Przez cały ten czas, tylko
dwa razy, i to na
krótko, wracałam

do domu, gdzie stosunki były coraz cięższe, a nikt bardzo do
mnie nie tęsknił.
Zamierzałam jednak stanowczo, po skończeniu studyów,
wrócić w swoje strony, gdyż
zawsze zdawało mi się, że to jest obowiązek sumienia.
Kwestya ta i wogóle
kwestya obowiązków, była jedną z najgoręcej roztrząsanych w
naszem kółku i jedną
z tych, w których zawzięcie głos zabierałam, za co też
otrzymałam od kolegów
przezwiseko: «disciplina minor».
«Discipliną major» nazywano bowiem starego naszego
rektora, namiętnego wyznawcę
filozofii scholastycznej, nad której zanikiem biadał corocznie
w inauguracyjnej
przemowie.
Wreszcie nadszedł koniec moich szczęśliwych lat
uniwersyteckich, zdałam egzamin

na doktora filozofii, otrzymałam pergaminowy patent,
wysłuchałam pochlebnych
słów profesorów i wróciłam do swojej izdebki. Był to skwarny
dzień letni.

Zegrzałam się idąc przez planty, a na mojej górze, w półcieniu
spuszczonych

rolet, panował miły chłodek i zapach polnych kwiatów,
których wiązkę przynieśli
mi wczoraj koledzy.

Weszłam, zamknęłam drzwi, zrzuciłam kapedusz i
odetchnęłam głęboko. —

«Koniec»... — wyszeptałam.

Aż nagle ze wszystkich kątów pokoju obskoczyły mnie mary
widma — upiory...

Mroczne ciągnąc się cienie, rozwłózione ramiona, pajęcze
nitki i wilgotne, szare

płachty ogarnęły mię, nakryły, owinęły się dokoła mojej duszy
i zaczęły ją
ssać...

Koniec... koniec... koniec»... skrzeczały mi w uszach. «A teraz
co?... A teraz
co?»...

I przyszła Melancholia w ciemnym płaszczu i przytuliła mię
do siebie i pochyliła

głowę moją nisko, niziutko i płaszczem swoim mię okryła. I
przed moim wzrokiem

rozsunęła zasłonę, którą ludzie tak szczelnie przed sobą
zaciągnęli, aby nie

widzieć i mózdz zapomnieć i zajrzałam, może poraz pierwszy
tak głęboko w głąb

istnienia.

Przesiedziałam tak skulona do wieczora, nieruchoma jak skała
nad brzegiem oceanu

i jak ona wpatrzona w ten ocean życia, który przedemną się
rozlewał. Bo w tej

chwili widziałam to życie tak wyraźnie, tak ostro się rysujące,
takie poziome,

nudne, głupie życie, a tak nieubłagane pochylające się wciąż
niżej i niżej aż

do czarnej w końcu grobowej jamy. To życie, jak droga, przez
którą szłam

samotna, w towarzystwie jednej tylko śmierci. Ona mi była
jedyną przyjaciółką,

piastunką, towarzyszką — i Aniołem Stróżem.

Pierwszy raz zobaczyłam ją tak blisko siebie — pierwszy raz
na ramieniu poczułam

jej dłoń, popychającą mię naprzód... naprzód... Dokąd?...

Słońce już zachodziło i jego czerwone pro- . mienie zaczęły
się wdzierać ukośnie

przez zasłonięte okna, gdy zapukano do drzwi.

Nie odezwałam się wcale. Zapukano powtórnie.

— Proszę wejść! — odparłam. — Otwarte. — Nie poruszyłam
się jednak.

Wszedł Wiktor. Spokojnie powiesił kapelusz na wieszadle,
ciupagę w kącie

postawił i stanął

przedemną. Spojrzeliśmy sobie w oczy. Odrazu przejrzał mię
nawskrós.

— O? cóż to? — rzekł cicho — dyabliki czarne latają? —

Przysunął sobie krzeszło,

usiadł bliźniutko i wziął obie moje ręce. — No? — spytał z
pocziwym swym
uśmiechem.

— A bo... na co mi to wszystko! — wyrwało mi się prawie z
płaczem. — Co mi z
tego głupiego patentu, co mi z tego! Wszystko już się
skończyło. I teraz co?

— Jakto co? Teraz żyć trzeba.

— Na co? Po co? Dla kogo?

— Ach, wy baby! baby! Nic wam i doktoraty i filozofie nie
pomogą! Wy się
najprzód zawsze pytać będziecie dla kogo macie żyć. A dla
czegoż, to nie?

— Eee!

— Pani, co ma talent...

— Dałby mi pan pokój z tym talentem! Ja nic o nim nie wiem
jeszcze. Nie wiem,
czy go wogóle mam. Któż to powiedział, że mam talent? Pan i
Czerwony. Wielcy mi
sędziowie!

— Pani mówi mi impertynencye, aby się móż pokłócić. Ale
niedoczekanie! Nie mam
na to czasu, bo muszę panią zabrać i przyprowadzić do cioci
Buzi, gdzie
czekają...

— Kto czeka? Ja nigdzie nie pójdę.

— Nie cierpię kiedy panna Hania grymasi, jakby jaka hrabina.
Proszę zaraz włożyć
kapelusz i idziemy.

Wziął z łóżka mój kapelusz i próbował mi go na głowę włożyć.

— A któż tam będzie?

— No, cała paczka. Niedźwiedź, Czerwony Poeta, Benda i Kuliszyński, «Budowniczy Solmness», panna Tola ze swemi feministkami i już nie wiem kto. Mówię, że cała paczka. Będzie bardzo wesoło. No, panno Haniu, prędzej! Proszę zrobić przyjemny wyraz twarzy i — do licha! — Przypiąć raz ten kapelusz! — Żeby pan wiedział, jak mi źle. — Wstałam jednak i zaczęłam się zbierać.

Wyszliśmy. Ulice były ciche, puste i zasnuwane już cieniami wieczoru. Pod drzewami plant było prawie ciemno. Mnie melancholia prawie nie opuściła jeszcze, ale czułam ulgę w obecności Wiktora, tego najlepszego przyjaciela, przed którym myśli skrytej nie miałam.

Zaczęłam znowu. — Bo, widzi pan, ja doprawdy nie wiem, co robić teraz? Mam już ten patent nieszczęsny, a dalej co?

— Dalej? Ja zawsze powtarzam: niech pani osiadzie np. tu gdzie pod Krakowem i niech pani pisze. Ja to seryo mówię. Że pani ma talent, to pewno, ale trzeba dla niego coś zrobić, trzeba mu dać odpowiednie otoczenie, to się dopiero rozwinie.

— Osiąść tu? Nie wracać? Ach, nie wiem, czyby to było dobrze...

— Dlaczego?

— Bo... Ach, mój Boże! przecie pan wie, co ja myślę. Ja myślę, że trzeba wracać

do kraju, to

niedobrze tak uciekać z tamtych stron... Tu i tak jest ognisko i bezemnie się

obejdzie... a tam... ach, tam nic, nic! Ja sama nie wiem, Pan się zawsze śmieje,

ale ja myślę, że to obowiązek.

Wiktor rzucił się niecierpliwie. — A no, jak pani na teren obowiązków wjeżdża,

to proszę z kim innym gadać. To nie moja specjalność. Dla mnie najpierwszy

obowiązek, to talent, sztuka, piękno, własna indywidualność, moje ja, które chce

się wypowiedzieć. Reszta dobra dla mydlarzy. Gwiżdżę na resztę.

— A ja nie. I nawet, nie wiem, co ważniejsze... jak być powinno...

— Ja nie pytam o to, co być powinno. Ja pytam o to, co jest. O to, co mnie

niesie, co mnie pchnie naprzód. Nie wiem, czy to być powinno, ale jest. To

dosyć.

— Ach, panie Wiktorze! czy dosyć? — Znałam od dawna jego zapatrywania w tym

względnie i nieraz już staczałam z nim o to zażarte walki.

Lecz teraz

szczególniej mi chodziło o wylanie na zewnątrz myśli, które mnie gnębiły.

Wszakże i sama nie byłam tak zupełnie pewną swego, chciałam dyskusji. — Bo,

widzi pan — ciągnęłam dalej — ja myślę, że są na świecie rzeczy ważniejsze od sztuki...

— Tak! tłusta pieczeń i miękkie pantofle — mruknął.

— Zwłaszcza u nas, panie Wiktorze. I że, jeśli się zdobyło pochodnię do ręki, to trzeba nią przyświecać takim kątom, gdzie mrok panuje.

zgasi i będzie po wszystkim.

— O, nie! — I nagle porwała mię fala siły, męstwa, pewności siebie, melancholia

odleciała gdzieś na krańce świata, poczułam się niezwalczoną.

Nie, nie zgaśnie

moja pochodnia! Pójdę z nią w mój kraj biedny i wysoko

trzymać ją będę ponad

głowami tych, co są w ciemnościach. Niech będzie światło!

Niech będzie ciepło! I

rozwidnią się ciemne kąty, i rozpalą się inne pochodnie, i

ogniska się rozniecą,

ciepłe, ożywcze. A talent? Talent, jeśli go mam, będzie

właśnie najżywszym

płomykiem w tem ognisku.

— Wymieni go pani wkrótce na korzec węgla do podpalenia w tym społeczno-

patryotycznym piecu.

— Nie! Nie! Jeśli go mam, to nie zginie. A świat, ludzie, naród, dobro, czyn,

oto co jest największego! Pchnąć naprzód bryłę świata, to

dopiero robota. No,

nie?

— Zdaje mi się, że pani robi literaturę — rzekł zimno Wiktor.

— A pan jest wstrętny — odparłam ze złością — i nie
rozumiem doprawdy, jak ja
mogłam choć przez chwilę być z panem w przyjaźni.
Odeszłam na drugą stronę ulicy i już więcej nie mówiliśmy do
siebie.

W ogródku cioci Buzi, gdzieśmy się często latem zbierali,
powitało nas grono już
rozweselone i wieczór zszedł na bardzo ożywionej gawędzie.
Ja, po całodziennym melancholizowaniu, czułam potrzebę
reakcyi, śmiałam się,
dowcipkowałam,

rzucałam paradoksami, nawet flirtowałam po trochu z
Czerwonym Poetą, który już
zdawna beznadziejnie we mnie się kochał. I tak byłam miła
dla wszystkich, że
nawet Niedźwiedź raczył nad moim wyjazdem rozpaczać.
Wyjechać zaś miałam w nadchodzący czwartek, a wilią na
herbatę wszystkich do
siebie zaprosiłam.

— Będzie to pożegnanie górki — westchnęła jedna z
feministek.

— I «discipliny minor» — rzekł Kuliszyński.

— Pannę Hanię jeszcze do grobu nie składamy — wtrącił
Niedźwiedź — a górka
przepadła na wieki.

— Oj, bodaj że naszą pannę Hanię na wieki zegnamy — rzekł
Wiktor trochę smutnie,
a trochę zjadliwie.

Umilkli wszyscy i jakiś cień nad nami przeleciał.

Aż Poeta Czerwony, który coś w cieniu mruczał sobie pod
nosem, wysunął się na
światło ze szklanką piwa w ręku i zabrał głos:
— Opowiem państwu bajkę. Za siedmiu ulicami, za siedmiu
placami, wznosi się
niebotyczna góra. Góra to bogata, herbatodajna i
serdelkopłodna, dymem z
papierosów buchająca i dysputami dzwoniąca. Na tej górze
żyła sobie studentka
nie studentka, panna nie panna, królewna nie królewna —
Cud-Dziewica! U stóp jej
klęczeli młodzianie — studenci, malarze, poety, doktory,
klęczeli i błagali:
Cud-Dziewico, pokochaj nas! Lecz dziewczica po-

wiada: Odczep się, paskudny męski rodzie! Nie potom z domu
się rwała, do Krakowa
uciekała, na wszechnicę uczęszczała, aby do waszej miłości
się zniżyć. Jam
mądrości głodna, filozofii córa godna, nic mi po waszych
wzdychaniach! Będę po
obłokach bujała, a serca wasze deptała. Młodzieńcy się
popłakali, dyscypliną ją
nazwali. Lecz ona ich odprawiła, w nauce się pograżyła, to też
patent wnet
zdobyła, laurem skronie swe owiła i do domu wraca.
Młodzianom łzy z oczu
płynęły, i tak obficie płynęły, że aż Wisła wezbrała, straszna
powódź nastąpiła. A
tymczasem Cud-Dziewica do domu powraca. Jedzie, jedzie,
nie dzień i nie dwa,

przez góry wysokie, przez lasy szerokie, przez rzeki głębokie.
Przyjechała, ojca
swego powitała, wkoło siebie popatrzyła i mówi: co ja tu będę
robiła? A ojciec
się odzywa: Nie frasuj się, moje dziecko, kawalerów dość na
świecie. Wybiorę ci
pięknego, bogatego, dobrze urodzonego i pobłogosławię was.
Jak powiedział, tak
się stało, zjechało się kawalerów niemało. Wszyscy zdrowi,
tędzy, syci ludzie
całkiem przyzwoici. Cud-Dziewica, jak spojrzała, wnet
jednego pokochała,
największego, najtłustszego, obywatela tęgiego. Przed nim
staje, rączki składa i
czułym głosem powiada: Oto luby, jestem twoją. Cud-
Dziewico, dzięki tobie! lecz
cóż z twą mądrością zrobię? Obie razem brać za ciężko. A
Cud-Dziewica tak
rzecze: Jestem ciałem twego ciała, na nic mi się filozofia
zdała! Jestem twojej
kości kością, a więc, luby, precz z mądrością! Jako rzekła, tak
się stało.
Ojciec młodym błogosławił i wesele

wnet wyprawił. I ja tam byłem, wino, miód piłem, po brodzie
ciekło, a w gębie
nic nie było. I podłem piwskim muszę wznieść zdrowie Cud-
Dziewicy, naszej panny
Hani!
Wszyscy zaczęli się śmiać, a ja oburzyłam się. — Jakto! taki
okropny koniec mnie

przepowiadać! Ależ to niegodziwe! I to kto? Czerwony! o którym byłam pewna, że jest moim przyjacielem, że nawet ma mnie za ideał. A to ładnie! No, dobrze. Na złość, pójdę za pierwszego lepszego i już nigdy do Krakowa nie przyjadę.

— Niech pani nie żartuje, bo tak może być naprawdę — rzekł Kuliszyński.

— Z nudy najczęściej panny idą za mąż — zdecydował Niedźwiedź.

— Ależ, co za gadanie! — zawołała któraś z feministek. I druga zaraz dodała: — To tylko salonowe gąski. Prawdziwa kobieta, jeśli już ma nieszczęście pójść za mąż, to przynajmniej...

— Hanna z nudy nie pójdzie — rzekła Tola Stażycówna, wyciągając się wygodnie na ogrodowym fotelu — ale większe jeszcze głupstwo zrobi, ona się zakocha. Ja zawsze mówiłam, że ona ma filisterską duszę.

— Ja! filisterską duszę!

— A tak. Na przykład to mała rzecz, ale to cechuje człowieka, twoje mieszkanie: wszystko stoi na swoim miejscu, łóżko nietylko zasłane, ale jeszcze i koronkową kapą przykryte, bukiet na

stole, na ścianach jakieś malowanki, kurzu ani zdziebełka.

— Dlategoż tam i tak przyjemnie... — wtrącił nieśmiało «Budowniczy Solmness».

— No, bo ja lubię, żeby było porządnie.

— A no, właśnie, porządnie! Albo na herbatę poprosi, to każdy dostanie filiżankę, spodek, łyżeczkę...

— O! łyżeczkę, to nie każdy!

— A bułki na jednym talerzu, a szynka na drugim, o mało, że serwetek nie daje!

— Ah, przesadzasz. Ale to prawda, że brudu, nieładu znieść nie mogę.

— Strzeż się, to są okropne skłonności. Za lat parę mężowi skarpetki cerować będziesz.

Zaśmiałam się. — No, to pewno — odparłam — że gdybym kiedy miała męża, tobym mu w podartych nie dała chodzić.

Powstał gwar i ogólna na mnie napaść. «O, ozdobo cnót niewieścich! Przykładzie dla białogłowskiego stanu! I pocóżeś dyplom zdobywała? Doktorze scholastyki.

Disciplina minor! Poetko! Literatko! Gwiazdo wschodząca na niebie piśmiennictwa!

Taki będzie twój koniec. Marna karyera. A myśmy w tobie widzieli filar, taran do rozbijania przesądów».

— Kolubrynę — rzekł «Budowniczy Solmness».

— Bombę — dorzucił Niedźwiedź.

— A ty już nas zdradzasz. Marzysz o mężowskich skarpetkach! Mydlarko!

Filisterko! Wsteczniczo! Kuro domestica!

— Cicho! Czekaście! Ja wam powiem... — broniłam się. — Powiem naprawdę, co myślę...

— Słuchajmy! Niech mówi! Niech swą burżuazyjną duszę obnaży!

— No, słuchamy. Ciekawość! — rzekła Tola i zapaliła papierosa.

— Bo wy się wszyscy ze mnie śmiejecie. A ja zupełnie seryo powiem. Nie o sobie, ani o tem, co zrobię w życiu, bo tego ja nie wiem. Ale o kobiecie. Ja myślę, że nie jest ona nietylko niższą od mężczyzny, ale przeciwnie, ma nad nim tę wyższość, że jest lotniejsza i prędzej i łatwiej umysł swój przerzuca od jednej rzeczy do drugiej. Może nie tak do dna gruntuje, może nie tak ogarnia szeroko, ale stanowczo lepiej od mężczyzny umie godzić najsprzeczniejsze sprawy, jest odporniejsza od niego i bardziej żywotna. Więc też myślę, że kobiecie przeznaczonem jest na świecie... Zawahałam się, bo miałam wypowiedzieć ukochane swoje zdanie, teorię wypiastowaną na dnie duszy, prawie, że marzenie moje.

Tamci słuchali, mężczyźni dość uważnie, Tola z ironicznym uśmiechem. Jedna z feministek przerwała: Hanna zawsze w błękitach... I zachichotały wszystkie.

— Niech pani mówi dalej — rzekł Poeta Czerwony.

— Otóż myślę, że rolą nowej kobiety na świecie, niby celem tego, co się zwie emancypacją, będzie osiągnąć to, czego mężczyźni dotychczas nie zdołali zrobić,

będzie pogodzenie idei piękna z obowiązkiem. Niech się pan nie śmieje! warknęłam na Wiktora, chociaż on bodaj, że nie śmiał się wcale.

Mężczyzna, gdy jest artystą, poetą, uczonym, czy i społecznikiem, czy politykiem, to czuje się w prawie kopnąć wszelkie zasady i wszelką cnotę, bo on jest ponad wszystkim. Kobieta pokaże w przyszłości, że można być wielkim duchem i wielkim działaczem, a nie przestać wypełniać ludzkich obowiązków tych prostych, zwyczajnych. Nie wiem, jak kobiety to robią, bo to strasznie trudne zadanie, ale myślę, że to właśnie jest ich przeznaczeniem. Wierzę, ach! najmocniej wierzę, że gdy przyjdzie czas i kobiety wezmą im należny udział w rządzeniu światem, to wtedy życiem ludzkości przestanie rządzić, tak jak dotąd pięść silniejszego i spryt podlejszego, a rządzić nią zaczną Braterstwo i Miłość. I wtedy takie barbarzyństwo idyotyczne, jakim jest wojna, albo takie ogładzanie pół narodu; z powodu wygórowanych podatków, albo taka walka socjalna, albo te wszystkie głupie systemy celne, które odejmują chleb biedakom, albo takie okropności, jak handel dziewczętami, a chociażby tylko krzywdy

nieszczęśliwych żon przy dzisiejszych prawach, a także te więzy, które nakładają
zawsze na każdą myśl śmielszą, to wszystko już nie będzie mogło istnieć. Runąć
wtedy musi panowanie siły, pięści, bagnetów, konkurencyi, dyplomacyi, fałszu i
obrzydliwych kłamstw. Już się te męskie rządy chwieją, kobiecie danem będzie
zburzyć ten wstrętny gmach, a na jego miejsce postawić...
— No, co? No, co? — spytał Poeta Czerwony.
— Postawić Miłość, prawdziwą Miłość ludzką.

Była chwila ciszy. Potem wybuchła namiętna dyskusya. Wszyscy naraz zaczęli
mówić. Panowie, a najbardziej «Budowniczy Solmness», próbowali wvdrwić babskie
rządy, które im przepowiedziałam. Tola zażarcie się broniła, feministki
trajkotały. Lecz po chwili uciszyło się i Niedźwiedź rzekł smutnie: — Nie dziwię
się pannie Hannie i jej horoskopom. Kto choć przez chwilę popatrzy uważnie na
świat, tego zaraz taka abominacya zeprze, iż coprędzej oczy odwraca. Od
dłuższego patrzania możnaby się doprawdy obrócić w głowę Meduzy. A kto tak
pięknie światem zarządził? Mężczyźni. Może babska gospodarka okaże się lepszą.
Znowu zamilkliśmy wszyscy. Aż się Tola odezwała: — Ale cóż to ma do owych
mężowskich skarpetek, o których marzy Hanna?

— A prawda! Pani się jeszcze nie wytłómaczyła.

— Proszę, proszę, dalszy ciąg wywodów.

— Dobrze! Wywód taki, że kobieta nie powinna starać się być podobną do

mężczyzny, bo to żaden ideał. Przeciwnie! powinna swoje właściwości rozwijać i

po własnej drodze iść naprzód. Więc np. jeśli ma męża i dom, to ją nic naprzód

nie posunie, że w tym domu będzie brudno i że mąż będzie oberwany.

— Kobieta, która chce iść naprzód, nie powinna mieć męża i domu — rzekła Tola i

bardzo zalotnie spojrzała w oczy Bendy, który za nią siedział.

Ten westchnął głęboko. I nachyliwszy się do jej ucha, zaczął coś szeptać, a ona

się śmiała, trze-

pała białemi, wypieszczonemi rękami i powtarzała: — Nie! pan jest niemożliwy!

— Ja się na ten raz zgadzam z panną Tolą — rzekł Wiktor.

— A ja nie! — zawołałam. — Ale dajmy już temu pokój. Ja tak dużo gadałam, że już

nie mogę. Proszę, jeśli jest, o herbatę.

Rozmowa przeszła na inne przedmioty. I była już bardzo późna godzina, gdy mię

Wiktor i Niedźwiedź odprowadzili do domu. Powiedzieliśmy sobie pode drzwiami

dobranoc i miałam już wejść do sieni, gdy Wiktor nagle się wrócił. — Panno

Haniu! — zawołał — proszę poczekać! Ja przyjdę jeszcze raz pomówić o tem...

— O czym... pomówić?

— No, o tej kwestyi wychodzenia za mąż. Pani może się ze mną zgodzić albo nie,

ale ja swoje muszę powiedzieć. Dobranoc.

Jakoż przyszedł. Przez kilka dni dzielących mię od wyjazdu, byłam bardzo zajęta

i na żadne kwestye nie miałam czasu. Więc Wiktor ostatniego wieczoru, gdy cała

paczka rozeszła się po pożegnalnej u mnie herbacie, pozostał.

— Nie idziecie z nami? — spytał Niedźwiedź.

— Nie. Mam do pogadania z panną Hanią.

— Tak późno! Skompromitujesz ją pan! — zaśmiała się Tola.

— O, ja się tego nie boję — rzekłam. — Zresztą, co mi tam!

Jutro wyjeżdżam.

Wyszli wszyscy, a myśmy zostali we dwoje, Pokój był pełen dymu, lampa blado się paliła. Otworzyłam okna. Wpłynęła do pokoju cicha noc letnia.

Usiedliśmy przy oknie i zapadliśmy w długie milczenie. Mnie smutno było

odjeżdżać, rozstawać się z tymi dobrymi przyjaciółmi, z tem otoczeniem znanem i

kochanem i wracać do ludzi, blizkich może krwią, ależ tak dalekich duchem i

myślami! I niepewność, i żal, i nieokreślony niepokój mnie ogarniał, wprost lęk

przed tą przyszłością, co się otwierała przedemną. Ach, gdyby nie przekonanie,

iż obowiązkiem moim jest wrócić, jakżebym chętnie tu pozostała!

Wiktor pierwszy przerwał milczenie. — Chcę panią o jedną rzecz spytać, panno

Haniu — zaczął. — Zdaje mi się, mam do tego prawo. Czy pani się już kiedy kochała?

— Ja? — pomyślałam chwilkę. — Nie, naprawdę, to się nie kochałam nigdy.

— Co znaczy to: naprawdę?

— To znaczy, że czasem mi się ktoś podobał, ale zawsze na krótko. Zawsze miałam coś innego do zrobienia, więc tamto jakoś przechodziło sobie.

Może, gdybym nic nie miała do robienia, tobym się rozkochała.

— I nigdy nikt... na dłużej?...

— Na dłużej? Owszem... raz... Ale teraz już przeszło. —

Urwałam i czułam, że się czerwienię.

— Co? Jakże to było?

— No, nic. Było bardzo zwyczajnie. Przed dwoma laty, gdy byłam w domu, spotkałam

jednego pana i on mi się ogromnie podobał, tak odrazu.

Trochęśmy z sobą

rozmawiali i tańczyli. No, i potem często o nim myślałam. Ale teraz już

przeszło. Dlaczego pan o to pyta?

Wiktor westchnął. — Bo mi pani żal, panno Haniu... —

Urwał, popatrzał w niebo

gwiazdziste i zaczął znowu: — Bo takie kobiety, co, jak pani, upierają się przy

tak zwanych zasadach, takie są w położeniu bez wyjścia. Dwie mają tylko drogi przed sobą: albo małżeństwo, to głupie, mieszczańskie małżeństwo, pobłogosławione oficjalnie przez mamę, papę, ciocię, wujaszków i księdza proboszcza, a dające na życie całe akompaniament dzieci, chorób, pisków, garnków, kucharek, brudnej bielizny, złych humorów i trosk najmniejszych, które muszą zabić wszelką myśl wyższą, albo staropanieństwo, to jest istnienie ciasne, nudne, bez miłości, bez pełni życia, słowem, pół-istnienie! Innej alternatywy dla takich kobiet niema. Mniejsza ostatecznie o to, jeśli ta kobieta jest taką sobie pierwszą lepszą z brzegu kwoką czy gęsią. Lecz jeśli taka kobieta ma talent, ma jakąś ambycję... to — to... przepadła... — No, ja tego w tak czarnych kolorach nie widzę. Można przecież... — Ja wiem. Pani się łudzi, że potrafi być idealną żoną, dobrą gospodynią, mamką, niańką, kucharką, a razem pisać, kształcić się, tworzyć. Ale proszę poczekać dziesięć lat, zobaczymy wtedy.

Wszystko, co w pani jest dobrego, pójdzie... na podściółkę dodziecinnej kołyski.

— Nie, nie, nie! Proszę mi takich rzeczy nie mówić!

— Byłaby jeszcze droga jedna, ale o tem i wspominać pani nie warto.

— Jaka droga? Ciekawam!

— Pani się oburzy, wiem. Ale ja zawsze powtarzam, jedyna droga dla kobiet, które chcą być czemś, to wolna miłość.

— Panie Wiktorze!

— A co, mówiłem, że się pani oburzy.

— Spodziewam się!

— A niema czego. Podobał się pani taki pan, wzięłaby go sobie pani. Póki dobrze, to dobrze, A źle? Wielka bieda! Do widzenia! Bywaj zdrów i rzecz skończona.

Fantazyja podniecona, prąd życia spotęgowany, a więzów żadnych. Bo wolna miłość jest tylko miłością i nie prowadzi za sobą rodziny, gospodarstwa, domu, towarzyskiej reprezentacji, pozycji etc. My, mężczyźni, przeważnie tak robimy i cóż? albo nam z tem źle?

Wstałam z krzesła. — Nie lubię takiego gadania — rzekłam zimno. — Pan doskonale rozumie, że my a wy, to zupełnie co innego.

— Gadacie o równouprawnieniu, a jak przyjdzie do rzeczy, to nie macie odwagi.

— O, przepraszam! Jest wiele takich, które tej odwagi mają aż zanadto. Co do mnie, mężczyźni tak dalece mi nie imponują, abym ich aż w tem miała naśladować.

I przyznam się — dodałam po

chwili — że jeśli to jest jedyna przyjacielska rada...
— Jedyna, nie. Ale może najważniejsza. — Wiktor wstał
także i mówił trochę
miększym głosem: — Bo mi pani żal, panno Haniu. Widzę
przyszłość. Pani poczuje
się tam samotna, zapagnie przyjaznej duszy. Wtedy pierwszy
lepszy facet wydaje
się właśnie taką duszą. Zakocha się pani, wyjdzie za męża, a
wtedy skończone.
Przepadło wszystko, co się tu z trudem zdobyło, przepadł
talent, a także
przepadło szczęście. Tak, tak! i szczęście. Takie kobiety, jak
pani, nie mogą
znaleść szczęścia w poświęceniu swego ducha człowiekowi,
jednemu człowiekowi...
— Pan zapomina, że jest miłość.
— Nie zapominam. Owszem, niech będzie. Ale bez tych
kajdan, bez tych dozgonnych
obrączek! Ach, panno Haniu! nie wychodź pani za męża!
Zamilkłam i smutno mi się zrobiło. Ach! tak smutno!
Przez otwarte okna płynęła fala ciszy, leciutkie szmery liści i
gdzieś zdala
zapachy kwietne. Płynęły promienie mrugających gwiazd.
Wiktor westchnął znowu. — I co pomoże moje gadanie! —
rzekł. — Nie my kierujemy
losem, ale los nas pchnie naprzód i rzuca nami, jak piłką,
głupi, ślepy los. Ja
mówię, bo mi tak każe moje przyjacielskie sumienie, a pani
pójdzie za głosem
tego ślepego losu. I co na to poradzić? Lepiej iść spać.
Wziął kapelusz i miał już iść, aż się od drzwi odwrócił i rzekł;

— Mam coś pani powiedzieć, o małym nie zapomniałem. Oto co jest: Grubickiemu dałem te pani nowele, umieści to w «Strażnicy». Bardzo zachwycony! Koniecznie chciał wiedzieć, kto to pisał. Ma się rozumieć, że nie powiedziałem. Ale kto wie, możeby lepiej?...

— Nie, nie! Gdyby się dowiedzieli, że to pisze kobieta, panna, i to młoda, toby lekceważyli...

— Może być. Oni tu kobiet autorek nie lubią.

— Tak. A zresztą, to... takie maleństwa...

— Maleństwa, ale prześliczne. Pani sobie nie dowierza jeszcze, a to także źle.

Suggestya tu dużo znaczy. Gdy sam jestem przekonany, że jestem niezrównany, to i inni w to uwierzą.

— , ja tego przekonania nigdy mieć nie będę! chyba bym przestała czytać i porównywać. A zresztą o publiczność jeszcze mi tak bardzo nie chodzi. Sam akt pisania mi wystarcza i uznanie kilku najbliższych. Więc pan mówi, że Grubickiemu się podobało?

— Bardzo.

— Ach, to dobrze! Bardzo rada jestem.

— A z «Pokrzywdzonymi» co słyhać? — spytał Wiktor po chwili.

— Ach, wie pan, teraz miałam tyle roboty z egzaminami. Od czasu, gdy, zimą jeszcze, napisałam pierwszy rozdział, ten, co to pan czytał, to ani razu do nich

nie zajrzałam. I wie pan, sama nie wiem, niech mi pan
poradzi, tak jakoś raptem
strzeliło mi do głowy... Bo to tak było: Śpię sobie w najlepsze,
aż coś mi się
majaczy, zaczynam się

budzić, coś widzę, coś słyszę i nagle widzę tych swoich
«Pokrzywdzonych» na
scenie! Doprawdy! Jakby objawienie jakieś, czy co! Więc leżę
cichutko i widzę,
no, zupełnie wyraźnie. Więc... zaczęło to we mnie...
kiełkować jakby... I teraz
mam w głowie gotowy dramat. Tylko, panie Wiktorze, jak pan
myśli? Czy odważyć
się na dramat?

— Albo ja wiem? — odrzekł — namyślając się. — Od noweli
do dramatu skok niemały.

Ale niech pani ryzykuje...

— Cóż! korona mi z głowy nie spadnie. A wielką mam
ochotę.

— No, tak, pewnie, niech pani ryzykuje.

— Teraz w Lubiniewiczach, będę miała mnóstwo czasu. Pójdę
sobie do boru, siądę
na zielonych mchach, nademną będą szumiały sosny, będą
świergotały ptaszki,
słońce będzie rzucało swe strzały to tu, to tam przez liście,
muchy będą się
kręciły dokoła. A ja pisać będę, pisać, pisać! Ach, panie!...
ach, panie...

Zamilkliśmy. Ja nic już więcej powiedzieć nie mogłam.
Patrzaliśmy oboje w ciemną

noc i w gwiazdy. Taka cisza była dokoła, taki spokój w tych
uśpionych tam
drzewach! Tyle wieków się przesunęło po tych omszałych
murach! Takie ukojenie
szło od tej przeszłości!
Ale ja wtedy nie pragnęłam spokoju. Chciałam czynu, walki,
działalności, potęgi.
Ach, czułam się tak silną! Mogłabym góry przenosić,
wyrwać dęby, rozkazywać
morzu i dusze ludzkie tak brać garściami i ciskać to tu, to tam,
i rzucać, i
miotać

niemi, i wstrząsać, i zapalać je płomieniem, i wyrzucać w górę
wysoko, wysoko!
Ach, i sama lecieć i lecieć coraz wyżej! Chciałabym objąć
ramionami całą tę
ziemię moją, chciałabym przytulić ją do łona, i żeby to łono
było szerokie jak
morze bezdenne, niezmierzone. I chciałabym pracować i
tworzyć dzieła wielkie,
wziąć w siebie ból i radość, nadzieje i zachwyty swego
narodu, przetopić je w
złoto i w stal, rozlać je potokiem rubinów i pereł, w pieśni je
wyśpiewać, w
żywe postacie zamienić i tworzyć jak Bóg... jak Bóg!...
Wróciłam do Lubiniewicz. Znalazłam tam zmiany niemałe.
Ojciec odstąpił zupełnie
Edziowi majątki, sam zaś mieszkał w Warszawie i prowadził
życie klubowo-

zakulisowo-światowe, które mu ogromnie zdawało się dopadać. W przejeździe, chcąc okazać synowskie przywiązanie, zatrzymałam się u niego przez dni parę, ale prędko zmiarkowałam, że na dłuższy czas byłabym gościem krępującym i bardzo niepożądanym. Ojciec przyjął mię z otwartymi rękami, ale zegnał z jeszcze większą radością. Wydał mi się o lat dziesięć odmłodzonym, nadzwyczaj elegancki, w najmodniejszych, jakie być mogły, szatach, z kwiatkiem w butonierce, z wąsem dyskretnie wyczernionym, z monoklem w oku, giętki, sprężysty, tryskający życiem i ochotą do życia. Narzekał wprawdzie na Edzia, który wedle niego, był skąpcem i wyzyskiwaczem, powiadał, że renta, którą pobiera, jest wprost śmiesznie marna, rs. rocznie! z takich Lubiniewicz! To prawie

nędza. Tylko ojcowskie serce mogło się na coś podobnego zgodzić. Ale swoją drogą, ciężko jest człowiekowi szanującemu się wyżyć za takie psie pieniądze.

W Lubiniewiczach Edziowie powitali mnie bardzo serdecznie, ona szczególnie.

Chociaż dotychczas prawieśmy się nie znały, stosunek nasz stanął odrazu na stopie blizkiej.

Idalka, dobre, potulne, ciche, pracowite i gospodarne stworzenie, wychowane w

karności przez bardzo praktyczną matkę, zakochana ślepo w Edziu, który się jej przedstawił jako pierwowzór wszelkiej doskonałości, pomimo swego stutysięcznego posagu, umiała odrazu zastosować się do skromnego życia, jakie on postanowił prowadzić, zanim, jak mówił, majątku z długów nie oczyści. Wziął bowiem Lubiniewiczze w opłakanym stanie, z mnóstwem długów, z lasami w pień wyciętymi, z gospodarstwem zrujnowanem, z całą masą zaległych procesów, z wałącymi się budynkami, z inwentarzem wyniszczonym... Trzeba było być Edziem, aby się na to odważyć. Ale on zaraz po skończeniu nauk, wejrzał w interesy, zapoznał się z ich fatalnym stanem, obliczył wszystko najdokładniej i zaczął się z ojcem układać. Tymczasem zaś upatrzył sobie pannę, bogatą a skromnie wychowaną, która mu ważną pomocą być miała. I udało mu się. Ojciec ustąpił, wprawdzie za dobrą cenę, żona okazała się prawdziwym skarbem. Zaprzęgli się oboje do pracy, garścią i pazurami chwycili się swej ziemi, odwrócili wzrok od wszyst-

kiego innego na świecie, pograżyli się w sobie i we własnej trosce i pracowali. A było i dla kogo pracować. Przed trzema laty się pobrali, a już dwoje

wrzaskliwych bębnow reprezentowało młodsze pokolenie Lubińskich. Wszystko zaś kazało przypuszczać, iż na tem się nie skończy. I Idalka mówiła zupełnie poważnie: — O, ja chcę mieć przynajmniej sześcioro! A choćby i do tuzina dojechać, to nic wielkiego.

— Nie lękasz się kłopotu? — pytałam.

— Ach, moja droga! Czy troje czy sześcioro, to już zupełnie wszystko jedno.

— I to ci do szczęścia wystarcza, Idalko?

— A czegożbym więcej pragnąć mogła! Byleby się interesy trochę poprawiły, a Edzio i dzieci były zdrowe! Gdy pójdziesz za mąż i będziesz miała dzieci, to się sama przekonasz, że w tem jest początek i koniec świata.

— Może... tylko, że ja prawdopodobnie za mąż nie pójdę.

— O, dlaczego? Doskonale możesz pójść. Na tobie prawie nie znać, żeś doktorem filozofii.

Idalka to mówiła tonem najwyższej pochwały. Więc ja zaczęłam się śmiać. Ona

zrozumiała i tłumaczyła się: — A no, pewnie, tak jest.

Mężczyźni obawiają się

tych bardzo mądrych panien. I przyznaj, Haniu, że mają trochę racji.

— Dlaczego?

— Bo najczęściej z mądrością przychodzi niedowiarstwo, socjalizm, niemoralność, emancypacja

i wszystkie takie okropności. A zresztą na cóż to kobiecie
potrzebne, taka
wielka mądrość?

— Ach, Idalko! dużoby o tem mówić! Ale jedno muszę
zauważyć, to, że skończyć
uniwersytet, to nic tak nadzwyczajnego. Mnóstwo mężczyzn
kończy, mają patenty,
są doktorami i t. d. i nic sobie z nich nie robimy. Naprzykład
Edzio i ja, on ma
więcej odemnie nauki, on dłużej się uczył, i jak porządnie! A
wszakże nikt go
nie ma za wyjątkowego mędrca. I takich dużo...

— Ależ, Haniu! To są mężczyźni!

I nie było rady. Na tym punkcie Idalka była nieprzekonana.

Tembardziej, że i jej

wyroczenia, Edzio, wcale nie uznawał potrzeby głębszej nauki
dla kobiety. Nawet

był jej przeciwny. Do rodzenia i karmienia dzieci, do
gospodarowania i zarządu

domem, uniwersytet nic się nie przyczyniał, mężowi mądrość
żony była całkiem
niepotrzebną. Więc po cóż?

Na takie argumenty ja nie miałam już żadnej odpowiedzi.

Milkłam zdumiona. Gdyż

przez pięć lat mego pobytu w Krakowie odwykłam zupełnie
od tego świata i od tych

poglądów. Spadałam jakby z innej planety.

Edzio lubił jednak tematy takie poruszać. I bodaj, że uważał to
za obowiązek

starszego brata wpływać na błądzącą siostrę. On się bowiem z
moją «emancypacją»

nigdy nie pogodził. W swoim czasie robił co mógł, aby mnie
ze «złej drogi»

nawrócić, pisał, przekonywał i gromił i z bólem widział, że
wszelkie jego słowa
odbijają się odemnie,

jak groch od ściany. Ale że o nawróceniu grzesznika nigdy
wątpić nie można, więc
dziś, mając mnie pod ręką, postanowił próbować jeszcze, czy
moja dusza nie da
się wyrwać z tej otchłani, w której była pogrążoną.
Edzio był to człowiek, którego niecenić było niepodobna. Tak
często nadużywamy
wyrażenia «porządny człowiek», że już przestało ono mieć
głębsze znaczenie. W
stosunku do Edzia było ono ze wszystkich najwłaściwsze,
główną bowiem cechą jego
wewnętrznej istoty był porządek. Myślał, kochał, czuł,
pracował, sądził, marzył
nawet wedle stałych i nieodmiennych praw. Nie było w nim
miejsca dla rzeczy
niepewnych, niewiadomych, dla zwątpień, dla buntów, dla
wahań lub urojeń. Znak
zapytania dla niego nie istniał. Nie było w nim nawet miejsca
dla żadnej
niewiadomości. On miał w umyśle swoim doskonale ułożone
szuflady z wypisanymi
etykietami. Wiedział, że gdy wyciągnie np. «Cnotę», to
znajdzie w niej takie a
takie uczynki, «Prawdę», to takie a takie niezbite i
niewątpliwe wiadomości,
«Grzech», to takie a takie czyny, «Obowiązek», to już całe
pęki pojęć i rozkazów

i tak dalej. Nigdy zawartość jednej szuflady nie była z drugą w rozterce, nigdy żadna kolizja się nie zdarzała. Wszystko, co tylko wszechświat w sobie zawierał, wszystko, co było pod słońcem i poza słońcem, wszystko, o co duch ludzki z trwogą i z drzeniem pytał, czego z nieśmiałością pożył, do czego bezwiednie tęsknił, rwał się i o czym marzył, wszystko to jemu było już wiadomem, uło-

zonem, nazwanem, określonym i w księgi zapisanem. I to od wieków wiecznych i przez mędrców, którym wierzyć należało ślepo. Pytanie samo było już nonsensem, stratą czasu i myśli i pychą. A Pycha zajmowała poczesne miejsce w szufladzie pod etykietą «Grzech». Gdy teraz przypominam sobie całokształt pojęć tego najporządniejszego człowieka, to nie mogę zaprzeczyć, że miał nieocenioną zaletę: był skończony w sobie, cały zaokrąglony, porządny. I nie dziwię się, wzięwszy pod uwagę nasze dwie natury, że jemu wystarczał, a mnie doprowadzał do szaleństwa. Ja nie umiałam wtłoczyć swej duszy do tych szufladek i wypisywać na niej etykiety i nazwy. Zresztą nauka nie mówiła, że ten najporządniejszy system mego porządnego brata nie stoi na zbyt mocnej podstawie i że każdy bodaj z jego

lapidarnych argumentów dałby się zakwestyonować. To też
słuchałam sceptycznie
wykładów, których mi nie szczędził, gdyż «błądzącym dobrze
radzić» i
«nieumiejętnych oświecać» było ważną pozycją w szufladzie
«Obowiązek». I pod
jednym względem uznawałam jego niezaprzeczoną wyższość
nademną: on miał system,
ja tylko przypuszczenia. On wiedział, ja nie.
Z początku mojego pobytu w Lubiniewiczach zasady Edzia i
moje «przewrotowe
teorie» często się ścierały. On zanadto gorliwie chciał mię
nawracać, ja zbyt
gwałtownie się broniłam. Ale wkrótce przekonaliśmy się
oboje, że to do niczego
nie pro-

wadzi, a wzajemną robi nam przykrość. On nie przestał
«wpływać», ale zastosował
się do innego paragrafu swojego kodeksu «łagodnością
zdobywaj dusze». Ja zaś
dałam pokój dysputom, gdyż zmiarkowałam, że dwie trzecie
moich zdań były wprost
niezrozumiane, wzięte na wspak i przekręcone. Nie dlatego,
aby Edzio nie był
zdolnym mnie zrozumieć, ale że stanowisko, na którym stał, a
z którego ruszyć
się i nie chciał i nie mógł, uniemożliwiało mu wszelką
wycieczkę w moje krainy.
Że okulary, które miał na oczach, a których zdjąć nie mógł ani
na chwilę,

oświecały mu wszystko własnym światłem, odrębnym
zupełnie od mojego, że wreszcie
po prostu, nie byliśmy sprowadzeni do jednego mianownika.
Zrozumiałam też wtedy jedną wielką prawdę, to, że człowiek,
który posiada skarb
tak cenny, jakim jest dogmat, strzeże go usilnie, nie tyle może
z powodu wiary w
jego obiektywną prawdziwość, ile ze względu na własny
spokój i bezpieczeństwo.
Bo przecież dogmat, to ciche schronienie, to pochodnia w noc
ciemną, to
utorowana droga wśród ciemnego lasu, to ciepła owczarnia, to
przystań
bezpieczna, to spokój dni i nocy. Nikt, zwłaszcza w
dojrzałym wieku,
dobrowolnie skarbu takiego się nie pozbywa. Owszem, rękami
i pazurami się go
trzyma.
Nie tylko jednak oderwane kwestye zasad i zdań nas z Edziem
rozdzielały.
Znalazły się wkrótce bardziej życiowe sprawy, o któreśmy się
pogodzić nie mogli.

Wszakże wróciłam do kraju, aby pochodnią zdobytą
rozświecać panujące tu mroki.
Więc cóż miałam robić? Uczyć, pisać, poruszać drętwiejące
umysły, zawiązywać
stowarzyszenia, namawiać, popychać do czynu, niecić światło,
zapalać ogniska,
dmuchać na tlejące iskry.

Zabrałam się do dzieła. Wieś, okoliczne miasteczka, oficyaliści, dzierżawcy, parobcy i gospodynie, a przede wszystkim dzieci, oto, jak mi się zdawało, moje pole działalności. Z ogromnym zapałem rozpoczęłam cały szereg prac, a snułam jeszcze inne plany społeczne, aż Edzio się przeraził, zaczął mię zimną wodą oblewać i różnymi groźbami straszyć.

— Zmiłuj się, Haniu! chcesz nas wszystkich wprowadzić w ładną awanturę! To są niebezpieczne zabawki. Z tem nie żartują. Ani się obejrzysz, jak to wszystko może bardzo smutno się zakończyć.

— Mój Boże! Taka niewinna działalność?

— A taka właśnie. To się im wcale niewinnem nie zdaje.

— Jednak doprawdy, coś zrobić trzeba dla ludzi...

— Moja Haniu, najmędrszy ten, kto swego obowiązku pilnuje, a coraz to nowych rzeczy nie wymyśla. Te wszystkie dzisiejsze modne działalności do niczego nie prowadzą, a wiele mogą szkody przynieść. Nie chciałam uleźć. Próbowałam dalej robić swoje, aż mi Edzio raz dość gniewnie powiedział: — Moja Haniu, proszę cię, przestań. Dopóki przynajmniej jesteś w moim domu, nie narażaj nas na przykrości.

A chcąc mi się wytłómaczyć poniekąd z tak stanowczego zakazu, mówił dalej: — Bo

w naszym kraju najpożyteczniejszymi są ci, którzy własnego nosa pilnują, a nie wtrącają się w to, co do nich nie należy. Nasze położenie jest tak trudne, że potrzebujemy wyteńczyć wszystkie siły, aby się w jakiej takiej pozycji utrzymać i swoje rodziny wychować. A te wszystkie wasze uświadamiania, budzenie ducha, oświaty i tym podobne socjalizmy, to wedle mnie głupstwo jest i bardzo nam niepotrzebne zawracanie głowy. Wobec tego ustąpiłam. Trudno mi przecie było rozporządzać mu się w jego własnym domu. Aby żyć wedle swych przekonań, przedewszystkiem wypadało być u siebie. Mając tę drogę zamkniętą, zwróciłam wszystkie myśli moje ku «Pokrzywdzonym». Tego przynajmniej nikt mi zabronić nie mógł. Tak się odrazu urządziłam, aby mózgiem jak najwięcej czasu poświęcać. Wstawałam wcześniej i od samego rana biegłam do lasu. Zaraz za ogrodem rozciągał się suchy las na wyniosłym brzegu rzeki. Tam siadałam na mchu pod szumiącymi sosnami z teką na kolanach i pisałam. Moi «Pokrzywdzeni» szli rażno naprzód. Gdy wspominałam dziś te dni, to widzę, iż były one najbardziej natchnione w życiu mojem. Potem zdarzyło mi się napisać parę rzeczy, o których ludzie mówili, iż są dobre, lecz nigdy już, wyjąwszy może te parę miesięcy samotności, gdy pisałam «Dziką Mańkę», nigdy nie byłam tak po-

nad światem, ponad sobą samą, nigdy nie patrzyłam na rzeczy
z takiego oderwanego
szczytu, z tej przestrzeni podniebnej, w której pływałam
wtedy, jak ptak,
rozpuściwszy skrzydła szerokie...

Ach, lesie mój! lesie chłodny, szumiący! Com ja przeżyła pod
twemi sosnami! Ach,
rzeko moja! czysta, ruchliwa rzeko! wieleż ty myśli moich
uniosłaś do oceanu
wieczności!

Co było we mnie najlepszego, tyś zabrała i uniosła.

«Pokrzywdzeni» postępowali szybko naprzód. Nieraz, gdy się
krwawo napracowałam
nad jaką sceną, gdy trudności zwalczyłam, rzucałam tekę pod
drzewem i szłam w
głąb lasu. Nigdy tam nikogo nie było. Bydła nie pasano w tej
stronie, grzyby tu
nie rosły. Byłam więc zawsze pewna swej samotności. Ale las
nie był pusty, nie!

W olchach nad rzeką gnieździły się niezliczone ptaki, po
ziemi biegły tam i sam
mrówki skłopotane, w promieniach słońca, co ukośnemi
strzałami przelatywały
wśród drzew, wirowały muszki i pająki upinały swe sieci
srebrne na krzakach
jałowcu, czasem na wyższym miejscu, gdzie piasek był
gorący, mała jaszczurka o
załęknionych oczach cichutko grzać się przychodziła, a
wysoko po sosnach
przemknęła wiewiórka.

Znałam tych wszystkich sąsiadów moich, znalazłam las stary i on mnie znał.

I życie moje wewnętrzne coraz to bardziej odgradzało się od otaczającego mnie życia, coraz bardziej zasuwałam się w swoją samotność. I znowu,

jak w dziecinnych latach, ludzie przezemnie tworzeni byli mi jedynymi przyjaciółmi. I znowu jak wtedy, ogarniała mnie szalona tęsknota do żywego, kochanego przyjaciela, z którymbym się duszą podzielić mogła. Zastanawiając się czasem nad sobą, rozumiałam jedno, to, że takie życie, jakie teraz prowadziłam, było na dłuższy czas niemożliwe. Niepodobna było tak pozostawać w tej dziwnej i skrepowanej pozycji prawie gościa, bez żywej duszy, do którejbym swoim językiem zagadać mogła. Tymczasem, dopóki miałam dużo pracy nad «Pokrzywdzonymi», a prócz tego chciałam dokompletować niejedno w swych filozoficznych studyach, dopóki w moim pokoju piętrzyły się nieprzeczytane jeszcze książki i nieuporządkowane notatki, a w tece arkusze rękopisów były czarne od przekreślali, dopóty nic mię do wyjazdu nie nagliło. Ale potem co będzie? myślałam czasem. Miasto, czy wieś? Oddanie się wyłącznie literackiej pracy? Czy jakaś społeczna, użyteczna

działalność?

«Zobaczmy», kończyłam swe rozmyślenia i wracałam do pracy.

W końcu sierpnia otrzymałam od Wiktora list i paczkę dzienników. Były to numery

«Strażnicy» z mojami nowelami. Przytem było kilka wycinków z innych pism z

pochwałami i najpochlebniejszymi przepowiedniami na przyszłość. Wiktor także

chwalił i wieszował, ale bezwzględnie się nie zachwycił,

«Jeszcze za wiele tam

literatury», pisał, «ale trochę to wylizane panieńskim języczkiem. Nie trzeba

hołdować wiecznie temu, co już było, co kto inny

zrobił, nie trzeba się lękać nowych dróg i nowego słowa. Pani jeszcze zupełnie

nie wyszła z powijaków. Bardzo jestem ciekawy

«Pokrzywdzonych» i proszę o

przysłanie mi ich, gdy tylko będą gotowi. Że pani talent ma, o tem, kiep, kto

wątpi. Ale czy się ten talent nie rozłamsi i nie skisnie w tym tam obywatelskim

morbadzie? to jeszcze kwestya. Ja siedzę w Zakopanem, gdzie zapewne całą zimę

przebędę i zbieram do kupy swoje nerwy. Jest i Niedźwiedź maluje tylko świerki i

plwa na wszystko inne. Czytałem mu nowele pani. Powiada, że pastel, ale dobry.

Ja kończę «Wizye». Mam apetyt na szereg literackich portretów. Co pani na to

powie? No, do widzenia, uszy do góry i trzymać się rażno! a
plwać na wszystko
inne, tak jak Niedźwiedź. Przyjaciel W. P.S. A cóż tam
słyszać w panińskim
sercu? Cóż ten pan, co to się kiedyś «ogromnie podobał»? Co?
Może nam weselisko
sprawicie»?

List ten mnie wzruszył do głębi. Uciekłam z nim do swego
pokoju i długo nad nim
płakałam. Czego? Nie wiedziałam sama, ale łzy jakoś płynęły
i płynęły. A przytem
i radość była i trochę dumy, i zaraz potem gwałtowny impuls
do dalszej pracy.

Tego dnia do białego świtu siedziałam pochylona nad
biurkiem i gdy wreszcie
rzuciłam się na łóżko, ogromna, kulminacyjna scena w
«Pokrzywdzonych» była
napisana.

«Wierzą we mnie... Sprzyjają mi...», mówiłam do siebie
nazajutrz, idąc do swego
ulubionego lasu z teką pod ręką. «Żebyż ich nie zawieść!»...
Wyjęłam raz jeszcze list Wiktora z kieszeni

i odczytałam. «A cóż słyszać w panińskim serduszk? Cóż
ten pan, co to się
pani kiedyś ogromnie podobał»? Zabawny Wiktor! Pamięta o
tem...

Ale prawda! Co słyszać z Żarskim? Chyba, że wcale tego lata
nie przyjeżdżał w te
strony, bo nikt o nim ani wspomniał. I w myśli zarysowała mi
się postać «tego

pana, co mi się ogromnie podobał» i który, tego nie
powiedziałam Wiktorowi, na
mnie też spoglądał dość czułym okiem.
Ten pan, był to wysoki, pysznie zbudowany mężczyzna, w
którego ruchach znać było
elastyczność i siłę, dobrą szkołą gimnastyczną rozwinięte, a
zarazem wytworną
nonszalancyę, nabytą po salonach i buduarach. Miał otwarte
czoło, błękitne oczy
pod zrosniętymi brwiami, nos orli o ruchomych, dobrze
otwartych nozdrzach,
pyszny jasny wąs do góry zaczesany, a pod nim czerwone,
pełne, soczyste wargi i
zdrowe zęby, ukazujące się chętnie w uśmiechu. Nosił głowę
do góry trochę dumnym
i zaczepnym ruchem. Ale w głosie jego były takie nuty
miękkie, zwłaszcza, gdy
mówił z kobietami, a w śmiechu tyle szczerości i dobroci, że,
gdym go poraz
pierwszy ujrzała na jakichś tańczących imieninach przed
dwoma laty u jego
krewnych a Lubiniewickich sąsiadów, to odrazu powiedziałam
sobie: «Oto jest
śliczny typ! Prawdziwie polski, swój!» I z przyjemnością
spoglądałam na niego,
gdy w gronie młodzieży stał w środku salonu, górując nad
wszystkimi swą jasną,
krótko ostrzyżoną głową. Nagle on się obejrzał i oczy nasze
się spotkały.
Zwrócił się prosto do mnie i usiadł na

pustem przy mnie krześle. — Co pani tak na mnie patrzy? —
spytał wesoło. —
Pewnie jakaś złośliwa obserwacja, co? Bo to te mądre
panienki, to nas biedaków
zawsze biorą na kawał. Ja tak ich się lękam, że aj! aj! aj! No,
co pani o mnie
myślała? — Stropiłam się cokolwiek. Śliczne były jego oczy!
— Ależ, nic złego
nie myślałam, doprawdy. A chce pan, to powiem. —
Myślałam, że panu trzeba zbroję
nosić, husarską zbroję z szumiącymi skrzydłami, a nie ten
głupi frac. — A! tak
pani myślała? To bardzo ładnie! — Zatrzymał się chwilę, a
potem rzekł: — A pani
doskonale trafiła! Byłbym husarzem dobrym, słowo daję!
Takbym siekł, rąbał,
ha!... A to, muszę siedzieć w tem wstrętnem biurze i gnić nad
papierami. Ot,
los! — Zamyślił się, ale krótko. Porwał się wnet i głowę do
góry wyrzucił. — E,
co tam! Teraz wakacje. Poflirtujmy trochę. — O! z tem niech
pan się zwróci do
innych panien. Ja nie umiem flirtować. — Oj, taka to prawda!
Ale pani nie chce.
Takie mądre panny, to... — Niechże pan mi da pokój z tą
mądrością! Teraz
wakacje... — On się roześmiał szeroko. — A to dobre! Więc i
mądrość wisi na
kołku? Szczęście dla mnie! No, to i rozmowa pójdzie łatwiej.
— I rzeczywiście
rozmowa poszła łatwo, tak łatwo, że cały wieczór
przegawędziliśmy ze sobą. Potem

jeszcześmy się parę razy spotkali, ale krótko. Żarski wrócił do swego

«wstrętnego biura», ja do swoich nauk. I na tem się skończyła nasza znajomość.

Wiedziałam też o nim nie wiele. Wiedziałam, że Żarscy byli to bogaci obywatele na Litwie, że

matka pana Michała była z domu hrabianką Orwiczówną i że o tem nie wolno było

zapominać. Rodzina była to liczna i chcąc się utrzymać w «pozycyi» musieli

pracować albo bogato się żenić. Pan Michał zaś rozpoczął jakoby karierę od

przehulania całego swego funduszu wśród złotej młodzieży krajowej i

zagranicznej. Musiał więc teraz pokutować za grzechy i «gnić nad papierami we

wstrętnem biurze».

Zresztą to wszystko mało mię naprawdę obchodziło i prędko wywietrzało z głowy.

Gdy czasami przychodził mi na myśl Żarski, myślałam sobie: «Toby był mój typ»...

i przechodziłam nad nim do porządku dziennego.

I teraz, odczytując list Wiktora, uśmiechnęłam się nad jego nieśmiałością

zapytaniem: , może być spokojny! Akurat! w głowie mi teraz amory, teraz gdy

«Pokrzywdzeni» potrzebowali skupienia całej mojej myśli i wszystkich sił.

Jakoś w połowie listopada skończyłam swój dramat.
Przepisywanie i różne poprawki
zająły mi jeszcze kilka tygodni, aż poczułam, że nic już
lepszego zrobić nie
zdołam, że im dłużej poprawiać będę, tem bardziej stanie się
rzecz «wylizana»,
więc spakowałam rękopis i wysłałam pod adresem Wiktora.
I naraz zrobiło się dokoła mnie dziwnie pusto. Gdy
wchodziłam do swego pokoju,
nie witały mię już te twarze tak znajome, to smutne, to
zrezygnowane, to znów
szarpiące się w walce, to roz-

kochane w jakimś ideale. Nie słyszałam już ich głosów ciągle
we mnie
przemawiających, nie czułam ich obecności. Byłam sama.
Pierwszego dnia, nie mogłam usiedzieć na miejscu. Zaszłam
do dziecinnego pokoju
i pobawiłam się z Waciem w koniki, pohuśtałam na rękę
malutką, przeczytałam
trochę zaległych dzienników, ale byłam jakaś nieswoja i
miejsca sobie znaleźć
nie mogłam.

— Co się dziś stało Hani? — rzekła wreszcie Idalka,
zauważywszy mój dziwny
niepokój. — Ty zwykle taka zajęta, dziś wałęsasz się z kąta w
kąta! Nic nie
robisz! Co się stało?
Sama była nadzwyczaj zajęta, gdyż odbywała się wielka
robota, bicie wieprzy i
przyrządzanie wędliny.

— Daj mi jaką robotę, Idalko — poprosiłam.

— Jaką robotę? Cóż ja ci dam? A, dobrze... Gdybyś mogła skroić mi sukienki dla dworskich dzieci. Ciągłe sama się zbierałam, ale czasu nie mam.

— Czy potrafię?

— O, ja ci dam formy papierowe. To tylko potem trzeba do wzrostu przystosować, o, wedle tej notatki.

Idalka się zakrzętnęła. Po chwili w stołowym pokoju pod lampą stałam przy stole z ogromnymi nożycami w ręku. Po jednej stronie, rozrzucone na krześle, mieniły się różnobarwne sztuki barchanu, po drugiej białe zwitki foremek papierowych.

Idalka tłumaczyła: — O, tu, widzisz, karczek, to przód, to plecy. Zapinane z tyłu, to zawsze porządniej. A bryty

daję do mniejszych trzy, do większych cztery. Masz tu długość w centymetrach, rozumiesz? A to pół kołnierza, a to rękaw. Do każdej sukienki trzeba skroić kieszeń i lisztwa, o z tego mamisu...

— A bluzy dla chłopców?

— Bluzy wedle tej formy. Tylko nie zapinane z boku, bo to brzydko, ale pośrodku.

— Naturalnie!

— No, dobrze. Ja tymczasem muszę iść. Dziś szynki do beczek układamy, jutro

kielbasy i salcesony zrobię. Ach, bardzo rada będę, gdy się te sukienki skroją.

Przynajmniej na święta dzieci porządnie wyglądać będą. No, to idę. Ach, cóż to

za okropna pogoda! Lękam się, aby Edziowi co złego się nie stało, słyszysz? Jaki

wicher! Nie daj Boże co złego! Ale, wiesz co, włóż fartuch, te barchany tak

strasznie brudzą!

W dużym gospodarskim fartuchu Idalki zabrałam się do krajania. Po chwili weszła

niańka z Waciem.

— Niechaj panienska dziecka póki co popilnuje — rzekła. —

Mała śpi, to w

dziecinnym pokoju nie można, a ja muszę iść sukienki na jutro wyprać. Tak

niechaj on tu pobędzie przy paniencie.

— Dobrze. Wacio przy cioci się pobawi. Wacio będzie grzeczny, prawda?

— Nana bat zlobi...

— Nie! Nana zajęta. Wacio dawnym bacikiem się pobawi.

Dobrze?

Niańka poszła i zostaliśmy z Waciem. Dziecko z bacikiem biegało dokoła stołu,

hukało na urojone

koniki, gadało coś do mnie. Potem on się wdrapał na krzeszło i zaczęliśmy

śpiewać oboje. On swym cieniutkim głosikiem wywodził coś o «ziabkach» i

«wjubelkach», a ja mu pomagałam. A gdy tylko skończyłam jedną piosenkę, on zaraz wołał: — Eście, Nana, eście...
Naraz coś zastukało, zatupotało. Drzwi od przedpokoju otworzyły się szeroko i stanęła w nich jakaś postać ogromna, w futro ubrana i zaśnieżona od stóp do głowy, a głos wesoły zawołał:
— Litościwa osobo! zlituj się nad biednym podróżnym! Urwała się nasza piosenka i oboje z Waciem przestraszyliśmy się porządnie. On z krzykiem do mnie się przytulił, a mnie serce mocno zabiło.
— Kto to? — spytałam, wyteżając wzrok, aby poznać niespodziewanego gościa. —
Cicho! cicho, Waciu, to jakiś znajomy pan...
Ale Wacio przerażony, zaczynał już płakać na dobre. Więc wzięłam go na ręce, a on, główkę chowając, wołał jeszcze: — Ja nie cem! Ja nie ceni!
— Przepraszam, widzę, żem panią przestraszył — ozwał się znowu głos we drzwiach.
I tym razem wydał mi się ten głos dobrze znajomym. Ale jeszcze nie byłam pewna.
Więc, z dzieckiem na ręku, zbliżyłam się do drzwi.
— Ach! to pan! — zawołałam, poznając w zaśnieżonej postaci Michała Zarskiego. —
Skądże? Teraz, tu?
— A widzi pani! Wyrwałem się na tydzień. Do Kamilówki jadę na jakieś polowanie monstre.

A tymczasem zbłądziliśmy. Piekielna droga! Kręciliśmy się
jak zakłęci na ługach,
aż jakieś światła nas zwabiły i okazało się, żeśmy do
Lubiniewicz trafili.

Dziesięć wiorst nakładu! Ale tymczasem konie ustały,
chłopiec zmarzł jak kość, a
i ja też...

— Niech pan się rozbiera prędko. — Zadzwońłam na
służącego. — Zaraz trzeba coś
ciepłego. Samowar, wódki. I chłopca wziąć do kuchni, żeby
się ogrzał. A tu
prędko wieszczę... Jestem dziś trochę samotna —
tłómaczyłam, gdy już mój gość
zasiadł za stołem i zjadał podane mu na prędcie jakieś zimne
mięso i zapijał
wódeczkę. — Edzio pojechał do folwarku na noc, jutro ma
tam coś w lesie oglądać,
a Idalka i z nią wszystkie baby takie zajęte przyrządzaniem
wędlin, że nikogo
nie widzę prawie przez cały dzień. My sobie z Waciem domu
pilnujemy...

— Nana śpiewała i Acio śpiewał — oświadczył malec,
rzucając z pod jasnych loków
spojrzenie na gościa.

— A jakże! Słyszałem. I, wie pani, to nadzwyczajnie! Tam na
dworze zawierucha
dmie, głowy zrywa, mróz, wichur, ciemno, choć oko wykol,
tłuczesz się człeku w
kółko po błotach, jak dusza potępiona. A tu ciepło, cicho,
jasno, piękna panna
kraje jakieś tam kolorowe szmaty, lampa świeci, przy niej ten
dzieciak śliczny.

I śpiewają sobie o kwiatkach, o wiosnie, o motylkach i
ptaszkach. No, proszę
pani, takie zestawienie, co!
Uśmiechał się, błyskając białymi zębami. I obejmował mnie
całą wzrokiem ciekawym,
jakby mnie

oglądał i badał. Ja się trochę zawstydziłam i czułam, że
zaczynam się
czerwienić. Więc skłoniłam głowę ku jasnym włosom Wacia,
którego trzymałam wciąż
na rękę. I milczeliśmy chwilę. Wreszcie on pokiwał głową i
jakby odpowiadając
własnym myślom, rzekł poważnie: — Ot, co to jest kobieta.
Ale taka... prawdziwa.
Nie te, z przeproszeniem, małpy! lafiryndy! Ale, co tam —
zawołał nagle — na
frasunek dobry trunek! Zdrowie pani! — I wychyliwszy
znowu kieliszek wódki,
zaczął opowiadać o swej podróży, o projektowanym
polowaniu w Kamilówce, o tem i
owem.
A tymczasem wniesiono samowar. Uprzątnęłam ze stołu
swoje barchany, zaczęto
nakrywać do kolacyi. Wacio oswoił się z widokiem obcego,
nawet zdecydował się
wsiąść konno na jego kolano i jechać na niem to stępa, to
galopa, to jak żyd, to
jak pan. Wreszcie nadeszła Idalka, podano kolacyę i
zasiedliśmy do stołu.

Idalka była zmęczona, więc ja się zabrałam do robienia herbaty i, przesłonięta parą z samowara, mało się mieszałam do rozmowy. Słuchałam i obserwowałam. Żarski mówił dużo, opowiadał, śmiał się. A jednak mnie się wydało, że mu coś cięży, iż jakaś myśl czy troska go boli. Od dwóch lat przeszło, jakieś się nie widzieli, zmiana w nim zaszła, powierzchowna nawet zmiana. Pod błękitnymi oczami znalazło się kilka zmarszczek, których tam dawniej nie było, zresztą i blask tych oczu nie był jak dawniej jasny, a usta, gdy się nie śmiały, miały

jakiś wyraz goryczy i niesmaku i jakieś złe i brzydkie skrzywienie. «Pewnie znowu hulał», pomyślałam. I żal mi się zrobiło tego człowieka, stworzonego do czynu, do wielkich walk i zapasów, a marnującego się w bezmyślności. Ach, jaki żal! jaki żal! Ach, wziąć tę duszę w dłonie obie, rozgrzać ją, rozplomienić do tego, co piękne i dobre, uszlachetnić, uświęcić i na dobrej drodze postawić! O, to zdanie godne prawdziwej kobiety! — Jak on to powiedział? Prawdziwa kobieta, nie taka, z przeproszeniem, małpa, lafirynda. Biedak! coś one mu zrobiły, te światowe, albo i półświatowe lafiryndy. Tak prawdziwa kobieta miałaby tu piękne

zadanie!

Dziś, pamięcią wracając do tego dnia, gdy w cieniu samowara
snułam myśli poważne

i zapytania smutne, gdy słuchałam głosu jego z tą natężoną
uwagą, która każdy

ton fałszywy łapie i notuje, dziś pytam się sama siebie: czy
wtedy to właśnie

zbudziła się moja miłość? miłość dziwna, smętna, utkana ze
współczucia i

zlitowania nad tą duszą błądzącą. I zdaje mi się, że tak. Od
tego wieczoru

zimowego nowe już życie zrodziło się we mnie...

Po kolacyi przeszliśmy do salonu. Idalka poszła jeszcze

zajrzeć do dzieci, a my

z Żarskim zostaliśmy sami przy dużym stole, na którym leżały
gazety i książki.

On natychmiast do mnie się przysiadł.

— Pani mi powie zaczął — że ja strasznie jestem zarozumiała.

Ale ja czułem, że

pani podczas wieczerzy patrzyła na mnie i coś myślała.

Prawda?

— Prawda. Patrzyłam na pana i naturalnie, że coś myślałam o
panu.

— A tego «coś» pani mi nie powie? Strasznie jestem ciekawy.

— Nie, nie powiem. Tobie nie wypadało.

— A to ładne rzeczy pani o mnie myślała! Awantura!

— No, nie tylko dlatego. Ale bo w tym świecie nie można być
zupełnie szczerym.

— Nie rozumiem. Jakto, w tym świecie?

— A tak, bo żebyśmy byli np. kolegami w uniwersytecie i pan mnie o to spytał, tobym powiedziała. A tak, jesteśmy, pan kawalerem, a ja panną.

— Na wydaniu...

— Niech sobie będzie i na wydaniu. Więc nie wypada mówić ze sobą tak, jak mówi poprostu dwoje ludzi, a nie kawaler i panna.

— Dajmy, że tak jest. Ale pani mogłaby się nie stosować do tych wymagań.

— Jak gdzie i jak z kim. Gdy byłam... na swobodzie, to się nie stosowałam.

— A tu?

— Tu, jak pan widzi, uczę się trzymać język za zębami.

— I ja na tem tracę.

— Oj! nie wiem. Możebym nic przyjemnego panu nie powiedziała, gdybym była szczerą. — Uśmiechałam się, patrząc na niego i starałam się nadać lekki ton swoim słowom.

Lecz on pochylił się ku mnie i rzekł: — Chociaż pani się stara być taką jak wszystkie, ja wiem,

że pani jest całkiem inną. I, jak Boga kocham! dałbym nie wiem co, aby się dowiedzieć, co pani o mnie myślała? Proszę mi powiedzieć! Moja pani, ja bardzo proszę... Milczałam.

— Ach, pani nie wie — zawołał on po chwili — jak mi potrzeba teraz...

szczególniej teraz... tak czasem... żeby ktoś do mnie dobie
słowo powiedział. A

pani, toby mogła... At, zidyociec przyjdzie! — dodał
gniewnie.

Zerwał się, zapalił papierosa i okrył się kłębamii dymu.

Zamilkliśmy oboje. Czuliśmy, że nie była skończona między
nami rozmowa, że

leżała przed nami jak droga, na którąśmy wstąpili i zatrzymali
się, uszedłszy

zaledwie kilka kroków. Lecz czuliśmy też obawę przed tą
drogą, czy nie zbyt

daleko prowadziła ona? Więceśmy stanęli, jakby dla nabrania
sił i dla namysłu.

Wróciła Idalka i wieczór zszedł na gawędzie.

Nazajutrz po strasznej wichurze nocnej, dzień wstał cichy i
biały. Pola, drogi,

drzewa pokryły się śnieżną suknią, zasnuły się niepokalaną
białością. Nawet

niebo białe było i nie oddzielało się od ziemi.

— Niech panie skorzystają z pogody i przejadą się ze mną
trochę — zaproponował

Żarski, gdy jego konie podeszły pod ganek — doskonale
biegają kamilowskie

gniadosze.

— Nie, dziękuję. Ja nie mogę — rzekła Idalka,

która już siedziała jak na szpilkach. — Mam dziś mnóstwo
zajęcia.

— A ja pojedę z przyjemnością — powiedziałam, jakby od
wewnątrz jakimś rozkazem

popchnięta. I wstałam, nie patrząc na zgorszone trochę oczy Idalki, której ta przejażdżka z «kawalerem» nie trafiała do przekonania. Po chwili siedziałam w sankach, a obok mnie Żarski, promieniejący i uśmiechnięty.

— Mam teraz panią w ręku! — zawołał wesoło, gdyśmy wyjechali za bramę. — Hryćko!

— kuknął na stangreta — popędzaj! Konie wypoczęte, owsa nie żalowali, to i ruszaj gdzie w bok, do lasu! Panienkę obwieziemy na spacer. — Słucham pana.

— A co — śmiał się, zwracając się do mnie — aha! porwałem panią, co! Mam teraz w ręku, o tak, trzymam, trzymam. I nie puszczę, aż sam zechcę.

— Zaciskał przytem silną swoją dłoń i śmiał się, błyskając wilczymi zębami. — A pani się nie boi?

— Ja! czego?

Stropił się nieco. — A... a chociażby mnie?...

— Bać się pana! Skądże? Wcale się nie boję. Zresztą, cóż mi kto może zrobić?

Byłam tak spokojna, że i jego podniecenie opadło i rzekł po chwili już zwykłym

głosem: — A wie pani, dlaczego panią porwałem? Bo teraz pani mi powie to, co

wczoraj myślała o mnie? Powie, prawda? Aż śmiesznie, tak mi to utkwilo, spać nie dało. No, proszę powiedzieć.

Zawahałam się jeszcze. «Powiedzieć?» to zna-

czy pójść tą drogą, z której już zawrócić trudno, pójść z nim razem. Zmienić stosunek światowy panny do kawalera na stosunek bardziej przyjacielski, bardziej ludzki. Dać mu trochę siebie, udzielić mu swej wewnętrznej istoty.

A czy warto? czy warto?

Zamyśliłam się i spuszczonei oczami śledzić poczęłam mknącą pod nami śnieżną drogę. Czułam, że on na mnie patrzy z ciekawością i że się dziwi. Dziwi się, że nie korzystam z tej idealnej, z tej jedynej może sposobności do flirtu. Takby przecie zrobiła każda prawdziwa panna.

Aż nagle przyszła dycezya: powiem wszystko, co myślę, co mi tam! Podniosłam głowę i spojrzałam mu prosto w oczy. Oczy te były jakby trochę przymglone wzruszeniem.

— Jeśli pan chce, to powiem wszystko — zaczęłam. — Ale proszę się nie obrażać, bo uprzedzam, że brzydko o panu myślałam. Gcetyśmy się poznali przed dwoma laty, pamięta pan? powiedziałam, że pan do husarskiej zbroi stworzony. Już wtedy wiedziałam, że tam dawniej było trochę niedobrego, trochę hulania, ale myślałam, że to przeszło, że pan pracuje, że jest porządny i że wszystko dobrze. Tymczasem wczoraj patrzałam z za samowara i tak mi się zdało, że przez ten czas znowu coś złego z panem się zrobiło. W twarzy pańskiej coś jest... nieprzyjemnego. To nie

skąd inąd pochodzi, jak ze złego życia. A przytem, to co pan powiedział o kobietach, to mi daje do myślenia, że pan się obraca w bardzo złem towarzystwie.

— Na miłość boską, pani! Z samemi hrabiankami tańczę.

— To niczego nie dowodzi. Te hrabianki mogą być właśnie największemi małpami i

lafiryndami. I to widać — chyba się nie mylę? — że pan jest niezadowolony z

życia, ze swego losu, z siebie, przedewszystkiem z siebie.

Naturalnie, tego się

nie mówi, ale to się czuje. I... Ale czy mam mówić wszystko.

— Ależ tak! tak! Pani jest wprost jasnowidząca.

— I mnie się zdaje, że pan na to niezadowolenie szuka sobie pociechy w bardzo

marnych rzeczach. Ale to nie pociesza i nie zadawalnia. Więc pan ciągle jest

podrażniony i z siebie nie rad i rwie się do czegoś i ciągle opada. I szkoda, że

tak jest, bo mnie się zdaje, że z pana mógłby być zupełny człowiek. Jakoś tak mi

się zdaje...

Zamilkłam i znowu wpatrzyłam się w mknący pod końskimi kopytami śnieg. Przez

las jechaliśmy i sosny nas otaczały kołem.

Lękałam się, że powiedziałam za dużo. Wszakże to nie był ani Wiktor ani

Niezdźwiedź, ani żaden kolega. To był obcy, nieznaną kawaler. Więc chcąc trochę

złagodzić tamto, rzekłam cichym głosem.

— Panu trzeba by coś poważniejszego pokochać. Przecie szkoda byłoby taką dobrą duszę w hulankach zatracić. Czyż pan siebie nie żałuje na to? Zwróciłam się do niego. Ale teraz on siedział ze spuszczoną głową i gryzł jasne wąsy, a czoło

mu się marszczyło. Widać, że w mowie dotknęłam wrażliwego na ból miejsca, bo twarz miał smutną i wzruszoną. Przeraziłam się i zaczęłam przeproszać. Ale on się porwał. — Niech pani nic nie mówi! Owszem, dobrze dla mnie, że to posłyszał. Bo to prawda, święta prawda! Tylko, skąd pani to wiedzieć może? — Ależ ja nie wiem. Ja tylko tak sobie wyobrażam. — Pani jest jasnowidzącą — powtórzył i zamyślił się. I długo trwało między nami milczenie. On, zdawało się, zapomniał o mojej obecności. Siedział chmurny, coraz chmurniejszy i szarpał wąsy. Ja żałować zaczynałam, że się dała wciągnąć w tak poufną rozmowę. Lepiej byłoby go zbyć jakim zdawkowym frazesem, tak jak pierwszego lepszego kawalera, nachichotać, naintrygować, tak, jakby tysiące panien na moim miejscu zrobiło. Bo teraz, czyż nie śmieszne to było? Prawić mu morały, nieproszona i niedziękowana. No, wszakże proszoną byłam, i bardzo. Lecz czy wdzięczność otrzymam? To pytanie.

Konie biegły równo. Sosny sunęły dokoła nas, mijały i ginęły
za nami, i znowu
inne nadbiegały, i znowu przemykały i ginęły.
Nagle on się porwał. — Dobrze pani mówić! — zawołał
gniewnie. — A nie hulaj! A
nie trać! A pracuj! A bądź porządny! Dobrze pani mówić! Wy
sobie, panienki,
siedzicie jak u Pana Boga za pie-

cem, ani wiecie co i jak. Co wam grozi? któż was zaczepia? A
my, to... Dyabli
wiedzą, co z sobą robić!... — Parsknął, nozdrzami poruszył i
znowu mówił: —
Niepotrzebnie może ja panią pytał, ale teraz, już zacząwszy,
trzeba dokończyć.
Więc i ja pani coś powiem. Ja źle żyję? Tak, prawda,
paskudnie żyję. Ale co mam
robić? — Urwał i zdjął czapkę. Było mu gorąco. — Ja pani
powiem. Ja mam słaby
charakter, to wiadoma rzecz. Ale, gdy byłem młodszy, to
jednak tęgi był ze mnie
facet. Ojczyzna, społeczeństwo, idee, poświęcenie, wszystko
to było, i naprawdę
było. Nie hulałem wtedy! A jeśli tam kiedy co zbroiłem, to
sam siebie potem
bardzo wstydziłem i poprawiałem się. I kto wie, wyszedłbym
może na człowieka,
gdyby nie te... A bo zawsze kobiety wszystkiemu winne! —
Stuknął pięścią w
kolano. — I niech pani sobie nie myśli Bóg wie co. Ta, która
mnie zgubiła, to

była la fine fleur dystynkcyi, hrabianka Orwiczówna, kuzynka moja, teraz wyszła za Horszyńskiego. Zakochałem się, jak kot marcowy, włożyłem w nią wszystkie ideały i świętości, czciłem ją jak monstrancyę. Byliśmy zaręczeni. Aż tu, a propos mojego pojedynku z baronem, okazała tyle podłości, no, tak, wyraźnie mówię, podłości, tyle egoizmu i taką niepojętą próżność, że mnie, choć się za nią biłem, nie za kogo, oczy się otworzyły i powiedziałem sobie: I cóż mi po takiej, u licha? Ona chce się tylko wydać bogato, wtedy byłem jeszcze bogaty, to jest dosyć bogaty, a ona nic nie miała, a o mnie dba tyle, co o wyciśniętą cytrynę! A ja, proszę pani, miałem

pretensyę być kochanym, nietylko służyć za męża i za parawanik do czego innego, ale być kochanym. Wszystko, albo nic! Ja inaczej nie umiem. Śmieszna to pretensya, prawda pani, co? Spojrzeliśmy sobie w oczy. Ach, te jego oczy! Brały mię jakby ręką, przylepiały się do moich źrenic, ciągnęły jak magnesem. A roziskrzone były, a gwałtowne, a zarazem smutne... Wszystko, albo nic! On znowu głowę spuścił i mówił: — Po tej awanturze, to byłem chory ze dwa

miesiące. Ale za to, jak wyzdrowiałem, to był już we mnie inny człowiek.

Wyleciały ze mnie wszelkie marzenia, ideały, patryotyzmy i inne głupstwa, a chciałem tylko żyć i użyć. To też używałem przez lat parę, ha! — Urwał. A potem dodał obojętnym głosem: — Tyle narobiłem długów, że cały mój fundusz po ojcu poszedł na ich pokrycie. Mój brat, Maurycy, jakoś to tak urządził, że wziął na siebie mój majątek, a długi moje spłacił. Posadzono mnie w tem biurze i odtąd siedzę i gniję tam. A gdy mam za co, to znowu się puszczam, a potem znowu gniję i tak w kółko.

Powiedział to z wielką goryczą. A potem zamilkł i siedział nieruchomy, ponuro patrząc przed siebie.

Mnie coraz przykrzej się robiło. Brał mnie żal okropny. Ach! coś zrobić, wyratować, zbawić tego człowieka! Biedny on, biedny! Ach! wysnuć choćby z własnego serca nitkę mocną a cienką, a jedwabną i oplątać go, i owinać, i przywiązać,

i tak poprowadzić za sobą na wyżyny, w jasność! Wlać w to zburzone serce trochę słodczy, trochę ciszy, ujarzmić tę niesforność, ukoić, wzmocnić i dać mu to

kochanie, którego pragnął niegdyś! Ach, i nie dać mu zginąć!
nie dać!... nie
dać!...

Długo trwało między nami milczenie.

Aż on się pierwszy poruszył, zapalił papierosa i zwrócił się do mnie.

— I po co ja to wszystko pani opowiadałem? Panią
wynudziłem, a mnie, co z tego?

Ale ot — dodał po chwili — ot, jaki ja jestem. Tak mi się
raptem zechciało

jakiej dobrej duszy o sobie rozpowiedzieć, od wczoraj, gdy
panią zobaczyłem, tak

mnie do tego wprost parło! Nie mogłem wytrzymać. A teraz,
widzę, co mi po tem? —

Sięgnął po moją rękę i pocałował. — Przepraszam, już więcej
nie będę. Mówmy o

przyjemnych rzeczach. — Zaczął żartować. — No, niech pani
nie siedzi tak

zasepiona, niech się pani zaśmieje, spojrzysz na mnie, nie
odwraca głowy! Bo będę

miał wyrzuty sumienia. No, panno Hanno! proszę mi spojrzeć
w oczy! Wesoło!

Wesoło!

Ale im bardziej się śmiał, tem większy smutek mnie ogarniał,
smutek tak

dręczący, że czułam, jak się we mnie serce ściska. W gardle
dusić mnie zaczęło,

fala łez podchodziła coraz wyżej, wyżej... aż z oczu krople
wytrysły...

spuściłam głowę, chciałam je otrzeć...

Aż on pochwycił mnie za rękę i pochylił się ku mnie.

— Co to! Łzy!... — zawołał. — Za mnie... łzy... Ach, pani!...
Przejażdżka zakończyła się milcząco. Nie wyrzekliśmy już ani
słowa. Tylko, gdy
po kilkowiorstowym kręgu, Hryćko wyjechał znów w aleję,
prowadzącą do
Lubiniewickiego dworu, ja kazałam mu stanąć i wysiadłam.
Uścisnęliśmy sobie dłonie i zwróciłam się ku domowi.
We trzy dni później, korzystając z ładnej pogody, wyszłam z
małym Waciem na
przechadzkę w aleję topolową. Jużśmy wracali do domu, gdy
na drodze ukazał się
konny posłaniec, a dogoniwszy nas, zatrzymał wierzchowca,
zsiadł i do mnie się
zbliżył. Poznałam chłopca z Kamilówki, który nas woził.
— Przywiózł ja panience list — rzekł.
— Od kogo? Do mnie? — spytałam zdziwiona.
— Od pana Żarskiego — rzekł Hryszko. — Ale pan kazał
oddać i zaraz wracać, bo
nie będzie nijakiej odpowiedzi.
I zanim się opamiętałam, Hryszko wsiadł na szkapę i zawrócił.
«Od pana Żarskiego», powtarzałam sobie, ściskając w ręku
nierozpieczętowany
list. Wydało mi się, że w dłoni trzymam swoje przeznaczenie.
Czułam, jak krew
przyływa mi do serca gwałtownie, jak to serce bije i drży, a
nogi podemną się
chwieją i głos więźnie w gardle.
Gdy znalazłam się na koniec w swoim pokoju,

zamknęłam drzwi na klucz i list położyłam przed sobą. Czego on chce? Czego on odemnie chce? I widziałam jego posępną twarz, gdy mówił o sobie i jego iskrzące się oczy i drgające usta. I znowu wielki żal nad jego biedną duszą porwał mię i ogarnął.

Rozdarłam kopertę i czytałam:

Pani!

Te dwie łzy, którem dostrzegł w pani oczach, nie dają mi ani chwili spokoju.

Nigdy nie spodziewałem się, aby ktoś mógł nademną zapłakać. Zrobił się we mnie

przewrót zupełny. To, czego pragnąłem w najlepszych moich latach, a co uważałem

za przepadłe, to wszystko stanęło przedemną jak żywe i wie pani, że marzę o

wyrwaniu się z dzisiejszego mojego życia i o odrodzeniu się mojej duszy, którą

pani nazwała dobrą i nad którą te kochane łzy wylała.

Myślałem, że już nigdy tego nie zapragnę. A ot, stał się cud! i to za przyczyną

pani. Ach, panno Hanno! czy nie jest pani właśnie tą prawdziwą kobietą, której

kiedyś szukałem?

Wiem, że ten list może się wydać śmiesznym i bardzo niewłaściwym i że na to, aby

tak pisać, trzeba się lepiej znać. Ale gdzież my się możemy lepiej poznać, kiedy

ja muszę wracać do X. i Bóg wie, kiedy się znowu zobaczymy. A przez ten czas, co

będzie?

A ja nie mogę już żyć bez pani. Przepraszani, że to mówię, ale
doprawdy, czuję,
że mnie pani

tak opanowała, że już nic innego mi nie pozostaje, jak prosić:
zmiłuj się

nademną i bądź moją żoną.

Wiem bardzo dobrze, że nie mam do tego żadnych
kwalifikacyi, jestem taki

niepewny człowiek, i niebogaty, i niewykształcony, i że nie
wart jestem takiej

łaski. Wiem także, że pani wcale nie ma ochoty iść za męża, a
szczególniej za

takiego, jak ja.

Ale jeśli mi pani odmówi, to już nie wiem, co zrobię, bo to
mój ostatni ratunek.

Jutro rano przyjadę po odpowiedź.

M. Ż.

Oparłam głowę na rękach i siedziałam nieruchoma. Co robić...
co robić?...

! po co on się tu zjawił! czego odemnie chciał? jakim prawem
pokój mój mącił?

Ten człowiek obcy, nieznan, z którym nie łączyło mię nic,
nic. Bo, że mu

okazałam trochę współczucia, że nie mogłam powstrzymać
łez... to jeszcze...

«Te kochane łzy» on pisał. Co za kochane! głupie łzy! Teraz
wściekła na nie

byłam.

Że on był sympatyczny, tego nie zaprzeczałam. Lubiłam tę
męską w nim siłę, tę
zamaszystość, tę bujność, tę szczerłość, co od niego biła. To
był mój typ,
zapewne. Ależ od tego do małżeństwa, to jeszcze daleka
droga. I dotychczas
niczem go nie upoważniłam do takiej propozycji. Wieluż było
takich ludzi na
świecie, którym o wiele więcej okazywałam przyjaźni i
życzliwości, a którzy
jednak nie prosili mnie zaraz na żonę. Nie mó-

więc o Wiktorze, ale Niedźwiedź, i Poeta Czerwony, i Benda,
mój Boże! ileż
wieczorów spędziłam z nimi sam na sam, ileż wycieczek
odbyliśmy razem! A gdy
Czerwonemu przyszło kiedyś na myśl robić mi jakieś
matrymonialne propozycje, ja
zaśmiałam się tylko i odrzekłam: «Ani myślę! Proszę mi o tem
nigdy nie
wspominać. Czy mi życie nie miłe».
A teraz? Czy mogę tak samo Zarskiemu powiedzieć: «Ani
myślę?»
«Nie! nie mogę». Coś już mnie z nim związało, coś, czego ze
śmiechem i lekko
rozwiązać nie można. Czyżby te łzy, co z serca i oczu nad nim
się polały?...
Więc co? Więc iść za niego?
Byłaby to szlachetna misya, prawdziwe apostołstwo, może i
szczęście. Tak, może i

szczęście. Jego pokochać można. Ach, tak! całą duszą można go ukochać.

Ale ja nie! Miał rację, pisząc, że ja wcale nie mam ochoty iść za męża, a

szczególniej za takiego, jak on.

No, czy szczególnie za takiego, jak on?...

Ale naprawdę, teraz nie mam ochoty iść za męża. Może kiedyś, gdybym się

zakochała...

A czemużbym nie miała właśnie w Zarskim się zakochać?

Przyznaję sama, że to mój

typ. Ze mię pociąga, że mię wzrusza do głębi tem prostem przyznaniem się: jeśli

mi pani odmówi, to już nie wiem, co zrobię, bo to mój ostatni ratunek.

Więc czemużbym się nie miała w nim zako-

chać, pójść za niego, uratować go, podnieść, otoczyć

szczęściem i sama być z nim

szczęśliwą?

A talent? A ten świat wiedzy, światła, idei? A te szerokie przestrzenie, po

których szybować chciałam? A te szczyty samotne i dumne, a te ciche świątynie? A

te tajemnicze przybytki, te skrzydła moje orłowe?... To wszystko porzucić, a w

zamian dostać co? Dom, wizyty, kucharki, miski, garnki, choroby, pieluszki,

stosunki towarzyskie, jakieś matki i ciotki i całą tę powszedniość, tę czczość,

te szarzyznę filisterskiego żywota! Słusznie Wiktor mówił, że to śmierć dla talentu.

«Nie, dziękuję. Ani myślę!» powiedziałam sobie. I schowałam list do kieszeni, a sama zeszłam na obiad.

Przy obiedzie Edzio i Idalka byli skwaszeni, On tylko co powrócił z folwarków, gdzie dłużej musiał zabawić, niż zamierzał, znalazłszy jakieś nieporządki

malwersacye w lasach. Wróciwszy, zastał tu «deces» w gorzelnii i mocno się tem zirytował. A Idalka rozpoczęła skargę na rządcę, że krowom złą daje słomę i

brahę zbyt ostudzoną, a o cielęta nie dba wcale i dotąd obory na zimę nie

opatrzył, tak że wiatr przewiewa nawskróś i już zaczynają chorować. Edzio

zgryziony, wymówiwszy gorzelnianemu jego niedołęstwo, kazał prosić rządcę na

obiad, aby też zaraz kwestyę cieląt i krów szeroko rozwinać.

Na to nadeszłam i musiałam wysłuchać długiej dySSERTACYI gospodarskiej,

zaostrzonej złymi humorami Edzia i Idalki, która po zrobieniu wę-

dliny była strasznie zmęczoną i nie mogła, jak zwykle, zapanować nad sobą. Na

domiar złego pod koniec obiadu niańka wprowadziła Wacia, który się tylko co

obudził i szedł w różowym humorze «tacia» powitać. Ale tacio przywitał go dość chłodno, a gdy malec zaczął się domagać «ciuklu», ofuknął go ostro, tak że dziecko rozzalone schowało główkę na kolanach matki i popłakiwać zaczęło.

— Rozpieszczasz go do niemożliwości — rzekł Edzio do żony, wstając od stołu — robi się nieznośny!

Wyszedł. Idalka miała łzy w oczach. Ale potrafiła jeszcze uśmiechnąć się do mnie i powiedzieć niby żartem: — Oj, coś mój pan dzisiaj nie w humorze! — Widziałam jednak, że i ona była nie w humorze.

«Nie, dziękuję, na to mnie nie weźmiecie», myślałam, idąc wkrótce potem do swego pokoju. «to jest obrazek szczęścia rodzinnego! Bardzo to ładne, ale z daleka.

Ale w tem być, dziękuję!»

Zamknęłam drzwi za sobą i postanowiłam wcale nie myśleć o Żarskim. Jutro, gdy

przyjedzie, powiem mu: «Nie»! I będzie rzecz skończona.

Zapaliłam lampę, usiadłam na wygodnej kanapce i wzięłam książkę do ręki. Książka

była nowo wydana, bardzo zajmująca, przed kilku dniami, czytałam ją z

przyjemnością. Teraz jednak myśl moja ciągle się odrywała.

Jutrzejsze spotkanie

korciło mię i odejmowało spokój. «No, cóż wielkiego»! mówiłam sobie.

«Przyjedzie, to mu zaraz tak powiem: że list jego otrzymałam, że mu jestem

wdzięczna za wyrażone tam uczucia — to tak się mówi, o ile
wiem — że mam dla
niego wiele szacunku i sympatii, i to trzeba powiedzieć, ale
że... to... owo...
i jakoś tam będzie. W każdym razie, to krótko potrwa».
Znowu czytać zaczęłam.
«Ale cóż ze mną będzie?» stanęło mi nagle w myśli.
Dotychczas miałam zawsze cel
wyraźny przed sobą, to egzaminy, to studia, to przechodzenie
z kursu na kurs, to
wreszcie «Pokrzywdzonych». A teraz — nic.
Co prawda, świat stał przedemną otworem. Byłam niezależną
i moralnie i
finansowo. Mogłam sobą rozporządzać. «Chyba, że zaraz po
świętach wyjadę»,
pomyślałam. «Pojadę do Krakowa, odświeżę się trochę. Może
mi coś na myśl
przyjdzie i pisać zacznę. Tu beczynnienie siedzieć nie mogę».
Ale czym w ogóle być mam w życiu? Jaką iść drogą? Tego
jasno nie wiedziałam.
Rozumiałam dobrze i to od najmłodszych lat czułam, że
grzechem jest opuścić kraj
swoją i tulać się pod obcymi niebiosami. Ze wyjątkowe tylko
okoliczności mogą
tłómaczyć to, co naprawdę jest zdradą, odstąpieniem od
chorągwi, zemknięciem z
pola walki, tchórzowstwem i dezercją, za którą w wojsku
karzą rozstrzelaniem. To
też nigdy nie wahałam się w tym względzie. Zawsze
towarzyszyła mi myśl

osiedlenia się wśród swoich. Ale gdzie? I co robić? I nad czym pracować?

Ach, gdyby pewną być swego talentu!

Lecz czegoż dowodzą pochwały kilku przyja-

ciół? Polegać na nich nie można. Tyle jest przecie grafomanek na świecie!

«Zobaczymy, co powie krytyka o «Pokrzywdzonych», pomyślałam. «To będzie dopiero znaczące».

A tymczasem, myślałam, jutro powiem Żarskiemu, że do małżeństwa nie mam najmniejszej ochoty i że byłabym najgorszą żoną, boby mi się ciągle śniła

literatura, a nie można dwom panom służyć. On to zrozumie.

A zresztą czy te jego

zapały tak bardzo znowu trwałe i prawdziwe? To wielkie pytanie.

Chociaż... list jego...

Et! jak im trzeba, wszyscy pięknie pisać umieją.

I nazajutrz, po bardzo źle przespanej nocy, z mocnym postanowieniem odmówienia

Żarskiemu, zesłam na dół na śniadanie.

Czułam się znerwowaną. Wszystko mię drażniło. Chociaż wczorajsze kwasy były już

całkiem załagodzone i czoła jasne, mnie atmosfera domu wydawała się duszną nie

do zniesienia. «On nie przyjedzie chyba przed południem», pomyślałam, «więc

tymczasem mogę się trochę przejść». I choć dzień był mglisty
i odwilż zamieniła
biały do niedawna świat na jakiś szary, kapiący i wilgotny,
prędko się zebrałam
i po chwili szłam samotnie topolową aleją ku lasowi.
Szłam prędko, jakbym ruchem chciała myśli swe rozproszyć.
Bo myśli były wciąż smutne, drażniące jakieś i niepewne.

Nademną rozciągało się szare niebo bez chmur i stały rzędem
czarne topole z
liści odarte, ogromne i sztywne, jakby szeregi trupich
szkieletów, straszne
jakieś w tej ciszy i w tej nieruchomości. A cisza była wielka,
przerwana tylko
czasem krakaniem wrony gdzieś w oddali, lub łopotem jej
skrzydeł, gdy ciężkim
lotem mknęła ponad polem.
I nagle pod temi umarłymi drzewami, na tej szarej,
berbrzeżnej przestrzeni,
porwała mnie świadomość mej samotności. Uczułam się nagle
tak małą, tak marną,
tak na nic nikomu nie potrzebną, taką okruszyną w tym
niezmierzonym świecie! A
tak samotną! Ach, tak rzuconą na wolę wichrów, bez żadnego
oparcia, bez żadnej
dłoni przyjaznej... Nikogo... nikogo nie miałam...
Strach mię ogarnął. Nie chciałam widzieć tych martwych
drzew i tego pola,
ciągnącego się w dal bez końca.
Skręciłam na małą ścieżynę, prowadzącą do lasu.

Tam było bezpieczniej. Drzewa przyjaźnie mię otoczyły
kołem, a sosny zaszumiały
nademną poważnie, dobrotliwie. Objął mię las i przygarnął.
I w życiu, gdyby tak mieć ramię silne a kochające, coby objęło
i przygarnęło i
przytuliło! gdyby mieć pierś szeroką, pod którąby biło serce
gorące, do której
by się przycisnąć można było w złej godzinie i mieć duszę
oddaną i przy sobie
zawsze kochanie wielkie, możeby to było szczęściem?
Ach, nie być samotną! tak zupełnie, zupełnie samotną!

Podniosłam głowę. Nademną stał na tle sosen krzyż i
rozdzielało się dróg kilka.
W tem samem miejscu przed kilku dniami pożegnaliśmy się z
Żarskim po owej
pamiętnej przejażdżce. Teraz lada chwila mógł przybyć.
Należało do domu
powrócić.
Myśl oczekującej mię rozmowy zaczynała mię coraz bardziej
drażnić. Co mu
powiedzieć? Jak powiedzieć?
Aż nagle usłyszałam za sobą wołanie: — Panno Hanno! Pani!
— I szybkie kroki,
które mię doganiały. Stanęłam.
Za mną przez las wielkimi susami pędził Żarski, przeskakując
zarośla i gałęzie.
Był w długich butach i miał strzelbę na plecach.
— Szczęście, zem panią tu spotkał! — zawołał, dobiegając.
Porwał obie moje ręce

i zatrzymał w swoich. — Ach, dobrze choć popatrzeć na panią! Udała się moja kombinacja mówił prędko, jakby zagadując. — Bo strasznie mi się nie chciało jechać do dworu. Gdzież tam się rozgadać przy wszystkich! Więc myślę sobie: będę krążył, nibyto poluję, dokoła dworu. Nie może być, aby pani nie wyszła na spacer. Miałem czatować aż do wieczora. A wyjść można tylko w tę stronę, bo tam drogi zawiane, rzeka, błota. Ot, i udało się! i prędzej, niżlim się spodziewałem. Dostrzegłem panią — i leciałem...
— Ja wracałam już do domu na spotkanie pana.
— Dobrze się stało, żeśmy się tu spotkali. Rozgadamy się swobodnie, bez świadków i ceregieli. — Spojrzał na mnie uważnie i dodał: — Ach, pani! jak ja się boję!

I mnie nagle porwał też lęk. Lęk okropny i dziwny. Poczucie wyraźne, że trzymam tę duszę, jak ptaka w dłoni i że odemnie zależy, co z biednym ptakiem dalej się stanie. Poczucie, że sama też jestem w czyjejs dłoni, że gdzieś idę, że coś gdzieś mię popycha, że coś na mnie czeka i że nic nie wiem, co, gdzie, dokąd, a jednak lecę naprzód, naoślepi... naoślepi...
Ach, są takie chwile w życiu, kiedy czujemy, że człowiek nie posiada «wolnej i

nieprzymuszonej» woli, jak nas dobrodusznie poucza katechizm, że istota nasza jest gdzieś rzucona w bieg, pchnięta naprzód obcą, nieznaną jej siłą...

Więc stałam nieruchoma przed Żarskim, niezdolna słowa przemówić, daleka już od wszelkich postanowień, jakie dziś rano jeszcze czyniłam, przerażona i niepewna.

A on się nademną pochylił i szepnął:

— Niech pani prędeż mówi! Już ja nie mogę wytrzymać.

— Ach! nic nie wiem... nic nie wiem... — zawołałam

bezzradnie i wyrwawszy ręce z

jego rąk, zaczęłam iść prędko przed siebie.

— Panno Hanno! Pani! Niech się pani zlituje! Ja muszę coś wiedzieć.

— Zaraz... zaraz powiem wszystko. Poszliśmy więc razem w las. I długą chwilę milczeliśmy oboje. Ja starałam się zapanować nad sobą i zebrać myśli. On nie przerywał, szedł za mną.

— Proszę pana — rzekłam wreszcie — już powiem wszystko. Mnie się zdaje, że ja nie mogę

iść za mąż. Bardzo dziękuję panu, bardzo jestem wdzięczna, ale wyjść za pana...

ach, Boże! ja nie wiem, czyby to było dobrze. Ja w ogóle na żonę nie bardzo

pasuję... A panu trzeba jeszcze lepszej żony, niż komu innemu. Bo, jeśli to, co

pan pisze, że chce się... poprawić, to naprawdę tak będzie, to właśnie trzeba
panu doskonałej żony do pomocy. A ja!... Ale przecież są takie panny na świecie.
Jestem pewna, że możnaby znaleźć dobrą dziewczynę, któraby się w panu zakochała
i byłaby pomocą we wszystkim. Pan źle myśli o kobietach, ale to niesłusznie, bo
są doprawdy takie...
— Poco mi pani mówi o innych! — przerwał gwałtownie. —
Ja panią nie proszę o swaty. Ja pani chcę. Proszę mi o sobie mówić.
Stał oparty o sosnę, wzburzony już i zły.
— O sobie?... Ach, to tak trudno! — Nagle jednak zdecydowałam się. — No, więc
dobrze! powiem i o sobie. Pan nie wie, ale ja od dzieciństwa marzyłam o nauce...
i o pisaniu... Wszystko na to zrobiłam, aby iść tą drogą i poszłam... I
chciałabym iść dalej i dalej. A tak, jeśli wyjdę za pana, to co? Zakocham się i
wszystko przepadnie.
On się porwał. — Moja najmilsza! Więc mogłabyś się zakochać? We mnie? Więc
mogłabyś? No, proszę powiedzieć, co? — Chwycił obie moje ręce i do ust je
przycisnął, a przyciągnąwszy mię do siebie, powtarzał pochylony nademną: — Więc
mogłabyś mnie kochać, co? co?
A mnie coś tak słodkiego wlało się do duszy, że przymknęłam oczy, a przez myśl
przeleciało,

jak błyskawica: — Ach, wszystko oddać za takie chwile! — i szepnęłam cicho...

cichutko: — Mogłabym...

Ale nagle odskoczyłam i stanęłam opodal. A oparłszy się o drugą sosnę, zaczęłam

mówić, mocując się z głosem, który drżał trochę:

— Mówmy rozsądnie! Mówmy rozsądnie! Możebym się i zakochała w panu, ale ja tego

nie chcę. Ja chcę być swobodną i nie mieć żadnych więzów i nie należeć do

nikogo. Ja albo byłabym złą żoną, albo byłabym

nieszczęśliwą. Czy tak, czy tak,

byłoby źle. W mojem położeniu, to nieroztropnie iść za męża, szczególnie tak...

— Ja wiem, że jestem złą partyą — warknął Zarski.

— Ależ ja nie o tem mówię! Pan może być najlepszym, ale ja... Cóżby taka jak ja

robiła w tym świecie, w tem otoczeniu, w którym się pan

obraca? Ja potrzebuję

czego innego. Kto chce pisać, tworzyć... temu trzeba podniety, atmosfery

innej... Chyba — dodałam, jakby do siebie — porzucić tamto, a cała się oddać...

Ale nie! nie! Tego nie chcę! nie potrafię!

Staliśmy naprzeciw siebie z męką w sercach.

On zaczął mówić nieśmiało, że jeśli mu się usunie ta ostatnia deska ratunku, to

zapadnie na wieki w ciemność. Że kocha mię tak, jak żadnej dotychczas nie

kochał, że ta miłość rośnie w nim z każdą chwilą, jak powódź wiosenna i jeśli na

zaporę trafi, to zatopi wszystko i stanie się dla niego
ostatecznym zniszczeniem
i klęską.

Ja zaś czułam, że usta moje kłamią, mówiąc: nie chcę, nie
potrafię. Bo i
chciałam i wiedziałam, że potrafię. Chciałam jego, miłości
jego płomiennej. I
wiedziałam, że potrafię być mu dobrą i miłującą.
Więc co? Iść za niego?
Ach, nie! nie! nie!
— Pani! — zawołał on nagle, jakby zrobił doniosłe odkrycie
— proszę posłuchać.
Czyżbym ja pani przeszkadzał w nauce, czy w pisaniu?
Zechce pani, to pisać sobie
będzie choć cały dzień.
Zaczęłam się uspokajać. «Prawda!» pomyślałam, «czemużby
miał mi przeszkadzać»?
— I co do nauki — ciągnął on dalej — ja wprawdzie sam nie
uczony, ale przecież
tyle koło niej się ocierałem, że ją umiem szanować. Więc pani
sobie będzie dalej
studyować i pisać i robić wszystko, co zechce. Cóż ja mogę
mieć przeciwko temu?
«Prawda», pomyślałam znowu, «cóż on może mieć przeciwko
temu?»
— A zechce pani podniety, czy tam czegoś takiego, to
pojedzie sobie pani do
Warszawy, czy do Krakowa, czy zagranicę. Przyrzekam, że
nigdy kamieniem kłaść

się nie będę na drodze pani do sławy, czy do tej tam kariery literackiej.

Przeciwnie, będzie mnie bardzo przyjemnie...

«Tak», myślałam, «on sam możeby i nie przeszkadzał. A inni! ale to otoczenie

parafialne, to miasteczko... Ach, co robić? co robić?»?

A on, jakby odpowiadając na moje myśli, rzekł: — Ja nie wiem. Ale mnie się

zdaje, że te

dwie rzeczy można pogodzić. Wszakże mąż nie absorbuje tak bardzo. A co do mnie,

jestem z konieczności więcej za domem, niż w domu.

Choćbym chciał, to ciągle przy pani siedzieć nie będę.

«Rzeczywiście», pomyślałam, «wszakże ja sama zawsze to mówiłam, że można

pogodzić, że trzeba pogodzić. I nagle wyraźnie, wyraźnie stanął przedemną

ostatni wieczór w Krakowie i dysputa z kolegami, i bajka Czerwonego, i rozmowa z

Wiktorem, i jego rady, i jego przepowiednie. Ach, jakże się prędko sprawdziły!

Cóżby on teraz powiedział? , z pewnością starałby się odciągnąć mnie od tej

grożącej miłości, od tej grożącej niewoli...

A jednak, co było więcej warte: czy ta nauka, a może i sława, do której dążyłam,

czy ten dom rodzinny przy ukochanym człowieku? Czy te szerokie horyzonty, po

których bujać było tak pięknie, czy ten ciepły krąg domowego ogniska, zapalonego
moją ręką? Czy poklask tłumu, czy jedno serce, oddane mi na wieki i jedna dusza
przeżeranie zbawiona? Czy zimna Sława. Czy... Miłość? Ach, co?
O! rzucić wszystko, iść za nim i wypełnić powołanie!
A więc wyrzec się swej przeszłości? poświęcić przyszłość?
Ale wszakże... można to pogodzić. Można być dobrą żoną i literatką zarazem.
Czyżby dusza kobieca była tak ciasna? Czemuż mężczyźni?...
— Pani mi nie odpowiada — rzekł po długiej chwili Żarski.
— A ja wiedzieć
muszę... co będzie ze mną?

Podniosłam na niego oczy. — Kiedy ja sama nie wiem, co robić — szepnęłam.
Jemu ta niepewność była już otuchą. Więc zbliżył się do mnie i zaczął wesoło
mówić: — Pani nie wie, co robić? A ja wiem doskonale! Więc najlepiej mnie
słuchać. Powiedzieć sobie tak: prawda, że ten Żarski wielkie nic dobrego, kawał
łotra, nicpoń, zawadyaka, szubienicznik, ale kocha mnie do waryacyi i poprowadzę
go, dokąd zechcę. Będę wielbiona, jak bóstwo, a przeszkadzać mi w niczeni nie
będzie. Więc z czasem i sama trochę go pokocham, a jemu więcej nie trzeba. To
też rogue la galére! pójdę za niego i zrobię z niego najszcześniejszego pod

słońcem człowieka. Panno Hanno! niech pani tak powie!
Zaglądał mi w oczy, całował ręce i prosił. Ach, jak on umiał
prosić! A ja

miękłam... roztapiałam się...

Ale nie! nie! Trzeba się było zastanowić jeszcze, wypróbować
i siebie i jego.

Więc nie! — Panie Żarski! — rzekłam stanowczo — niech na
tem stanie, proszę mi

dać pół roku. Oboje tymczasem namyślimy się.

— Pół roku! Po cóż tak długo? Ja wyschnę z tęsknoty.

— Nie wyschnie pan. A ja, doprawdy, teraz nic przyrzec nie
mogę. Bo tak, jeśli

iść mam za pana, tobym nie chciała, aby się pan na mnie
oszukał, albo żebym ja

potem żałowała. Przez pół roku zrozumiemy, co w nas jest.

Może i pan się

rozmyśli...

— Nie rozmyślę się. Już ja to widzę. Pani mnie jakoś tak
wzięła odrazu. Przecież

to nienaturalne, ja właśnie powinienbym mieć antypatyę do
takiej mądrej panny, a

tu... od pierwszej chwili... — I zawołał, składając przedemną
ręce: — Ach, pani!

ja panią muszę mieć!...

Zaczęłam się śmiać. — Za pół roku zobaczymy.

— Za pół roku! Oj! Ale dziś, teraz, pani wyraźnie nie mówi:
nie?

— Nie mówię: nie i nie mówię: tak. Właśnie dlatego
odkładam, że nic nie wiem.

Czasem myślę, że byłoby dobrze, a zaraz potem, że byłoby najgorzej.

— A jeśli mi pani za pół roku powie: nie, to co ja zrobię?

— A gdybym teraz powiedziała: nie? Żarski zamyślił się.

Długo staliśmy w milczeniu, oparci o pnie sosen. Z góry, strząśnięte niekiedy wietrzykiem, padały na nas szerokie, wilgotne płachty śniegu.

Cisza była dokoła

ogromna, kojąca.

On ze zmarszczoną brwią, widocznie coś obmyślał, coś w sobie przetrawiał, na coś się zdobywał.

Ja czułam, jakby z serca mojego snuła się przedza mocna a jedwabna i dokoła

niego się motała, motała... Coś ze mnie szło ku niemu, coś we mnie wołało głosem

potężnym: Przyjdź! Przyjdź! Wszakżeś to ty... czekam cię od wieków... czekam,

czekam, pożadam... i tęsknię!...

— Dobrze! — rzekł on wreszcie. Zdjął czapkę, chustką przetarł sobie czoło i pokręcił węża. —

Dobrze — powtórzył — niech tak będzie. Bo, ja wiem, pani myśli, że takiemu

łobuzowi wierzyć nie można i że trzeba wpierw wypróbować.

No, pani może ma i

inne, własne powody, ale jest i to, jest! Otóż, kiedy tak, to ja pani pokażę!

Przez całe pół roku będę taki... no, taki porządny, że pani będzie musiała wyjść

za mnie. Będę w domu siedział, przestanę grać w karty,
przestanę chodzić do tego
obrzydliwego klubu, ani razu nie pójdę do Baumana, no, co
jeszcze? do żadnych
kolacyjek nie będę należał, najmniejszego flirciku sobie nie
pozwolę, z całą tą
paczką nie będę wcale się zadawał. A w domu będę czytał...
Gotowem zacząć
filozofii się uczyć, jak Boga Kocham! wszystko zrobię, co pani
zechce. Tylko
niech mię pani po tym pół roku nie odprawi z kwitkiem, moja
pani droga!
Gdy on tak mówił, paląc mię temi żarzącymi oczami, mnie
wzruszenie i błogość
nieznana dotąd ogarnęły. Ale i obawa przed własną słabością.
Poczułam, że, jeśli
tak potrwa, to głowę stracę i zgodzę się na wszystko. «Trzeba
raz to skończyć»,
pomyślałam, «trzeba się ratować, bo będzie źle ze mną». Więc
rzekłam głośno,
starając się przybrać wesołą minę:
— Co będzie za pół roku, to zobaczymy. Teraz nie
obowiązujemy się do niczego. A
jeśli te zmiany pan w życiu swem zaprowadzi, to będę bardzo,
bardzo szczęśliwa i
pan także, ja myślę.
— Ale jakże mię pani kontrolować będzie? Niech pani
przyjedzie do X.!
— Ja pana kontrolować nie będę. Ja panu wierzę.

— A może ja skłamię?

— O, nie! Pan kłamać nie umie. Postaliśmy chwilę jeszcze obok siebie. — Trzeba wracać do domu... — rzekłam, ale nie ruszyłam się jednak. Tak mi dobrze było!

A on, jakby coś znowu obmyślał, nagle zapytał: — A mogę pisać?

Zawahałam się. — Owszem, niech pan pisuje.

— I pani do mnie?

— I ja do pana. Wszakże, uprzedzam, ja prowadzę korespondencję z wielu zupełnie obcymi ludźmi.

On się roześmiał. — ! jaka pani ostrożna! Ciągłe mnie pani zimną wodą oblewa.

Ale darmo! nic nie pomoże. Za pół roku będę panią miał. — I zacisnął pięście.

Zaśmieliśmy się oboje. I jakby nam kamień spadł z serca, nagle zrobiło nam się wesoło. Już nie było konieczności postanawiania, już poważne czyny zostały odsunięte w przyszłość, a byliśmy razem, a lubowaliśmy się sobą wzajemnie, otwarcie, serdecznie, bez potrzeby tajemnic. Młodość w nas zagrała, wzbierała radość życia.

— Ach! dość tego! Co będzie, to będzie! — zawołałam. — Teraz mówmy o przyjemnych rzeczach. Niech pan mnie odprowadzi do domu.

— Do samego domu, nie. Bo nie chcę świecić oczami. Ale za to pójdziemy naokoło przez tę dalszą drogę i ja panią u brzegu lasu pożegnam. I poszliśmy. Jako nawpół narzeczony, jak twierdził, pan Michał wsunął rękę pod moje ramię i ra-

zem poszliśmy wąską drożyną leśną. Szliśmy lekko równo,
spreżyscie.

I rozmowa nasza potoczyła się lekka i wesoła, jakby na
wypoczynek po doznanych
wstrząśnieniach i już nie czepiała się poważnych zagadnień
przyszłości, a tylko
drobiazgów, błahostek. A często śmiech przerywał rozmowę i
spotykały się oczy
nasze.

I wreszcie, gdy u skraju lasu nastąpiło pożegnanie, nie było
ono dramatyczne. W
sercach naszych rozkwitła nadzieja, nadzieja przyszłości
jasnej, szczęśliwej,
promiennej...

Zaraz po świętach wyjechałam do Krakowa. Ale tam nie
zostałam wszystkich dawnych
kolegów. Nasza paczka była rozbita. Wiktor i Niedźwiedź
zimowali w Zakopanem.

Poeta Czerwony zatarasował drzwi swoje i pisał w samotności
jakieś dzieło, o
którem mówiono, że epokę stanowić będzie. Benda i
Kuliszyński nie powrócili
wcale, a o Toli mówiono, że wyjechała z chorą siostrą do
Włoch.

Przyszło mi na myśl, żeby ją tam odszukać. Uśmiechnęła mi
się myśl podróży do
Włoch, które dotychczas mało znałam.

A tymczasem odwiedzałam stare kąty, włóczyłam się po
dobrze znanych ulicach,

zachodziłam do dawnych znajomych, słuchałam czasem ciekawszych wykładów. Ale to wszystko z dziwnym jakimś poczuciem tymczasowości, znikomości wszystkiego na świecie, z jakąś pustką wewnętrzną, której

dawniej nie doznawałam nigdy, z tą ciągle tkwiącą świadomością, że to nie to, nie to jeszcze, że coś na mnie czeka, że coś ku mnie idzie, że tu jestem jak ptak, co usiadł przez chwilę na gałęzi, ale że gniazdo moje gdzieindziej.

To mię gniewało. I pytałam siebie ze złością: «Więc cóż? Kocham się w Żarskim, czy co?»

Nie, nie kochałam się w Żarskim. Nie tęskniłam do niego i gdy myślałam o biegnących dniach, z obawą, a nie z rozkoszą czekałam z nim spotkania. Jego listy drażniły mię trochę, takie były czułe, rozkochane, tak mną i myślą o mnie przejęte. Ja mu w zamian tak mało miałam do dania! Czy wogóle cokolwiek dać mu mogłam?

Wolałam o nim nie myśleć. Pragnęłam zupełnie o nim zapomnieć i przejąć się jakąś ideą, jakąś działalnością, coś robić, coś pisać.

Ach, pisać! pisać!

Ale tu stawało pytanie: czy warto? I to było najgorsze, że nie wierzyłam w

siebie, że nie byłam pewną swego talentu. Może ta chęćka
moja do pióra była to
zwykła panińska zachcianka? Wszakże grafomanek tak dużo
na świecie! Gdyby kto
mnie zachęcił! Gdyby kto mógł mi zareczyć, że mam talent!
Postanowiłam na dzień lub dwa wpaść do Zakopanego, aby
się z Wiktorem zobaczyć i
nagadać. On jeden o wszystkim wiedział, jemu mogłam się
zwierzyć i o radę
spytać.

Był słoneczny styczniowy dzień, gdy na małej stacyjce
wysiadłam z pociągu. Stary
Gewont lśnił

śnieżyście na błękitnie nieba, a dalej błyszcząca Świnica i Kozi
Wirch i w

mdlejących kształtach rozpływały się Granaty.

Wiktor z Niedźwiedziem czekali na mnie.

I w numerku hotelowym rozpoczęły się długie gawędy,
wieczne posiedzenia nad
szklanką herbaty, opowiadania, zwierzenia, projekty
przyszłości.

Jednak... i tu było nie to. Nie znalazłam illuzji dawnych
czasów i tu coś się

zmieniło. Wiktor był inny, znerwowany jakiś, unoszący się o
byle co, często

milcząc}' i roztargniony, czasem bez przyczyny wesoły.

— Co mu jest? — spytałam Niedźwiedzia, gdyśmy nazajutrz
po przyjeździe zostali

sami, po nagłym i niczem nie wytłumaczonym wyjściu

Wiktora.— Co mu jest? Teraz

naprzykład, przyszedł na cały wieczór, ledwieśmy zasiedli,
spojrzał na zegarek,
zerwał się i poleciał, nie tłumacząc się nawet. Czy on chory?
Czy on tak
nadmierzająco pracuje?
— A to pani nie wie? Myślałem, że sam powie. Żeni się.
Podskoczyłam na krześle. — Żeni się! Wiktor? Nie! Pan
żartuje?
Niedźwiedź westchnął. — Chciałbym, żeby to były żarty.
— Ależ na co to jemu? On zawsze mówił, że małżeństwo...
— A no, widzi pani. Mężczyzna teorie buduje, a kobieta
najspokojniej je rozwała.
I tak było od początku świata. I Wiktor gadał o wolnej
miłości,

a za dziesięć dni pójdzie do kościoła i będzie przed
proboszczem ślubował, że
Jej nie opuści aż do śmierci. Tak jest na świecie i już.
— Tak... Ale Wiktor! Nigdy nie przypuszczałam. I z kimże się
żeni?
— To właśnie sęk, że żeni się paskudnie. Ta jego donna jest
dużo od niego
starsza, niczego jeszcze po wierzchu, ale czuć już próchnem.
Taka Rubensowska
blondynka, szeroko tu, szeroko tam, o głowę od niego wyższa.
Jak oni będą
wyglądali razem! Boże miłosierny!
— Ale któż ona? Porządna przynajmniej? Wykształcona?
Kocha go? Zrozumie?
Niedźwiedź zaczął się śmiać. — Pani jeszcze naiwna! Ani ona
porządna, ani

wykształcona, ani go kocha, ani go zrozumie. Ale zbrzydło jej
panieństwo i woli
mieć męża. Zwłaszcza przy prowadzeniu pensjonatu, to
przyzwoiciej. W Zakopanem z
tem się liczą.

— Ale, cóż z tego Wiktorowi?

— Wiktorowi? No, niby to, że zakochany.

— Zakochany?...

— Tak pani, jak kot. Z początku, jakeśmy tam zamieszkali,
ani na nią patrzył.

Ale jak zaczęła baba podsuwać mu pod oczy swoje białe łapki
w krótkich

rękawkach, jak zaczęła fikać nóżkami, w ażurowych
pończoszkach, a już jak

włożyła jakieś koronkowe szaty, co to pod spodem nic, to
Wiktor, mówię pani,

jakby się blekotu napił. No, i poszło. Ona ciągnęła, ciągnęła.

On się dał. A że

szelma sprytna, bez sakramentu ani słuchać nie chce, więc

i przejdą przez sakrament. I będzie miał Wiktor kołtun na całe
życie.

Im więcej Niedźwiedź opowiadał, tem bardziej widziałam, że
Wiktor biedak

popelnia głupstwo nieodwołalne. Widziałam, że przyszła pani
Wiktorowa jest

prostą wulgarną nawet kobietą, która na tem zamążpójściu
robi interes i nic

więcej. Żałowałam biedaka szczerze.

Sama nie odważyłam się jednak powiedzieć mu o tem i
czekałam jego zwierzeń. Ale

te nie przychodziły. Przeciwnie on najstaranniej unikał najmniejszej o tem wzmianki.

I z tej to przyczyny pobyt w Zakopanem nie stał się dla mnie tem, czegom się spodziewała.

Trochę otuchy dały mi jednak szczere i gorące zachwyty obu moich przyjaciół nad «Pokrzywdzonymi». Wiktor krytykował wprawdzie to i owo, radził parę scen skrócić, nie zgadzał się na myśl zasadniczą, lecz przyznawał, że to rzecz piękna, pełna młodzieńczej świeżości, polotu i ognia.

Odczytaliśmy razem kilka ustępów. A potem zaczęliśmy się namyślać, co z tem dalej zrobić?

— To musi być wystawione na dobrej scenie — mówił Wiktor — drukowane straciłoby ogromnie. To rzecz całkiem sceniczna.

— Tak, ale czy wezmą? Będzie leżało latami w szufladzie jakiego dyrektora, nie przeczyta nawet. Pamięta pan, jak się Czerwony biedził ze swojemi sztukami? A dobre były! Wszyscy to przyznawali.

— Jabłkowski z Warszawy trzymał mu «Ne-

mesis» przez dwa lata — wtrącił Niedźwiedź — i oddał wreszcie, powiadając:

Przypuszczam, że toby się nadało, ale ja nie zdążyłem tego jeszcze przeczytać, a pan tak nagli! Jakże można być takim niecierpliwym!

— Możeby w Krakowie... — zaczął Wiktor, ale przerwał sobie i rzekł: — A wiecie co! Jest ogłoszony konkurs dramatyczny. Możeby posłać? — Choć przeczytać będą musieli... — Z zasady bardzo jestem przeciwny konkursom, bo nigdy nic dobrego z nich nie wychodzi. Ale, jak mówi Niedźwiedź, choć przeczytać będą musieli... — Smutne to jednak i niezachęcające... — szepnęłam. — Tak! tak! Niewesoły los nas, artystów — rzekł Wiktor. — Lepiej sprzedawać makaron i świece. Wszyscy troje zamyśliliśmy się smętnie. Stało wszakże na tem, że «Pokrzywdzonych» wyszle się zaraz do Warszawy pod adresem sądu konkursowego. A wkrótce potem pożegnałam się z przyjaciółmi i wróciłam do Krakowa. Znalazłam tam parę listów, między nimi długi i serdeczny od Toli. Pisała z południowych Włoch, gdzie przebywała z chorą siostrą. Ale list był wesoły, bo siostrze było lepiej, a pobyt w tym cudnym kraju, to było jedno pasmo rozkosznych wrażeń. Najmocniej zachęcała mnie do przybycia. Nic lepszego nie miałam do robienia. Włochy mię nęciły, a jeszcze cztery i pół miesiąca dzieliły mię od umówionego z Żarskim terminu. Więc i do

niego i do domu wysłałam zawiadomienie o swoim wyjeździe,
rzeczy spakowałam i
nazajutrz byłam już w drodze.
Zdawało mi się, pędząc ku południu, iż nowe widoki i nowe
wrażenia zapełnią tę
jakąś dziwną pustkę, którą w sobie niosłam, że tam właśnie
czeka na mnie coś, co
mną pokieruje. Może to słońce, to niebo szafirowe i te ciepłe
podmuchy wiosny
wiecznietrwalej natchną mnie jakąś myślą wielką. Może ta
tragiczna ziemia ducha
mojego zapłodni i wyjdzie ze mnie jako dzieło wielkie...
Ach, tworzyć! tworzyć!
Jadąc szukałam w sobie. Dawne pomysły wydały mi się
wszystkie takie mdłe i
blade, że je odrzucałam jedno po drugim. A nowych nie było.
Może tam!... Może tam!...
Przecież mam talent, myślałam. Przecież Wiktor i Niedźwiedź
obaj to mówią. Nie
prawiliby komplementów.
Lecz wnet nadchodziły wątpliwości. Czy się oni nie zaślepiają
przez przyjaźń dla
mnie? Czy są dobrymi sędziami? Co powie szersza
publiczność? Co powie krytyka?
Ach, stworzyć jedno dzieło, ale piorunującą mocą, uczuciem,
fantazją, rzucić je
światu i umrzeć! Ale w dziele swem żyć wiecznie...
Lecz, czy jest co wiecznego?
Spojrzałam przez okno. Pociąg pędził, migały pola, wioski,
rzeczulki i winnice,
zasuwały się w tył cicho, prędko, a z lokomotywy wypadały
co sekunda białe
płachty pary, padały na przydroże,

darły się na szmaty, unosiły się jeszcze w górę, zakłębiły się,
zawirowały i
nikły i rozpływały się w błękicie.
«Zupełnie jak my... Zupełnie jak my»... myślałam. «Ani jedna
z tych mgieł nie
zostaje. Wszystkie giną, nikną i już ich niema. I my tak
samo... i nasze
największe myśli... nasze utwory, nasze dzieła tak samo giną,
rozpływają się,
nikną i już ich niema».
Więc co? Ach, co? W czym jest szczęście? a już, jeżeli nie
szczęście, to
przynajmniej uspokojenie. W czym? Gdzie?
Czy w miłości?
Może... może... Ot i Wiktor się żeni, najgorzej w świecie, a
żeni się. Może w
tem jest szczęście?
A więc iść za Żarskiego?
Wyjęłam jego listy, odczytałam je wszystkie. Dobre były listy.
Proste, szczere,
rozmówiane, a mówiące i o życiu, i o bieżących sprawach, i o
swych czynnościach
i zamiarach, i o swej poprawie.
«On mię jednak naprawdę kocha», powiedziałam sobie,
chowając listy do torebki.
«A ja? Ja go nie Kocham jeszcze, ale ja go ogromnie...
żałuję»...
Włochy, ten ziemski raj, nie dały mi uspokojenia. Żadna
jasność na mnie nie

zstąpiła. Wśród cudnej natury i wrażeń nowych znajdowałam
chwilowe zapomnienie i
rozrywkę, ale na dnie serca nurtowała wciąż i bez przerwy
jakaś nieokreślona
trwoga. Próbowałam pisać. Chwyciłam się pierwszego
lepszego pomysłu i
postanowiłam koniecznie coś z niego wykuć. Pracowałam,
gwałcąc swoją

fantazyę, ale nie szło. Wszystko wychodziło z pod mojego
pióra takie mdłe i
blade, że ogarniała mnie rozpacz i darłam arkusz po arkuszu.
Czyżby już źródło,
bijące we mnie tak silnie jeszcze przed pół rokiem, wyschło?
Próbowałam czegoś się uczyć. Z tem było jakoś łatwiej. Bez
wielkiego zapału, bez
tego oddania się całą duszą przedmiotowi, jakie dawniej było,
ale sumiennie i
systematycznie wertowałam książki.
Najbardziej jednak skłonna się czułam do bezczynności i to
mnie ogromnie
zawstydzalo. Gotowa była spędzać dnie całe z rękami
złożonemi na kolanach, z
odrzuconą w tył głową, z oczami wpatrzonemi w niebo lub w
morskie fale, bez
wyraźnej myśli nawet, ot, tak sobie patrząc, rojąc,
wspominając, marząc... A ze
słonecznych promieni, z błękitu i ciszy szły na mnie jakieś
dziwne prądy,
uczucia dotychczas nieznanne, jakieś utęsknienia i żary, jakieś
porywy i słodkie,

rozkoszne udręczenia.

To mię gniewało i upokarzało. A gniew ten w części zwracał się na Żarskiego, bo jemu po trochu przypisywałam swój stan. Od czasu, gdy się zjawił na moim horyzoncie, coś się we mnie zmaciło. Jego miłość rozdmuchała i we mnie jakieś iskry, wznieciła jakieś niepokoje. Gniewałam się na niego, bo tak dobrze było mi dawniej!

A teraz każdy list jego wzmagał mój niepokój wewnętrzny. Z przykrością poznawałam pismo jego na kopercie.

A jednak odczytywałam listy te po razy kilka. Słowa ich goniły mię, dzwoniły mi w uszach przez

dzień cały. Jeszcze, kładąc się do snu, słyszałam je tuż, jakby cichym szeptem wymawiane.

Z wiosną towarzyszki moje i ja wyruszyłyśmy ku północy.

Zabawiłyśmy parę tygodni

w Rzymie, zawadziłyśmy o Florencję i na dłuższy wypoczynek przybyłyśmy do

Wenecyi. Potem miałyśmy przez Szwajcaryę wracać do kraju.

Mnie śpieszno nie było do domu. Nie chciałam przed umówionym czerwcem spotykać

się z Żarskim i wołałam czas próby spędzić zdała od niego.

Więc roztasowałam się

w swoim hotelowym pokoiku, kombinując, że przynajmniej parę tygodni w nim się

zatrzymam.

Wiosna była dość chłodna, tak, że nawet z majem nie nadchodziły upały i na Lido rzadcy tylko przybysze odważali się używać kąpieli. Ale za to noce były srebrne od gwiazd, dźwięczące pieśniami gondolierów, a ranki opalowe i jasne wstawały nad kanałami.

Znowu zaczęłam przez godziny całe wysiadywać nad morzem, wpatrywać się w zielone fale Adryatyku. A z każdą falą wracało pytanie: co robić? co robić? Za miesiąc, za półtora miesiąca najdalej odpowiedź dać trzeba. Więc co robić?

Trzy drogi przedemną się słały, trzy sposoby, poza którymi nic istnieć nie mogło: pierwsze, porzucić literaturę, a oddać się jemu; drugie, porzucić jego, a oddać się literaturze; trzecie, iść za niego, ale nie porzucać literatury i między jednym a drugą starać się lawirować. Na myśl o pierwszym, cała moja istota wewnętrzna, cała moja duma, cała moja

przeszłość wywalczona i zdobyta, ukochana i chlubna, stawała dęba ze zgrozą i z protestem. Na myśl o drugim, dusza mi się rozdzierała i mówiłam sobie: nie, nie mogę! Więc pozostawało trzecie. A tu mój rozsądek powiadał: nic z tego nie

będzie, nie można dwom panom służyć. Łudzisz się,
przypuszczając choć na chwilę,
że dzisiejsze małżeństwo pogodzić można z tem życiem
szerokiem, beztroskliwym,
cygańskim, bujnem, wolnem, które prowadzić musisz, jeśli
chcesz tworzyć. Nie
darmo obrączka jest symbolem kajdanów. Spróbuj, ale
zobaczysz, że skrzydła sobie
osmalisz, nie zostaniesz orłem, ale w kurę domesticę nie
obrócisz się także, bo
już inna krew płynie w twych żyłach.
I małżeństwo twoje będzie marne i marniejszą jeszcze
twórczość. Nie godzić, lecz
wybrać powinnaś, bo nie można dwom panom służyć i to,
jakim panom!
Próbowałam bez zwierzeń osobistych zasięgnąć zdania moich
towarzyszek. Lecz Tola
na samo wspomnienie o małżeństwie wylewała takie potoki
oburzenia, zarzucała mię
takim gradem ironicznych i zgryźliwych słów, tak mi
wymawiała odstępstwo od
sztanda, filisterską duszę, mydlarstwo, wsteczne zasady i
t.d., że nie mogłam
wcale z nią mówić. A siostra jej, która przez parę lat była
szczęśliwą żoną
ubóstwianego męża i dotychczas gorącemi łzami opłakiwała
jego stratę, nie była
zdolna widzieć na świecie nic wielkiego oprócz miłości i
wszystko inne
lekceważyła sobie zupełnie. Więc jakżebyśmy mogły się
porozumieć?
Trwałam więc w ciągłej i coraz cięższej nie-

pewności, bo wiosna mijała, maj się kończył i na jedną z trzech dróg wstąpić musiałam. A wszystkie trzy przejmowały mię trwogą. Tymczasem zwiedzałam Wenecję, szukałam wreszcie rozrywki. Lecz gdy tylko wracałam do siebie, albo usiadłam nad brzegiem morza i była cisza dokoła, wnet zjawiało się dręczące, rozpaczliwe pytanie: Co robić? I nie wiem doprawdy, jakby się to skończyło, gdyby... gdyby nie coś, czego nie przestanę uważać za jakiś znak... za głos przeznaczenia... Było to w tydzień po naszym przybyciu do Wenecji. Siedziałam na piasku, na Lido, zaraz po kąpieli i odczytywałam ostatni list Żarskiego, otrzymany jeszcze we Florencji.

«Nasza rozmowa», pisał, "odbyła się -go grudnia. Więc odpowiedź musi mi pani dać -go czerwca. Prawda? Chyba mię dłużej nie zechce pani trzymać w niepewności? Ale jaka będzie ta odpowiedź? Sam sobie się dziwię, lecz gdy o tem myślę, to aż drętwieję z niepokoju. A czasem myślę sobie: palicho całą sprawę! po co ja się mam dla niej fatygować, kiedy ona o mnie ani dba! Wrócę do dawnego życia! i basta! A wtedy pani staje przedemną jak żywa, panno Haniu i jakbym widział te dwie łzy, co spłynęły za mnie z tych najdroższych oczu, za mnie! I

myślę sobie: co będzie, to będzie, ale wytrzymam choć do -go
czerwca. Chociaż,
ach, żeby pani wiedziała, jak to czasem ciężko i jak na-

tura ciągnie wilka do lasu! Jest tu teraz cała paczka moich
dawnych
towarzyszy... Ale niech pani będzie spokojna...

«Dziwne to jednak, że przeszło od tygodnia listu niema»,
pomyślałam nagle. I
zaczęłam obliczać. Tak, ten ostatni otrzymałam w dzień
wyjazdu z Florencyi temu
dni dziesięć. Cóżby się stało. Zwykle pisał on co trzy, cztery
dni. Cóżby się
stało? Może na poczcie leży? Może gdzie się zawieruszył?
Dziesięć dni! W tem coś
jest.

Zerwałam się i ku przystani pobiegłam. Parowiec odchodził
do miasta. Popłynęłam
i wprost na pocztę się skierowałam. Nie, listu nie było.
Może się gdzie w hotelu zapodział? Może u portyera? Nie, i
tam nie było.

Przeszukano wszystkie kąty. Nie było.

«Jutro rano przyjdzie», pomyślałam i starałam się być
spokojną.

Ale minęło jutro i dzień następny, i jeszcze dwa dni. Listu nie
było.

«Czternaście dni! Dwa tygodnie! To już nie byle jaka
przeszkoda. To albo
choroba, albo coś gorszego jeszcze», myślałam, chodząc
wzdłuż i wszerz swego

pokoju, późnym już wieczorem. «Co robić? Telegrafować?
Nie, nie! odpowiedzieć
może nie będzie mógł, a może nie będzie chciał. Tam coś jest!
Ci dawni
towarzysze... Ta natura, co ciągnie wilka do lasu... O, Boże!
Boże!»
Co robić? Jak walczyć? Bo tu walczyć należało. On przecie
był mój! Nie mogłam
dać mu się zmarnować, dać mu się wymknąć z mej ręki, po-

zwolić, aby jacyś towarzysze mi go odebrali... Nigdy!
Walczyć muszę o niego.
Muszę i będę.
«Więc cóż? Kocham go?» spytałam siebie, stając nagle
nieruchoma przed otwartymi
drzwiami balkonu.
Miasto już spało. Na niebie gwiazdy się paliły i od morza
leciał wiatr słony i
hulał w przestrzeni. Wiatr i mnie ogarnął, objął mnie świeżym
tchnieniem, frunął
w moich włosach i musnął moją twarz. Drgnęłam. Jakieś
upojenie mię ogarnęło. !
gdyby się zerwać i lecieć wraz z wiatrem przez morza, przez
błękity! W dal, w
dal bez końca! I upaść wreszcie na ukochaną pierś! I stopić się
z ukochaną
duszą!
«Więc cóż? Kocham go?»
«Albo ja wiem! Kocham czy nie, w każdym razie nie dam go
sobie odebrać».

Byłam bardzo zmęczona. Niepokój tych kilku dni złamał
mnie. W ubraniu rzuciłam
się na łóżko i zasnęłam.
Z początku jak kamień spokojnie. Potem coś śnić zaczęłam,
jakieś postacie znane
i nieznane ukazywały się przedemną, coś mówiły, ruszały się i
nikły. Znowu
wracały, znowu rozwiewały się w cieniu. Dokoła drzewa mię
okrzyły i padał
śnieg, wielkie, białe płatki śniegu. Szłam przez las, kogoś
szukając czy goniąc.
Aż nareszcie usłyszałam głośno, wyraźnie wołanie: Hanno!
Hanno! Chodź!
Zerwałam się na równe nogi. Słyszałam jeszcze głos: Hanno!
Hanno! chodź! Jego
głos! On wołał!... On wołał na mnie!...

Ale gdzież ja byłam? W Lubiniewiczach? W Krakowie?
Gdzie?
Spojrzałam na świat.
Gwiazdy obieły swoją drogę i zaczynały blednąć na szafirze.
Z wód wstawała mgła
i pełzała zwolna po spleśniałych marmurach, a od wschodu
zaróżowiła się
jutrzienka. Powietrze stawało się coraz bielsze, dalekie się
wynurzały
przedmioty, jakieś wieżyczki i kopuły majaczyły, jakieś
brunatne żagle wyłaniały
się z mgieł i trzepotały. Na dachach gruchały gołębie i pstrym
obłokiem

rozlatywały się po niebie. Nagle na wieżach szczyty zapaliły się i weszło słońce.

Ach, w Wenecyi byłam! tak daleko! tak daleko!
A on wołał... Może ratunku wołał... może ratunku...
«Jadę natychmiast», rzekłam.

W kilka godzin później Tola odprowadzała mnie na kolej i mówiła na pożegnanie: —
Przyznaj, Hanno, że głupstwo jakieś masz na myśli. Ten nagły wyjazd, to nienaturalne. Czuję, że nam jakąś niemądrą niespodziankę gotujesz!
— Może... nic nie wiem...
— Czyś ty się przypadkiem nie zakochała? Bo to, wiesz, trochę na to wygląda. A co? Nic nie mówisz? Tylko, bój się Boga, Hanno, nie zrób jakiego głupstwa!
Jeszcze doprawdy gotowa wyjść za mąż! Ty zawsze miałaś takie dziwaczne zachcianki... Z ciebie, ach, przeczuwam! nigdy nie będzie prawdziwa kobieta, człowiek...

«Arrive ce soir. Attendez à la gare. H.
Taką depezę wysłałam już z Warszawy. I jechałam w stanie tak szalonego niepokoju, takiej nieludzkiej trwogi, takiego wewnętrznego zamierania, że jakiś nieznajomy, który przy mnie siedział, widząc moją bladą twarz i przerażone oczy

i dreszcze, co mną wstrząsały, zaczął mi radzić, abym się
gdzie po drodze
zatrzymała i wezwała lekarza. Odpowiedziałam mu, że
zdrowa jestem zupełnie, ale
w tejże chwili spazm nerwowy chwycił mię za gardło,
wykrzywił usta i głos
odebrał zupełnie. Sama poczułam, że robi się ze mną coś
niepotrzebnego i
musiałam w istocie mieć jakieś dziwne oczy, bo mój opiekun
mrugnął coś o
waryatkach i histeryczkach i poszedł szukać, czy się nie
znajdzie w pociągu
doktor. Znalazło się ich aż trzech i wszyscy przyszli mnie
ratować. Dali mi
jakichś kropli, kazali się rozpiąć, położyć i okryć ciepło, a
nareszcie jednemu
z nich przyszło na myśl napić mnie gorącą herbatą. Okazało
się wtedy, że, prócz
innych powodów, i głód przyczynia się do mojego stanu.
Bodaj że od wyjazdu z
Wenecyi nic nie jadłam.
Nakarmiona, ogrzana i otulona pledami, pod opieką tych
pocziwych ludzi,
zasnęłam mocno. A gdym się obudziła, już słońce zachodziło i
zbliżaliśmy się do
X. Co mię tam czekało?
Ale czułam się silniejszą i dość spokojną. «Co będzie, to
będzie! Raz kozie
śmierć!» rzekłam sobie i zaczęłam zbierać manatki, ubranie
doprowadzać do
porządku i wogóle ruszać się, aby nie myśleć.

Aż zaczęły migotać latarnie, mijać poczęliśmy zabudowania i uliczki, kilka pociągów obok nas się przesunęło, buchnęliśmy parą i wpadliśmy na dworzec. W tłumie, w tłoku, w rwetesie, jaki panował, ja, wychylona przez okno, szukałam jednej tylko twarzy. Jest, czy go niema? Znowu dreszcze mnie porwały i zęby zaczęły mi latać w szczękach, oczy moje gorączkowo przesuwwały się po tłumie, szukały, szukały. Jest, czy go niema? A w piersi rozkołatało się serce jak dzwon. Aż dostrzegłam. Stał pod latarnią w jasnym palcie, górując ponad tłumem. Kapelusz miał głęboko nasunięty na oczy, brwi zmarszczone. Obu rękami wspierał się na lasce. Wagon pomknął dalej i twarz jego znikła w tłumie. Coś okropnego, jakiś ból jak sztylet, przedarł mi piersi. Żył... Był zdrów... Nic mu się nie stało... Więc?... Szłam powoli za tragarzem, niosącym moje rzeczy. W głowie mi huczało. — Witam panią — odezwał się jego głos tuż za mną. Podaliśmy sobie ręce w milczeniu. Nie śmiałam mu w oczy spojrzeć. Znalazł mi miejsce w poczekalni, wziął kwit i zajął się moimi paczkami. Potem wsiedliśmy do dorożki i pojechaliśmy do hotelu. Dano mi numer, wniesiono rzeczy,

zdejłam płaszcz i kapelusz, on palto swe powiesił na
wieszadle. Przyszedł kelner
po paszport.
Przez cały czas nie przemówiliśmy do siebie

ani słowa. Widziałam tylko, że twarz jego chmurna jak noc,
widziałam głęboką
zmarszczkę na czole, zaciśnięte usta, słyszałam, gdy mówił do
służby, głos
zduszony i martwy.

Wreszcie wszelkie sprawy ukończono. Drzwi się zamknęły,
zostaliśmy sami. Ja

byłam spokojna-«Raz skończyć to trzeba», myślałam, «raz
skończyć koniecznie».

Spojrzałam na niego. Stał w najciemniejszym kącie pokoju, z
czołem opartem o
ramię okienną.

Wstałam i poszłam do drzwi. Klucz w zamku zakręciłam.

Pamiętam, że to zrobiłam z
pewną złością, jak gdybym chciała wylać w ten sposób z
siebie jakiś gniew.

Wróciłam do swego miejsca przy stole, usiadłam na fotelu i
rzekłam:

— Proszę pana, teraz możemy pomówić... Niech pan tu
przyjdzie!

On się poruszył, odszedł od okna i chwilę stał za mną
milczący.

— Proszę pana... — zaczęłam znowu.

Aż nagle runął mi do nóg, objął moje kolana i tulić się do nich
zaczął mocno,
mocno, namiętnie.

I wyznał mi wszystko. Nie, nie wytrzymał. Zrazu było dobrze,
pracował, prowadził
życie wzorowe, żył myślą o mnie i o przyszłości szczęśliwej. I
wytrwałby do
końca, taki już był blizki termin! Ale najechała cała paczka
dawnych przyjaciół,
a co gorsza, dawnych przyjaciółek i wciągnąć się dał i od paru
tygodni hulał,
pił, grał, ach! i gorzej jeszcze!... i gorzej jeszcze... Dzisiaj
nawet telegram
mój przyniesiono mu podczas wesołego śniadania

do knajpy, do dziury takiej, do takiej kompanii, że nawet
wspomnieć tam moje
imię, w myśli je wymówić, było obrazą i ohydą
najstraszniejszą! Więc teraz
wszystko przepadło. Bo już widać jasno, że on jest łotrem
niepoprawnym,
wstrętnym łotrem i że przed nim jedna tylko zguba i
zatrącenie. I o nic już
przecie prosić, ani niczego spodziewać się nie śmie i tylko
zginąć chce, zapisać
się, załajdaczyć na śmierć... Byle raz skończyć i ani wiedzieć,
ani czuć, ani
wspominać...
Mówił to wszystko głosem zdławionym, jakby nabrzmiałym
łzami i krył twarz na
moich kolanach i nisko, nisko schylał się przedemną...
A ja zapomniałam o całym świecie. Wszystko inne zmalowało,
znikło, przepadło dla

mnie, tylko istniał ten jeden człowiek, ukochany, droższy nad
wszystko! Ta jedna
dusza, jedyna, jedyna.
Zapomniałam o wszystkim...
Położyłam mu obie ręce na głowie, pochyliłam się nad nim
niziutko i zaczęłam
szeptać: — Biedaku mój! Biedaku! Nie rozpaczaj! nie smuć
się. Bo oto mnie masz.
Kocham cię. Widzę to teraz... I jestem twoją... Już cię nigdy
nie odstąpię,
nigdy nie opuszczę... Będziemy zawsze razem, na wieki!...
Czy zrobiłam dobrze? Czy zrobiłam mądrze, dając się unieść
tej fali miłości i
współczucia, która mię porwała?
Albo ja wiem!
To tylko wiem dzisiaj, że jedno życie ludzkie jest tak krótkie,
tak
przemijające, tak nikłe, że gdy

niem można drugie życie dosztukować, i wypełnić, i
uszlachetnić, to nie należy
się wzdragać.
Wiem, że sława i rozgłos, to są czarowne gwiazdy, gdy świecą
zdaleka, ale raz
złapane do ręki, są zaledwie słabym i kopającym płomykiem.
Wiem, że wszystko przemija, wszystko jest niepewne,
wszystko jest snem tylko i
że nie warto o swoje dobro i o swoje szczęście zbytnio się
troszczyć. Bo dobro
jest często mamidłem, a szczęście mydlaną bańką. Miłość
jedna trwa. Miłość jest

cementem świata. Miłość idzie przez wieki, przekazując z pokolenia na pokolenie swą gorejącą pochodnię.
I wiem, że jedyny na tej ziemi spokój dać może wypełnianie tych rozkazów, co w danej chwili wychodzą z nieznanych i tajemniczych głębin naszej istoty, pójdzie za tym głosem, usłuchanie tej tkwiącej w nas, jakby obcej, jakby wyższej woli.
Wola ta mi się objawiła, ten głos zawołał na mnie w chwili tej żalu i miłości, gdy z ust moich wybiegały, bezwiednie prawie, słowa przysięg wiecznych.
Usłuchałam jego rozkazu.
Czy zrobiłam dobrze?...

Ślub nasz odbył się cichutko w Lubiniewickiej kaplicy i osiedliśmy w X.
Jakże dziwne są te pierwsze czasy, nazwane miodowymi miesiącami! Te pierwsze, po omacku stawiane kroki na wspólnej drodze. Jakże dziwnem jest takie zbliżenie przy tak dalekiej jeszcze znajomości!

Pojmuję, że tam, gdzie zmysły nie grają, gdzie miłość nie oślepia i nie odurza, to miodowe miesiące są tylko trudną do zagrania komedią. Ale gdy dwoje ludzi rzucają się sobie w objęcia i w tych objęciach o świecie całym zapominają, gdy w sobie wzajemnie widzą początek i koniec wszystkiego, gdy

każde słowo, każdy uśmiech, ruch każdy, spojrzenie, jest im
źródłem rozkoszy, a
przytem, gdy i myśli spotykają się nieraz i razem lecą, gdy
jeszcze proza życia
nie odzywa się żadnym dysonansem, a świat cały wydaje się
stworzonym umyślnie
dla ich miłości, to wtedy miodowe miesiące są rzeczywiście
rajem na ziemi.

Myśmy takie mieli.

Ja pokochałam Mika tak, jak nie przypuszczałam nawet, że
kochać było można.

Wprost oszalałam, upiłam się miłością. Straciłam siebie, duszę
swą, całą istność

swą zgubiłam w nim. Nie byłam to już ja, tylko płomień
żarzący i gorejąca

poходnia, wibrująca struna w miłosnym akordzie,
rozkwitająca róża ognista na

jego piersi. Moje dawne ja, a z niem i dawne życie,
wspomnienia, marzenia,

zamiary i cele, wiadomości, nauka, idee, wszystko roztopiło
się i przepadło.

Pozostała terażniejszość, a w niej on, mój Mik, i nic więcej...
nic więcej...

On też mnie kochał całą potęgą swej gwałtownej natury. A
przytem mnie czcił jak

bóstwo litościwe i dobre, co zeszło do niego z wysokości i
podniosło go ku

sobie, jak opatrzność swą, jak paladyum święte, co od złego
ochrania.

Ach, byliśmy szczęśliwi! I zdawało się nam,

że życie nasze całe zejdzie tak, jakby sen, jakby czarowne upojenie.

Pierwsze miesiące naszego małżeństwa spędziliśmy w zupełnem sam na sam. X. było dość puste, «towarzystwo» bawiło we wsi, a my nie szukaliśmy i nie pragnęliśmy widoku ludzi.

Zbliżaliśmy się bardziej do siebie i poznawaliśmy się coraz lepiej. To jest, właściwie ja jego poznawałam. Natura to była prosta, szczerą, gwałtowną i nie znoszącą hamulca, niecierpliwa i despotyczna, nie pojmująca połowiczności i podziału, natura słaba, ale szlachetna, tęskniąca bezwiednie do wielkości i potęgi, do silnych wzruszeń i do dzielnych czynów. Wogóle czyn tylko istniał dla niego. Myśl oderwana, abstrakcja wydawała mu się zabawką próżniaków. Dramatem jego życia było to, że nie miał nic wielkiego do roboty, że musiał gnić we wstrętnem biurze, w małomiasteczkowych spraweczkach obracać swoje myśli, dreptać w kółko błahych interesików, dbać o ruble, a awansy, o względy, on, który, jak mi to pierwsze wrażenie podyktowało, był stworzony do husarskiej zbroi z szumiącymi skrzydłami, nie do głupiego fraka. Ach, dać mu cel wielki, jedną myśl, jedno ukochanie! a dokonałby wiele, wiele! Lecz skąd ten cel, tę myśl wziąć? Społeczeństwo? Kraj? I owszem. Lecz cóż mógł

dla nich działać oprócz powolnego, codziennego spełniania
obowiązku, oprócz
trwania, oprócz cierpliwego stania na swej placówce? A jemu,
niedoszłemu
rycerzowi, śniły się boje, walki, huragany... czyny i czyny...
Jego krew gorąca
parła na-

przód, rzucała o każdą zaporę, ciskała w każdy wir. I dlatego
też tyle razy w
życiu upadał z wyżyny... w czarne, cuchnące błoto...
Tymczasem jednak ukochaniem wielkiem byłam mu ja. Czuł
się szczęśliwym, prawie
zadowolonym. I trzymając mię ciasno w objęciach, umiał mi
to mówić w taki
sposób, że wprost topniałam i rozpływałam się z rozkoszy.
Ale w chwilach
samotności, gdy myślałam o tem trzeźwiej, rozumiałam
dobrze, iż dla każdego
mężczyzny, a tembardziej dla takiej jak jego natury, miłość i
rodzina nie mogą
być, jak to najczęściej są dla kobiety, alfą i omegą istnienia.
Tak myśląc, cieszyłam się i bardziej go jeszcze za to
kochałam, gdyż rósł przez
to w moich oczach, ale mówiłam sobie: dać mu coś trzeba,
stworzyć mu coś
koniecznie, ale co? co?...
Tak byłam nim przejęta, że o własnej istocie zapomniałam
prawie zupełnie. Cała
jedna strona mojej duszy zdrewniała, jakby w letarg wpadła.
Za to inna, nieznana

mi dotąd wcale, jakaś nowa, niespodziewana, wybujała jak kwiat w słońcu, jak róża purpurowa, wystrzeliła jak płomień. Nie byłam już kobietą-człowiekiem.

Byłam kobietą-żoną, kobietą-kochanką.

W rzadkich zwrotach myśli mojej ku sobie, wracały na chwilę dawne pożądania i

mówiłam sobie: trzeba się rozejrzeć, coś ułożyć i zacząć żyć porządnie, wszakże

można i trzeba to z «tamtem» pogodzić.

Ale zaraz myśl uciekała od «tamtego», odkła-

dały się postanowienia na jutro, na potem. I żyło się chwilą obecną i obecnem szczęściem.

Jedyną przykrością tych miesięcy miodowych było kilka dni spędzonych u matki

Mika. Naturalnie, że tego uniknąć, ani nawet opóźnić nie było można,

tembardziej, że przed naszym ślubem tylko listowne nastąpiło między nami

poznanie. Do Lubiniewicz przybył tylko starszy brat Mika, Maurycy, i zameżna

jego siostra Stefa, hrabina Ruś-Rusińska, razem z mężem, hrabią Ruś-Rusińskim.

Na zaproszenie ojca i Edziostwa matka odpisała dość chłodno, wymawiając się, iż

musi właśnie podążyć do Karlsbadu dla dorocznej kuracyi, więc przybyć nie może.

Przysłała mi swe błogosławieństwo, oraz prześliczne
«dormense'y», jako podarek
ślubny. Byłam zła, bo przez grzeczność dla rodziny Żarskich
musiałam sobie uszy
przekłówać i nosić kolczyki, co się nie zgadzało ani z moim
gustem, ani z moimi
zasadami. Po jakimś czasie widząc, że się Mikowi podobam
w dormensach,
uspokoiliłam się i nawet zaczęłam je lubić. Ale to było potem.
Tymczasem stale miałam to uczucie, że matka nie jest
zadowolona z ożenienia
Mika. Zapewne pragnęłaby dla niego kogoś bogatszego i
świetniejszego odemnie, a
przytem moja przeszłość, czułam to doskonale, nie była
bynajmniej w jej stylu.
Co prawda, nie brałam tego do serca ani trochę, tembardziej,
że i między Mikiem
a matką stosunki nie były nigdy zbyt serdeczne. Ona,
opancerzona w swej cnotcie,
nie miała nigdy najmniejszego z nim współ-

czucia. Była mu zawsze tylko mentorem, i to bardzo
surowym, nigdy przyjaciółką i
powiernicą.
Chodziło nam jednak o dobre stosunki z rodziną. Więc gdy
tylko matka z młodszą
siostrą, dziewiętnastoletnią Marysieńką, wróciły z zagranicy,
Mik dostał urlop
tygodniowy i wybraliśmy się do Burgiel. Właśnie -go
września przypadają

imieniny matki i Stefy Rusińskiej i wiedzieliśmy, że cała rodzina zbierze się na ten dzień. Miałam więc odrazu wpaść w samo jądro Żarszczyzny, jak żartował Mik.

I on i ja byliśmy trochę znerwowani, gdyśmy po parogodzinnej jeździe koleją, wsiadali do powozu, który po nas na dworzec przysłano. Mik ciągle się kręcił na siedzeniu, z pod oka mnie obserwował i raz wraz wymyślał powody do niepokoju.

— Będziesz wyglądała niemożliwie, ten wiatr okropnie twoje włosy rozrzuca. Czy nie masz czasem pudru, czy czegoś tam w torebce.

— Pudru! Zmiłuj się! Ja nigdy takich rzeczy nie używam.

— To bardzo źle, że nie używasz. Wszystkie panie używają, i dobrze. I pamiętaj tylko, Haniuś, dla mamy bądź bardzo przyjemna. I Rusińskiego nie zapomnij pokokietować, bo on tu dużo znaczy.

— Zdaje się, że gdy był w Lubiniewiczach, raczył być łaskaw na mnie.

— Tak, wtedy mówił nawet, że nie spodziewał się, aby «doktorka» była tak całkiem «bien». Podziwiał twoje maniery.

— Cóż on myślał! że my palcami jemy! Jacy oni dziwni, ci wasi ludzie! Jakie to pojęcia gnieżdżą się w tych mózгах! Że ktoś tam trochę się poduczył... Boże! cóż to ma jedno do drugiego? A wiesz. Mik, ja doprawdy mam ochotę zrobić im

sztukę i taką być... że... ho! Zacznę się rozrzucać, rozpierać...
traktować
wszystkich przez nogę, wygadywać herezye, kląć po
studencku, gadać takim naszym
żargonem, kpić sobie ze wszystkiego. Niechże się podziwiają
trochę.

— Zwaryowałaś, Haniuś! Miałbym się ja z pyszna.

— Widzę twoją minę. Przywiózł żonę rodzinie do obejrzenia,
czy dobra? czy się
spodoba? A ta raptem rozbija się, huzar w spódnicy!

Zgorszenie, popłoch,

konsternacja na całej linii. Zarszczyzna dostaje palpacyjny
serca. Co?

Spróbować, Mik? Co?

Śmiać się zaczęliśmy oboje. Aż Mik znowu zasepił się: —
Śmiej się, śmiej się.

Odechce ci się, jak przestąpisz próg Burgiel. Mama umie ludzi
w karbach trzymać.

Zaraz weźmie cię w opiekę i zacznie «wpływać». Zaraz
dostrzeże, że masz duszę
nie skrajaną na modny fason, zaraz ci w niej porządkować
zechce.

— O! co to, to nie! Od mojej duszy wara! Nie dam się.

— Zaraz uczyć cię będzie, jak masz mnie reformować i na
dobrą drogę
wprowadzać.

— Kiedyż ty jesteś na najlepszej drodze! Nie!

ja na to nie pozwolę. Bądź spokojny! Zadnego wtrącania się
do naszego życia nie
zniosę.

Mówiłam to z wielką pewnością siebie, ale w gruncie byłam znerwowana. To spotkanie z ludźmi, którzy naturalnie, że cenzurować mnie będą, a nie koniecznie łaskawie, to mnie rozstrajało. Ale, pocieszałam się, wszakże nie ich żoną byłam, tylko Mika. Więc co mi tam znaczyć mogło ich zdanie! Byleby jemu się podobać, a reszta! Gwiżdżę na resztę, myślałam stylem Wiktora. Już zbliżaliśmy się do Burgiel, gdy na zakręcie drogi usłyszeliśmy galop koński, turkot i wołania. I wypadła na nas cała kawalkata, dwie amazonki i trzech jeźdźców, a za nimi w parę kuców zaprzężony koszyk z kilku osobami. Zrobiło się zamieszanie, zatrzymywanie koni, wysiadanie ogólne. Z koszyka wysypali się hrabia Ruś-Rusiński, Marysieńka i młody ksiądz, z koni zsiadli Stefa, miss Lydia, towarzysza Marysieńki, Maurycy, Piotr i malarz Michalecki, sezonowy adorator Stefy, jak się potem dowiedziałam. Zaczęły się przedstawiania, powitania, wykrzykniki i uwagi. Ja znałam tylko Rusińskich i Maurycego, więc z początku niejasno mi się w głowie zrobiło od tylu naraz nowych twarzy. Ale wszyscy byli tacy grzeczni dla mnie, coś do mnie mówili z przyjemnymi uśmiechami, przyjemnym tonem i z widocznie życzliwymi zamiarami. Więc i ja równie przyjemnie i życzliwie odpowiadałam i jakoś tam poszło.

Aż Maurycy zawołał, że wsiadać trzeba, bo

mama czeka z obiadem, a Piotr dodał półgłosem: «Co gorsza, ksiądz profesor może być głodny».

A Mik zaproponował Marysieńce, aby nas oboje wzięła do swego koszyka, a szwagra

i księdza odesłała do fajetonu, Tak się też stało. Usiadłam obok niej, a za nami

Mik i pomknęliśmy naprzód pierwsi.

Marysieńka była to wtedy wysmukła, cieniutka, panienczka, o bardzo jasnych

włosach, bladych oczach i rzęsach, sama też blada, z nieruchomą, jakby z

zaskrzepłą twarzą, na której żadne wrażenie nie odbijało się nigdy. Mówiono o

niej: to natura skryta, ale jakże głęboko czuje! Nie wiem. Nie miałam nigdy

sposobności tę głębokość zgruntować. Teraz trzymała zgrabnie lejce i bat w

drobnych rączkach i siedząc wyprostowana, sztywna, bardzo correct, z oczami

ostro śledzącami drogę, zachęcała tylko swe kuce lekkim niekiedy gwizdnięciem.

Przytem rozmawiała z Mikiem, a raczej odpowiadała na jego pytania.

— Przyjemnie było w Karlsbadzie i w Cirkwenicy?

— Bardzo przyjemnie. W Karlsbadzie mieliśmy ciągle deszcze, więc to nam psuło

pobyt. Ale w Cirkwenicy była pogoda śliczna.

— Dużoście chodziły na spacer?

— Nie bardzo. Bo mamę męczyło chodzenie, a ja nie miałam z kim.

— To znajomych było nie wielu?

— W Karlsbadzie byli państwo Kotwiccy, pani Borońska, księżna Olińska i kilku panów. Była też ciocia Adamowa z Ninką, ale prędko wyjechały.

— Czy to prawda, że Ninka zaręczona?

— Nie. Zaręczona nie jest. Ale zakochana. — Na ustach Marysienki ukazał się uśmiech trochę ironiczny.

— Zakochana, naprawdę? I to w tym Półczyńskim?

— Tak. Mówi nawet, że umrze, jeśli jej nie pozwolą. Ale ciocia Adamowa mówi, że nikt jeszcze z miłości nie umarł i że, jak pojedzie do Nizy, albo na karnawał do Warszawy, to taka niemądra miłość zaraz wywietrzeje.

— A dlaczego — wtrąciłam — dlaczego matka się sprzeciwia?

Marysienka spojrzała na mnie blademi oczami. — Dlatego, że Ninka może przecie zrobić znacznie lepszą partyę. Taka bogata, ładna...

— A ten Półczyński, to kto? — spytałam.

— Ach, ten Półczyński, to jakiś doktor, czy coś takiego. Mik zaśmiał się, widząc moją minę. Wahałam się, czy dalej tę kwestyę rozbierać z Marysienką. Ale on, obawiając się widać, abym nie powiedziała za dużo, zwrócił rozmową na inny przedmiot.

— A jutro spodziewacie się kogo z sąsiedztwa?

— Prawie nikogo. Borońscy są jeszcze zagranicą, a u Wołkowskich dzieci chorują na odrę. Więc chyba tylko przyjadą z Markuciszek i może Wierzbiccy...

— A bardzo się wystroicie? — Tu poczułam, że Mik ma na myśli moje toalety.

— O, tak! Ja mam mieć białą crepe de chine.

Ale Stefa coś nadzwyczajnego sobie sprawiła. I Lusia też, choć już ona... Urwała nagle i zacięła konie.

— Czy Maurycowie są z dziećmi?

— Ach, tak, przywieźli całą trójkę. Chłopcy okropnie swawolni. I jak zaczną zrana, ubierając się, dokazywać, to ja spać nie mogę. Bo zaraz obok mnie ich postawili.

— A miłe dzieci? — spytałam.

— Owszem, bardzo miłe, tylko że bardzo swawolne. Lusia robi co może, aby je ułożyć, ale dotychczas wcale nie są dobrze ułożone.

— Pewnie do mnie podobne — zaśmiał się Mik. — Ze mną też była bieda. Robili, co mogli, a nie udało im się mnie ułożyć. Tak już i zostało. Marysieńka znowu uśmiechnęła się blado i przez grzeczność spróbowała zaprzeczyć.

Ale Mik roześmiał się jeszcze bardziej i zawołał:

— O, nie fatyguj się, panienczko! Wiem, że byłem zawsze parszywą owcą w waszym składzie. Ale teraz... żona mnie wzięła zato pod pantofel i...

— Żona!... — rzekła Marysieńka i z niedowierzaniem spojrziała na mnie, a w tem spojrzeniu malowała się myśl: «Ależ ona jeszcze gorsza od ciebie.

— Ładną tu mam opinię — szepnęłam sobie w duchu i już nie słuchałam dalszej rozmowy brata z siostrą.

A tymczasem wjechaliśmy pełnym kłusem przez bramę, wykręciliśmy się wśród klombów, drzew i trawników, Marysieńka po mistrzowsku pokierowała kucami i osadziła je przed gankiem

pałacu. Tam stały już, widocznie czekając przybycia naszego, trzy panie i chudy, wysoki ksiądz. «Co tu księży!» pomyślałam, wyskakując z koszyka i czując, jak mi serce młotem wali.

Znalazłam się w objęciach pełnej damy, ubranej czarno i zanim zdołałam znaleźć rękę jej do ucałowania, sama zostałam przytuloną mocno do okazałego stanika. —

Bardzo... bardzo cię poznać pragnęłam — szeptała — drogie dziecko! kochani cię już... macierzyńskim sercem i za Mika dziękuję.

— Ach, pani... To ja... ja też... — Byłam naprawdę wzruszona. Wszakże to była jego matka!

— Nazywaj mię mamą — przerwała. — Jesteś moją czwartą córką. A to trzecia —

rzekła i wzięła za rękę stojącą obok młodą kobietę, ubraną w bardzo luźną

suknię. — To Lusja Maurycowa. Ze Stefą i z Marysieńką już się znacie?

— Stefa była na naszym ślubie — wtrącił Mik.

— A, prawda. Żałowałam, że na nim też być nie mogłam... A teraz przedstawię

cię... — mówiła, prowadząc mnie ku stojącemu księdzu. — To nasz drogi ojciec

Tomasz. Proszę, ojcze, przeżegnać to nowe dziecko nasze...

Pochyliłam się przed księdzem w niskim dygu, a on mi

krzyżyk nad czołem

nakreślił i podał rękę. Nie wiedziałam, czy mam ją pocałować, czy tylko

uścisnąć, ostatecznie zlekka dotknęłam ustami.

— A to nasza kochana ciocia Anulka — dodała matka,

prowadząc mnie do staruszki,

zajętej obcałowywaniem Mika.

«Boże! jak tu dużo osób!» myślałam, uśmie-

chając się do cioci Anulki, która mnie gładziła po ramieniu i mówiła:

— A toż my, duszko, obie Anulki, co? Tylko ciebie jakoś inaczej?...

— Mnie nazywają zawsze Hanną, a w domu Hanią!

— Ale to zawsze taki ta sama święta Anna? Babcia Pana Jezusa, co?

Śmiała się dobrym śmiechem, wesoło, a w słońcu zmarszczki na jej starej twarzy

wydawały się niezliczone.

Lecz w tej chwili fajeton i grono konnych wpadło na podwórze. Panie zsunęły się z zwierzchowców, zbierając fałdy amazońskich. Jeszcze całe towarzystwo chwilę porozmawiało na ganku. Aż matka wzięła mnie pod rękę i rzekła:

— Dość już gawędy. Zaraz obiad wydadzą. Idźcie się ubierać.

Pewnie wszyscy

głodni być musicie. — A do mnie się zwróciła. —

Zaprowadzę was do waszego

pokoju. Umieściłam was w zielonym, na górze, obok

Rusińskich — dodała, patrząc

na Mika.

— Nigdy jeszcze tak paradnie nie byłem zalokowany —

zaśmiał się on.

— A widzisz, co znaczy ożenić się.

W bardzo eleganckim pokoju o zielonych aksamitnych

meblach, czekała już

fertyczna służąca nad otwartym i nawpół rozpakowanym

kufrem. Kilka sukien

rozrzuconych już było na szezlongu; parę staników rozpięło

się po poręczach

krzesel; na gotowalni, zasłanej serwetką koronkową,

rozłożone

już były grzebienie, szczotki, nożyczki. Matka pożegnała nas

zaleceniem, abyśmy

się spieszyli. Mik znikł. A ja sama zostałam i myślałam: «Co

mam włożyć? Jaką

mam być? Co mówić? Jak się do tej nowej rodziny odnosić?

Jak jej uznanie

pozyskać?» I stałam bezradna nad rozłożonemi sukniami.
Ach, dziś, tobym chciała
być piękną! taką przynajmniej jak Stefa. A to, ta moja postać
drobna i chuda, ta
moja twarz nic nie znacząca, jedna z tuzina, te oczy, ot, takie
sobie pierwsze
lepsze oczy, tylko Wiktor mógł je poetyzować, ten mój brak
szyku, brak sznytu,
jakież to na tych ludzi mogło zrobić wrażenie? A w dodatku ta
nieszczęsna
«mądrość», co była kamieniem obrazy dla całej Żarszczyzny...
«E, co mi tam!»
rzekłam sobie wreszcie. «Jest też nad czem ręce łamać! Aby
Mik był szczęśliwy i
kochał mię zawsze, to grunt. A on, najdroższy, twierdzi, że
jestem
najpiękniejsza w świecie. No, trzeba się wystroić i zrobić się
przyjemną. Ale co
mam włożyć? Czy ten czarny muślin plisowany z białemi
«inkrustacyami»? Czy tę
wspanialszą koronkową suknię na tle «bleu pastet?» Czy też
skromny różowy
fularek, który miałam na sobie wilią ślubu?
— Poradź mi — rzekłam do pokojowej — którą suknię mam
włożyć? Wiesz pewnie, jak
się tamte panie ubiorą?
— O, proszę jaśnie pani, tamte panie chowają na jutrzejsze
imieniny
najpiękniejsze suknie. Ale i dzisiaj wystroją się także, bo pić
będą przy
obiedzie zdrowie jaśnie państwa.

«Ach, te zdrowia!» pomyślałam z rozpaczą. A Wikcia mówiła dalej:

— Niech jaśnie pani zostawi tę koronkową na jutro, a dziś czarną weźmie.

Tak i zrobiłam. I rada byłam, bo czułam, że mi w tej sukni najbardziej do

twarzy. «Nie to, co Stefa», myślałam, patrząc na siebie w zwierciadle, ale też i

brzydką nie jestem, szczególnie dziś, gdy mnie ta pocziwa Wikcia tak ślicznie

uczesła. Doprawdy, wyglądam wcale... E, cóż znowu!

nietylko, że głupieję, lecz

jeszcze robię się próżna i pretensjonalna!

Mik wpadł do pokoju.

— Wiesz! Śliczna jesteś — zawołał, myjąc pospiesznie ręce

— doskonale, pysznie

wyglądasz... Fiu, fiu... jaka szykowna dama! Oho!

— Doprawdy, Miku? A ja desperowałam...

— No? Nad czym mój Haniuś desperował? co?

— Ach, Mik! Jabym chciała być najpiękniejszą... dla ciebie...

— szepnęłam mu w

ucho.

On mię wziął w ramiona i mokrymi węsami całując, tak przycisnął do siebie, że

zaczęłam drzeć o moje pliski i inkrustacye.

— Jesteś najpiękniejszą, i najmilszą, i najlepszą, i niech tam wszystkie inne

pod ławę się chowają przy tobie... Ty... ty... Haniuś...

Dzwonek się rozległ. — Rany boskie! Obiad! — zawołał. I zbiegliśmy na dół.

Obiad był strasznie nudny. Siedziałam na pierwszym miejscu między matką a ojcem

Tomaszem, który, zjadłszy supę z pasztecikami i otarłszy

usta, rozpoczął indagację: — To pani była w uniwersytecie?

A jakże tam

studentki, co? Więcej zajęte kolegami niż naukami,

nieprawdaż? Wielbią

Przybyszewskiego i Wyspiańskiego, co? A czytała pani

«Czyściec Słowackiego»? A

co? — tryumfująco pokiwał głową.

Nie wytrzymałam. — Czytałam — rzekłam — i uważam, że to bardzo głupie.

Szmer przerażenia przeszedł po obecnych. A ksiądz jeszcze

bardziej głową pokiwał

i wyrzekł: — Hm, hm...

A po chwili spytał dalej: — A czyta pani «Chimerę»? I

rozumie pani cokolwiek?

czy tylko udaje, co? No, proszę się przyznać.

Rzuciłam mu zdziwione spojrzenie. Ale sztuka mięsa zrobiła

przerwę. Zjedliśmy w

milczeniu, otarliśmy usta i znowu:

— A teraz, to Kasprowicz w modzie? Już zrobili z niego

równego Mickiewiczowi.

Czytała pani Kasprowicza?

Uśmiechnęłam się na to zapytanie. Wszakże go prawie na

pamięć umiałam.

— «Moją Pieśń Wieczorną» pani czytała? No, cóż? I pewnie

pani się zachwyca?

— Ktoby się nie zachwycał «Pieśnią Wieczorną» i wogóle

poezyą Kasprowicza, toby

był... — Chciałam powiedzieć «kretynem», ale na szczęście,

ksiądz nie dał mi

dokończyć.

— A czy pani wie, że to wręcz sprzeciwia się nauce Kościoła świętego? A tak! Te słowa na wstępie: «On był i myśmy byli przed początkiem, niech

imię jego będzie pochwalone». Toż to czysta herezja!

Panteizm! Pisałem o tem do

naszych pism. Zeszłego stycznia wyszedł mój artykuł...

— Tak, pamiętam — przerwała matka, przechylając się ku księdzu — czytaliśmy

wszyscy... z wielkiem zaciekawieniem...

— To głęboko filozoficzny artykuł. Dowodzę tam, czarno na białem, kłamstwa tych

słów, fałszu, bluźnierstwa. O! takich rzeczy nie można tolerować! Zadałem im

tam! i Kasprowiczowi, i wszystkim tym... nowatorom, dekadentom, tej całej

secesyi! Musiało im pójść aż w pięty!

Zaczynałam chcieć się śmiać. Ach, roześmiać się wprost w oczy, głośno,

serdecznie! Ale nie, nie wypadało. Rzekłam więc tylko, jak mogłam najśłodziej: —

Jaka szkoda, że «oni» pewnie ani wiedzą o tym nadzwyczajnym artykule księdza profesora!

— Dlaczego? Jakto! ani wiedzą?...

O! bo «oni» tych pism z pewnością nie czytają. To zupełnie stracona fatyga, no,

i filozofia.

Ksiądz coś mruknął w odpowiedzi, ale podano jarzynę:
karczochy, groszek i
kalafiory i znowu nastąpiła przerwa w rozmowie.
«Muszę sama z innej beczki zacząć», pomyślałam, «to może
to się przerwie». I
zwróciłam się do matki z jakimś zapytaniem o Karlsbadzie.
Zacząła mi ona
opowiadać coś o swojej podróży. Zdawało mi się, że czuje
również potrzebę
przerwania drażliwych z księdzem kwestyi. A ja, zwró-

cona ku niej ostentacyjnie, słuchałam i nie dozwalałam upaść
rozmowie.

Ale ojciec Tomasz zjadł karczochy, wytarł tym razem i usta i
palce i nagle nam
przerwał:

— A pani, cóż? Uczyła się pani na seryo, czy tylko tak?... I
dyplom dostała? Czy
tylko... jako wolna słuchaczka?

Ton jego był tak lekceważący, że krew mi uderzyła do twarzy
i miałam ochotę

impertynencyę mu jakąś wypalić. Ale powstrzymałam się i
owszem bardzo grzecznie
odpowiedziałam:

— Nie rozumiem pytania księdza profesora.

— No, cóż? Pytam, czy pani uczyła się naprawdę? Skończyła
pani? Dostała dyplom i
jaki? jeśli wolno wiedzieć?

— Mam dyplom doktora filozofii.

Zrobiła się cisza. Ksiądz znowu pokiwał głową i powiedział:

— Hm, hm. Reszta

towarzystwa zaciekawiała się. Spojrzałam przez stół na Mika. Był wściekły.

Postanowiłam rzecz całą w żart obrócić, aby nie zrobił się z niej przypadkiem

dramat. Zaczęłam się śmiać i rzekłam:

— Jakie to szczęście, że nie żyjemy w średnich wiekach. Bo tak widzę z oczu

księdza profesora, że miałby wielką ochotę spalić mię na stosie za czary,

herezyę i różne kunszty dyabelskie. Prawda? A sam, to może i kilka dyplomów

doktorskich posiada? A co? Zgadłam?

— Ależ to co innego, to co innego — rzekł. Raczył się jednak uśmiechnąć.

A wtedy, na widok tego uśmiechu, ustąpiło na-

prężenie i rozwiały się obawy, a uwagi posypały się ze wszystkich stron. Matka

oświadczyła grzecznie, że prawdziwa nauka zbliża nas do Boga, więc potępiać jej

nie godzi się; a jeśli kto przeszedł obronną ręką przez niebezpieczeństwa i

pokusy, to tem większa jego zasługa. Stefa wykrzyknęła, że trzeba mieć bzika,

aby dobrowolnie głowę sobie łamać nad filozofią. Rusiński opowiedział, że

francuskim adwokatom jest ogromnie do twarzy w togach i w biretach. Maurycy coś

powiedział o «dziewiczym puszk», a Maurycowa rzekła stanowczo: «Już to ja córce

swojej nie pozwolę na żadne uniwersytety, ani temu podobne»... chciała powiedzieć: «głupstwa», ale się powstrzymała. Piotr zaś, o którym mówiono w rodzinie z westchnieniem, że jest libre penseur, oświadczył, że, ponieważ Mik dał dobry przykład i wziął sobie doktora filozofii, to on nie spocznie, aż sobie doktorę teologii nie wynajdzie.

— Czy tam pani bratowa nie zna jakiej wśród dawnych koleżanek? Tylko żeby przytem była ładna, młoda, wesoła... Wszyscy zaczęli się śmiać. Tylko ojciec Tomasz niebardzo rad był z tego dowcipu i zaczął nam bardzo poważnie tłumaczyć przepis kościelny: *Femina in ecclesiam tacet*. Przepis pochodzący ze stanowczej niższości i naturalnego stanu poddaństwa kobiety. A stan ten jak powstał? Oto z grzechu pierwotnego. Bóg, stwarzając Adama i Ewę, stworzył ich równymi sobie. A dopiero wypędzając ich z raju, powiedział Ewie: Pod mocą

będziesz mężową, a on będzie panował nad tobą. Odtąd kobieta jest i być musi poddaną mężczyźnie. Taki jest skutek grzechu i takie już na świecie prawo boskie. Kiedy kobieta prawo to uznaje i do niego stosuje się z pokorą, to

wszystko idzie dobrze. Ale biada społeczeństwu, w którym
kobieta przez próżność
i szatańską pychę, pragnie zrównać się z mężczyzną! I tak
dalej, i tak dalej...

Słuchałam z ciekawością. Poraz pierwszy w życiu takie teorie
obijały się o moje
uszy i przyznaję, że robiły na mnie wrażenie ogromnie
zabawne. Miałam przecież
przed oczami całkowite ich zaprzeczenie w praktyce, sama
przez całe życie byłam
żyjącą ich negacją, dość było wreszcie spojrzeć na świat, aby
widzieć jaką
nieprawdą, było to wszystko, co nam ksiądz profesor tak
kategorycznie wykładał,
dość było wzrok zapuścić w bardzo niedaleką przyszłość, aby
zrozumieć, że świat
wielkim pędem oddalał się od tych naiwnych a tak
interesowanych prawd.

Naturalnie, że się nie fatygowałam ani jednym słówkiem
zaprzeczyć. Słuchałam w
skupieniu. Żałowałam nawet, gdy nalano do kieliszków
szampana i Maurycy powstał,
wznosząc w bardzo zręcznej przemowie «zdrowie ukochanych
braterstwa, a zwłaszcza
miłej nam, sympatycznej i już szczerze kochanej bratowej».

To położyło koniec wywodom ojca Tomasza. «Szkoda!
ciekawam, do czego byśmy
doszli, gdyby to potrwało jeszcze», myślałam, wstając od stołu
w pozornej ze
wszystkimi harmonii.

Odtąd postanowiłam jednak unikać ojca Tomasza i jego inkwizycyi.

Łatwiej było uciec od księdza, niż od matki. Przekonałam się o tem tegoż dnia.

Chciała mię poznać. Ostatecznie, było to całkiem naturalne i nie mogłam się od

tego usuwać, chociaż od pierwszej chwili poczułam, że stosunek nasz zupełnie

szczerym nigdy być nie może. Należałyśmy do dwóch przeciwnych obozów, a walka

między nami była niedobieństwem. Więc zostawało tylko parlamentowanie i

dyplomacya, do której miałam wstręt.

Zaraz po owym pierwszym obiedzie, gdy wszyscy inni poszli grać w tenisa, ona

mnie za rękę zatrzymała i rzekła:

— Radabym z tobą, droga Haniu, bliżej się zapoznać. Czy zechcesz pozostać tu ze

mną?

Usiadłyśmy na werendzie. I zaraz matka powiedziała mi, że się bardzo ucieszyła z

ożenienia Mika, że ma nadzieję, iż zawsze najlepszy wpływ na niego mieć będę i

że mi już z góry jest za to wdzięczną.

A ja czułam, że to niezupełnie prawdziwe, bo matka nie była rada z wyboru Mika,

mając zawsze nadzieję, iż on podreperuje fundusz swój i pozycyę świetnem

ożenieniem, a przytem i moja osoba była jej niepożądana, więc nie mogłam

wytrzymać i powiedziałam:

— O, ja wiem bardzo dobrze, że cała rodzina pragnęła dla Mika innego ożenienia,

więcej odpowiedniego do otoczenia, w którym żyje. Bo ja... to

nie bardzo pasuję do tego wszystkiego i wątpię, abym się kiedy dopasowała. No, ale stało się. Może będzie dobrze...

— Da Bóg, że będzie dobrze, moja droga Haniu. Wszak oboje dążyć będziecie do wspólnego szczęścia, opartego na pobłażaniu, na wyrozumiałości... Ach, bo to bardzo w życiu potrzebne! Szczególniej względem Mika przygotowaną być musisz...

— O! ja o Mika jestem spokojna! — przerwałam, niechcąc poruszać z matką tej kwestyi.

Zrozumiała to, lecz nie dała za wygraną. — Pojmuję — rzekła chłodno — że to jest sprawa trochę dla ciebie drażliwa, droga Haniu. Jednak ja, jako matka, czuję się w prawie i w obowiązku nawet powiedzieć ci słówko prawdy.

— Tu nastąpiła cała serya spostrzeżeń nad charakterem mojego męża a nie mogę powiedzieć, aby były one trafne lub głębokie.

«Szablon! Szablon!» myślałam. «Jak ci ludzie, nawet względem własnych dzieci, na samodzielny sąd zdobyć się nie umieją!»

Musiałam też przyjąć całą seryę rad zbawiennych, odnoszących się do naszego małżeńskiego pożycia, a bardziej jeszcze do stopy, na której miałam dom postawić

i do pozycyi, którą powinnam była utrzymać w świecie.
Dowiedziałam się o
stosunkach, które mi koniecznie zawierać przyjdzie, o
wizytach, które co
najprędzej oddać muszę, o osobach, które specjalnej mojej
uwagi i względów są
godne, o tonie, jaki mam nadać swemu domowi. «Ton» ten
miał być poważno-
prawowierno-dystyn-

gowany, mocno oparty o «nasze najświętsze zasady». Tu
matka się zapaliła, żywo
zwróciła się do mnie:
— Bo, jeśli mam być zupełnie szczerą, droga Haniu, a zdaje
mi się, że jako matka
taką być powinnam, to powiem ci, że towarzystwo młodych
kobiet w X., do którego
wejść musisz, nie jest takim, niestety! jakim pragnęłabym je
widzieć. Tak!
Nawet i nasza Stefa, najlepsza zresztą, najzaciejsza kobieta,
nabrała jakiegoś
szyku, jakichś upodobań wcale, ale to wcale niepotrzebnych...
Nie wiem, skąd się
to wzięło, bo dawniej, pod moją opieką, była całkiem inna.
Miała, tak samo jak
Marysieńka, śliczny układ, te «retenne», tak kobiecie
potrzebną. — Zamyśliła się
trochę i znowu mówiła: — Otóż, twojem zadaniem, kochana
Haniu, będzie zaświecić
w X. dobrym przykładem i nadać ton odpowiedni swemu
domowi.

— Ależ — zaczęłam — zdaje się, że ja żadnego «tonu»
nigdzie nadawać nie będę, bo
i Mik i ja zamierzamy żyć jak najciszej.
— O! dlaczego? — spytała matka — w waszej pozycji...
— Ach, pozycja! Pozycję można mieć, albo nie mieć. A ja
nie cierpię tego, co się
nazywa światem.
— Słyszysz, co mówi twoja żona? — zwróciła matka do
nadchodzącego Mika — cóż ty
na to? Ty światowcze?
Mik usiadł przy mnie i objął mnie ramieniem.
— Mik dobrze wie, że wziął dzikusa — rzekłam.

— I że poprzysiągł jej posłuszeństwo małżeńskie — zaśmiał
się Mik.
— E, moje dzieci! Widzę, że sami jeszcze nie macie żadnego
programu na
przyszłość. A życie bez programu, to prawie tak jak życie bez
zasad.
— A u nas mówią na Polesiu — odezwałam się — «Trzeba
żyć, jak nabieżyć». I kto
wie...
— Niech mama będzie spokojna. Damy sobie rady — rzekł
Mik, który widocznie nie
pragnął dyskusji między mną a matką.
Uważałam jednak, że matka nie była spokojną. Bo nieraz
jeszcze podczas naszego
pobytu starała się wszczynać kwestye zasad, pozycji,
obowiązków społecznych i
t.p. Tylko, że ja robiłam, co mogłam, aby tych rozmów
unikać. Nie łudziłam się

jednak, ufności nie umiałam wzbudzić. Moja «mądrość i
emancypacja», traktowane
zrazu litościwie jako błąd młodości, z którego przez należną
pokutę mogłam się
oczyścić, przy bliższym poznaniu rysowały się jako plama do
zmycia trudna, ach,
jak trudna!
Lecz czegoż nie dokona miłosierdzie chrześcijańskie! Więc
matka wpływała, ksiądz
profesor gromił, ciotki Anulce kazano się modlić za moją
duszę, a Rusiński dawał
wskazówki dobrego tonu. Nie ufali, lecz pracowali nademną. I
nawet Stefa,
uspokojona, że ani myślę współzawodniczyć z nią o względy
malarza Michaleckiego
i że wogóle flirtu nie uprawiam, zawyrokowała, że jednak ta
Hania jest wcale
pocziwe stworzenie.
I przez cały czas pobytu w Burgielach mia-

łam to poczucie, że jestem w obcej skórze, z obcymi ludźmi,
na nieznaną mi
dotąd planecie, że coś mnie uciska i dusi. Wprost fizycznie
bolały mię
prowadzone rozmowy i mój własny w nich bezbarwny, mdły i
nieszczery udział.
Bolały mnie te banalności żute i przeżuwane. Bolało mię
powietrze tego domu,
jakby puste, jakby składające się z samych tylko baniek
mydlanych. Bolała mię

przedewszystkiem moja własna osoba, ruszająca się, ubrana, mówiąca podług narzuconej formy, osoba wstrętna mi, obca, której dotychczas nie znałam.

Po parodniowym już pobycie zrozumiałam, że między mną a temi tu ludźmi nie było i nigdy być nie mogło nic wspólnego.

Wszyscy oni mieli w życiu cel jeden, jedyny, utrzymać pozycję.

«Pozycja», to był ich Bóg, ich racya bytu, ich alfa i omega.

Pozycja ta wymagała

bogactwa, więc wyteżali wszyscy wolę swą ku posiadaniu i utrzymaniu tego

bogactwa. Pozycja ta wymagała stosunków z wielu nudnymi i wstrętnymi osobami,

więc narażali się wszyscy na nudy, na trud, na rozmaite przykrości i

upokorzenia, aby te stosunki utrzymać. Pozycja ta wymagała przedewszystkiem

pewnych form, pewnego względu zewnętrznego, więc wszyscy usilnie o formy te i

wygląd zabiegali. Pozycja ta wymagała także pewnych zasad, więc zasady te były

pilnie wpajane, strzeżone i wygłaszane przy każdej sposobności.

Nie chodziło tym ludziom o rzecz samą, co o jej pozory, o tem przekonałam się bardzo prędko.

Nie potrzebowali i nie lubili nawet tego zbytku, którym się otaczali. Mieli

gusta skromne. Smakowały im (z wyjątkiem Rusińskiego)
potrawy zwyczajne, męczyło
ich nieraz nadszkakiwanie służby, nie byli przejęci zasadami,
które głosili,
nudziły ich te pobożne praktyki, którym się oddawali, nie
kochali tak bardzo
swych pamiątek rodowych i dla wygrzebywanych antenatów
mieli trochę
lekceważenia, Piotr wyraźnie drwił sobie z arystokratycznych
zachcianek
Żarszczyzny, nie mieli sympatii do ludzi, o których
znajomość się starali,
obojętne im były pojęcia, za które walczyli. Ale to wszystko
razem stanowiło
«pozycję». Więc było święte, nietykalne, więc było
najwyższym celem.
Pozycja żądała od mężczyzn: coraz to większych środków
pieniężnych, doskonale
skrajanych ubrań, wygimnastykowanych i niezmiernie
czystych ciał, ładnie
utrzymanych włosów, ruchów niedbałych, ale powściągliwych,
znajomości kilku
języków, dokładnego znawstwa wszelkich sportowych spraw i
honorowego kodeksu,
dyskrecji i taktu w sprawach miłosnych, należenia do
porządnego klubu, dobrej
pamięci co do rodowych związków nie tylko krajowych, lecz i
zagranicznych i
pewnego pojęcia o polityce. Od kobiet: ładnych toalet i
pięknie wypielegnowanych
rąk, umiejętności flirtowania aż do ostatnich granic, lecz bez
jaskrawości,

zamiłowania do sportów, a już przynajmniej do lawn-tennisa,
prawowierności
katolickiej niewzruszonej, a ozdobionej przyjaźnią z jakim
modnym «directeur de
conscience», odczytania w bieżącej literaturze po-

wieściowej, także znajomości kilku języków, serca o tyle
czułego na niedolę
ludzką, żeby nie odmawiało wsparcia na każde zawołanie i nie
opuszczało bazarów,
went i koncertów dobroczynnych, ruchów zgrabnych i
pełnych wdzięku, umiejętności
zadysponowania «un diner fin» i utrzymanie domu na
eleganckiej stopie, mówienia
grzeczności tym nawet, których się niecierpi i prowadzenia
lekkiej i dowcipnej
rozmowy o niczem. Od ludzi wogóle: trzymania się pojęć
utartych, wypróbowanych i
bezpiecznych, wydeptanymi z dawien dawna drogami,
patriotyzmu tak spokojnego,
aby się nigdy niczem nie zdradził, aroganckiej grzeczności
względem niższych, a
uniżoności przysłoniętej pewną nonszalancją względem sfer
wyższych, chłodnego
uwielbienia dla opatentowanej sztuki i nauki, a surowego
potępienia dla
wszelkiej nowości, absolutnego uznania dla wszelkich faktów
spełnionych, karnego
ugięcia kolan przed każdą władzą, pogardliwego ignorowania
wszelkich nowych

objawów myśli ludzkiej, przede wszystkim zaś przekonanie,
że ta mała garstka
wybrańców, do której się należy lub należeć usiłuje, jest
właściwie jedyną
rzeczą, o której mówić warto, jest światłością świata, solą
ziemi i racją bytu
ludzkości, że ona jest «światem», a reszta... no, reszta, to...
«ludzie»...

Dnie mijały w Burgielach nadzwyczaj powolnie. Dzień
imienin wydał mi się tak
długim, jak żeby wcale nie miał końca. Przyjechało kilka osób
z sąsiedztwa.

Ładne były, czyste, strojne, ale tak

mało się między sobą różniące, tak wzorujące się jedne na
drugich, że ja wkońcu
miałam to uczucie, iż jestem na wystawie figur woskowych,
które automatycznie
wykonywują jakieś ruchy i wydają jakieś głosy.
Zresztą w powszednim życiu mylano głównie o tem: co
robić? I przeważnie
kończyło się na snuciu się z kąta w kąt. Najwięcej stosunkowo
czasu zabierały
sporty. Ale tu w oczach całej rodziny okazała się moja
niższość i to bodaj
najwięcej nadwreżyło opinię moją. Byłam bowiem w tym
zakresie zupełną
ignorantką, gorzej jeszcze, śmiałam lekceważyć doniosłość
rzeczy tak ważnych i
tak dystygowanych. Konno jeździłam fatalnie, powozić nie
umiałam wcale, w

tennisa nie grałam dotąd nigdy i nie tylko, że nie miałam pojęcia o polowaniu, ale nawet nabitej broni trochę się lękałam. Przytem nie rozróżniałam ponterów od cetrów, a o taksach zuchwale twierdziłam, że są szkaradne. To już było nie do darowania! Rusiński, dość dla mnie względny, starał się dać mi najelementarniejsze przynajmniej wiadomości i choć z grubego mię ociosać. Ale inni byli tem naprawdę oburzeni i w dumie swej rodzinnej dotknięci. Stefa, nie żenując się, wzruszała ramionami i mówiła całkiem poważnie: — Ot, do czego prowadzą te wasze uniwersytety. Powodzenie więc moje u starszych pozostało wątpliwem. Ale zato u dzieciarni było ono zupełne. Nazajutrz po przyjeździe, idąc zrana do kąpieli, spotkałam w ogrodzie całą trójkę Maurycątek pod

opieką niańki i bony francuzki. Znajomość zrobiła się prędko i ani się obejrzałam, jak mały Dzidzi siedział mi na plecach «na barana», bijąc piętami i wydając okrzyki, ja umykałam dokoła klombu, a Stefcio z ogromnym batem gonił za nami, krzycząc w niebogłoty. Bona zaś stała z załamaniem rękami, nie śmiejąc mi dzieci odebrać i powtarzając tylko bezradnie: «Mon Dieu! que dirait madame!»

A że tego rodzaju sceny dość często się powtarzały, więc dzieci zaczęły przepadać za «strenką Anią» i ponieważ pokój ich blisko był naszego, więc zrana wymykały się z rąk niańki i wpadały z hałasem do mnie, skacząc mi na łóżko bosemi nóżkami i niby budząc rozmaitymi figlami. A za chłopcami szła, kołysząc się na tłustych nóżkach, mała Ninetka i gramoliła mi się na łóżko. I miałam wtedy całą ich gromadkę ze śmiechami, z opowiadaniem, z pokazywaniem «sztuk».

Były to najweselsze chwile w dniu.

Nie wiem jednak, dlaczego Lusja Maurycowa nie była rada z mojej z dziećmi zażyłości. Pewnie uważała, że psuję ich maniery.

A Stefa, widząc mnie bawiącą się z nimi, dziwiła się: — Nie rozumiem — mówiła — jak można lubić dzieci! Czy jest co nieznośniejszego! Już małe psiaki sto razy zabawniejsze.

— Jakto! A ze swojemi dziewczynkami nie bawisz się nigdy?

— Nigdy. Kiedy jestem w domu, przyprowadzają mi dzieci raz na dzień dobry, drugi raz na dobra noc i dosyć. Jeszcze starszą, Natalcię, to cza-

sem pocałują, bo ładna. Ale Hela, to takie straszydełko! Fe! No, nie patrz na mnie, Haniu, jak żebyś mówiła herezye, zobaczysz, sama się kiedyś przekonasz, co

to za nieznośna rzecz, dzieci w domu.

— O! bylebyśmy tylko mieli!

— Ach! będziecie mieli, będziecie! Tego nigdy nie brak.

Zjawia się nieproszone,
niedziękowane...

Nie wytrzymałam. — Wiesz Stefo! Nie rozumiem, jak możesz
tak mówisz! Cóżbyś

robiła w życiu, gdybyś nawet dzieci nie miała?

— Ach! dobra jesteś! Cobym robiła? Ależ mnóstwo rzeczy!

Nie poto wyszłam za mąż

przecie, aby dzieci nosić, rodzić, hodować, a może i karmić
jeszcze? i za

dziesięć lat być już starą i brzydką. Dziękuję! Nie wierzysz?

Spojrz na Lusię.

— A cóż Lusia?

— Lusia kropli oleju nie ma w głowie. Pięć lat, jak się pobrali,
a już czwarte w

drodze. To wprost skandal! I do czego ona już podobna?

Wcale ładniutka była

dawniej. A teraz straciła figurę, straciła włosy, schudła,

zzółkła, zaraz będzie

to stara baba. A wtedy co? Myślisz, że mąż będzie rad? Toż

ona od trzech lat z

domu wyjechać nie może, bo to nosi, to rodzi, to hoduje — w

kółko. Dziękuję za

takie życie! Ja wolałabym nie wiem co, jak tak kamieniem
siedzieć na miejscu.

Nigdy na Riwierę nie pojechać! Ach, Boże!

Milczałam zdumiona. Pierwszy raz na coś podobnego się

natknęłam. Ale Stefa, raz

rozpędzona, mówiła dalej:

— I wiesz, co z tego? Przecież tym dzieciom

musi być źle. Bo im ich jest więcej, tem będą biedniejsze.
Masz, Moryś głową
kręci, wdaje się w jakieś spekulacje, robi co może, też nigdy
nie użyje
porządnie, a swoją drogą, na czworo, cóż to znaczy taki
fundusz? Oni to
doskonale rozumieją i dlatego też Lusia tak mamę kaptuje.
Taka już zrobiła się
pobożna i robi czułe oczy do ojca Tomasza, i chodzi co dzień
na jego mszę, i
Stenia na księdza niby kieruje, i mamie przysługuje się, czem
może. Ale to nie
na wiele się przyda...
— Nie rozumiem, Stefo.
— Nie rozumiesz? Bo to widzisz tak, ja ci powiem. Po śmierci
ojca był dział i
każdy wziął swoje, bracia majątki, a siostry spłatę. A mama
wzięła kapitał, o
którym nikt nic nie wiedział, wiele tam jest au juste, ale zdaje
się, że dużo. I
teraz mama może nim rozporządzać, jak sobie chce.
Najsprawiedliwiej byłoby
podzielić równo na pięcioro dzieci. Ale Maurycowie myślą, że
lepiej, aby im się
dostało jak najwięcej. Więc wmawiają mamie, że my mamy i
tak dosyć, a Mik straci
zaraz, a Piotr może się bogato ożenić, i że Marysieńka robi
świetną partyę i
tak manewrują, żeby wszystko schwycić. Ale niedoczekanie
ich — dodała i aż się

cała zaperzyła — i ja swojego nie daruję! Już ja w tem, żeby
mama na równe
części podzieliła swój fundusz.

Byłam zgorszona. Wszakże to, co mówiła Stefa, odnosiło się
do spadku po matce,
po tej, którą to niby kochano. Jakaż to była potworna
interesowność! Spytałam o
to Mika. Zaczął się śmiać.

— Ależ naturalnie! — rzekł. — Maurycowie już od dawna
łaszą się o te kapitały.

Ona, to tak zabiega, aż obrzydliwie. Najśmieszniej to, że ojca
Tomasza
kokietuje.

— Ależ Miku! to wstrętne!

— No, widzisz, oni mają dużo dzieci, a teraz ciężkie czasy...

— To niech skromniej żyją... A zresztą, nie wiem co... Ale
liczyć na czyjaś
śmierć i to matki!...

— Ach, ty, Haniuś! naiwna jesteś... Toż wszyscy tak samo...

— Mik, co ty mówisz! Jakto, wszyscy? Ależ, jeśli tak, ja tych
wszystkich znać

nie chcę. To obrzydliwe, to podłe! Ja gdzieś ucieknę, ja pójdę
sobie... ja z

takimi ludźmi żyć nie będę... znać ich nie chcę...

Byłam wzburzona.

— I mnie... i mnie znać nie chcesz?... — zaczął pieszczotliwie
Mik, obejmując

mię i przyciągając do siebie.

— Gdybyś był taki, to i ciebie. Naprawdę!... Naprawdę!... Ale
ty nie taki, Miku,

nie?...

Patrzałam mu w oczy, w te jego szczerze, niekłamiące oczy. —
Powiedz!...

— Co to, to nie! — zaśmiał się. — Niewiele ja jestem wart,
szelma ze mnie, łotra
kawał, swoje puściłem, ależ na cudze nie łakomiłem się nigdy.
A! pal licho
wszelkie sukcesy! Żebym miał o nie na łapkach służyć, a
czyjej śmierci
wyglądać!... Nie! Go to, to nie, Haniuś! Możesz być
spokojna...

— Ach, Miku mój! Miku! kiedyż to się skończy? — rzekłam
raz, gdyśmy się znaleźli
wieczorem sami w naszym pokoju.

— A co? Łono rodzinne nie podobało się mojej pani? Cóż
robić! Trzeba jeszcze dwa
dni wytrzymać. Będzie na cały rok dosyć.

— Ale, Miku, dlaczego to tak? Czemu oni wszyscy tacy...
nienaturalni?

— A no, widzisz, bo nie są tacy, jacy są, ale wszystko wedle
zasady, a zasada
głupia.

— To tak jest. Ale szkoda jednak, Mik. Takby dobrze było,
pomagać sobie, kochać
się wszyscy razem...

— Dajmy, że się kochamy mniej więcej. Ale i to nie tak jak
zwykli ludzie, ale
tak jak trzeba. Od dzieciństwa, wszystko u nas było tak, «jak
trzeba».

— Jaka szkoda! Wypaczyli was strasznie takim wychowaniem. Naprzykład Piotr, dobry, zdolny, sympatyczny, a naprawdę, to myśli tylko, jakby się najświetniej ożenić. Prawie nic go nie obchodzi, nie interesuje się niczem. Albo Marysieńka. Toż ona nic nie wie! Cała jej rozmowa: było bardzo przyjemnie, to bardzo ładne, tamto bardzo miłe, ten bardzo sympatyczny, tamten bardzo dobry i już! Próbowałam wczoraj na spacerze coś z niej wyciągnąć. Pytałam o ludzi, nic! Pytałam o książki, czytała trochę angielskich powieści i Sienkiewicza prawie wszystko i coś Orzeszkowej, wszystko «bardzo ładne». Pytałam o miasta, które widziała, wszystkie «bardzo piękne». Pytałam na koniec o ga-

leryę Drezdeńską, którą teraz zwiedzała: Madonna Syktyńska bardzo ładna, i Corregio także bardzo ładny, i portrety Van Dycka także, i Madonna Holbeina. Mój Boże! doprawdy, mnie się zdaje, że ona nie rozpozna Holbeina od Rafaela!

— Zechciałaś! Na pewno nie rozpozna. Myślisz, że ja rozpoznań?

— Ach! Mik!...

I przykro mi się zrobiło, bo to była prawda. I Mik to wiedział i czuł. I teraz, po chwili milczenia, pochylił się ku mnie, położył mi głowę na piersiach i

zaczął mówić:

— Już to, Haniuś, niema rady, musisz się z tem zgodzić. Ja tych wszystkich

waszych finezyi i filozofii i Bóg wie tam czego, nigdy nie rozgryzę. I przyznam

się, choć mi w łeb pal! ani wiem, na co to komu potrzebne?

— Mik... nie mów tak... Ja nie lubię...

— Kiedy prawda. No, powiedz sama, czyby cokolwiek na świecie się zmieniło, gdyby

naprzykład filozofia scholastyczna zwyciężyła system Kanta czy Spinozy, czy

jakiego tam niemieckiego dyabła? No, coby się stało?

— Ach, Miku! Bardzoby się wiele zmieniło. Wszak filozofia światem kieruje...

— E, nie może być! Mnie się zdaje, że światem pieniądze kierują, ot co! I

dlatego, kto ma pieniądze, to ważny pan. I wiesz, Haniuś, choć mną pogardzać

będziesz, że ja nie filozof, ale powiem ci o jednym projekcie.

Maurycy założyć

chce w X. taki kantor leśnych wyrobów, zakupów etc. i pro-

ponuje mi taki układ... — Tu szeroko rozwijać zaczął projekt nowy.

Ja słuchałam z całą uwagą. Ale w duszy myślałam, że już duch rodzinny zdążył i

moim Mikiem zawładnąć. Ale myślałam także, iż dla jego czynnej natury im więcej

pracy, tem lepiej i tem bezpieczniej.

Wreszcie on skończył mówić. Zamilkliśmy oboje. On się przytulił do mnie i było

nam razem dobrze, pomimo, że dzieliły nas tak wielkie różnice.

Po długiej chwili on się poruszył i rzekł cicho:

— A jednak, czy ja wiem! Może ty i masz rację, Haniuś; jest wiele rzeczy

ważniejszych od pieniędzy i od tej ich «pozycyi». Może ta wasza nauka ma jakiś

sens. Bo, przyznam się, gdybyś ty była taka jak Marysieńka, albo Stefa, albo jak

która z nich, tobym nigdy nie mógł ciebie pokochać. — Urwał i namyślał się

długo. Aż, obejmując mię jeszcze ciaśniej, rzekł: — I wiesz, Haniuś, jak

będziemy mieli synów, to ich inaczej wychowamy. Co?

— Spodziewam się! — zawołałam — ale i córki także.

— A no, i córki także. Ale to już twoja rzecz.

Z jakąż nieopisaną radością wróciliśmy do siebie. Ach, znowu być we dwoje po

tych męczących dniach skrepowania i fałszywej serdeczności!

Znowu być panią

swoich słów, ruchów, zdań, módz mówić prosto z mostu wszystko, co się myśli!

Wszystko? Czy naprawdę wszystko?

Poraz pierwszy wówczas zadałam sobie to pytanie: czy mogę z Mikiem dzielić się wszystkim?

I musiałam sobie odpowiedzieć: nie.

Z początku sama przed sobą nie chciałam tego przyznać, ale potem musiałam.

Tak. Były całe obszary myśli ludzkiej, całe krainy
niezmierzone i głębie
przepaściste, i szczyty, i przestrzenie, na które nie wszedł on
nigdy. Gorzej,
nie przypuszczał ich istnienia. A jeśli kiedy obito się o jego
uszy echo z
tamtego świata, to z całkiem rasową bezmyślnością uśmiechał
się lekceważąco i
wzruszał ramionami.
Nauki pozytywne cenił wysoko i lubił się zachwycać
cywilizacją i nadzwyczajnymi
wynalazkami naszego wieku. Ale kim jest człowiek? Czem
jest dusza nasza? Skąd
się bierze rozum, myśl, sumienie? Czem jest świat cały? Kto
nim rządzi? Skąd
powstał i dokąd dąży? Czem życie, czem wieczność, czem
ból, czem radość? Co nas
poza tem czeka? To mu było całkiem obojętne i pewnie jednej
chwili życia swego
nie zmarnował na rozwiązywanie wielkiej zagadki.
Lecz nie tylko te głębie były mu obce, ale i kwestye zupełnie
aktualne, życiowe,
jak sprawy socyalne, humanitarne, narodowe i etyczne, jak
prądy nowe i stare w
sztuce i w literaturze, jak nawet pobieżne wiadomości z
historyi lub socyologii.
Od czasu zdania egzaminów, nie wziął do ręki naukowej
książki, a i lżejszej nie
przeczytał nigdy dokładnie. Przerzucał powieści, zwłaszcza

francuskie, przerzucał artykuły bieżące, przerzucał gazety i przeglądał

ilustracje. Oto było wszystko.

A nie był głupszym od innych. O, bynajmniej! Pamięć miał ogromną, zdolności duże i umysł jasny, łatwo obejmujący. Tylko nie rozsmakował się nigdy w niczem

poważniejszym i oderwanem i to mu się wydawało wprost niepotrzebnym balastem w życiu.

Dla mnie i dla mojej «mądrości» miał odrobinę pobłażliwego lekceważenia, jak dla

kaprysu kobiety. A gdy mu się kiedyś przyznałam, że napisała parę nowelek,

które miały powodzenie, spytał najprzód, czy były drukowane? A gdy się

dowiedział, że tak, to się trochę zdziwił, ale był rad, tak jakby z jakiego

światowego sukcesu.

— A nie chciałbyś tego przeczytać? — zapytałam nieśmiało.

Stropił się. — Przeczytać, Haniuś? Kiedy, bo, wiesz, ja się boję, że się nie

poznam na tem. Ja do książki, to akurat jak wół do karety...

Przeczytał jednak. Złożył porządnie numery gazet i pocałował mnie.

— Ot, jaką ja mam żonę, bas-bleu! — rzekł nawpół żartem.

A mnie się w sercu coś ścisnęło.

O «Pokrzywdzonych» nie powiedziałam mu nic.

Sama jednak coraz częściej o nich myślałam. W pierwszych czasach naszego

pożycia, zajęta wszystko pochłaniającą miłością, bez uwagi śledziłam to, co

pisano w gazetach o sędzie konkursowym. Potem nastąpiły wakacje i długa przerwa.

Aż tu naraz, po powrocie z Burgiel, wyczytałam doniesienie: "Członkowie sądu dramatycznego konkursu, ogłoszonego przez «Kuryer Północny», po powrocie z letniego wypoczynku, zebrali się znowu w dniu wczorajszym dla wspólnego odczytania wybranych sztuk. Ostateczna decyzja spodziewana jest w najbliższej przyszłości".

Serce uderzyło mi mocno. A potem zaraz powiedziałam sobie: «Trzeba być idiotką, aby się czegoś po tym spodziewać. Na taki konkurs piszą najlepsi, już nieraz całkiem wyrobieni autorowie. Czegóż ty, biedactwo, możesz tu chcieć?»

Tłómaczyłam się przed sobą, że mi chodzi jedynie o to, aby ktoś kompetentny przeczytał moją pracę i sąd o niej wydał. Nie miałam pretensyi do odznaczenia.

A jednak... a jednak!...

I znowu wszystko ucichło. O konkursie nic nie było słyhać. Myśli moje zwróciły się w inną stronę.

Zbliżała się już zima, zjeżdżało się do X. «towarzystwo», a co gorzej, różni blizcy krewni Mika i trzeba było wyjść z naszej błogiej samotności i niektórym poważnym ciotkom lub

wpływowym kuzynkom pooddawać wizyty. Zatem poszło parę obiadów na naszą cześć, dwa czy trzy rodzinne wieczory i wreszcie konieczność zaproszenia do siebie najbliższych na herbatę. Pomimo zapowiedzi skromnych, rozumiałam dobrze, iż pierwszy raz przyjmując u siebie, i to takich ludzi, muszę się postarać o wyszukaną ele-

gancję w każdym szczególe. A rozumiałam także, iż moje doświadczenie w tym względzie jest żadne. Z pomocą książek, własnych obserwacji, rad Mika i głębokich namysłów, szykowałam ową herbatkę, zmuszając siebie do poważnego traktowania każdego drobiazgu, a w duszy wspominając moją «górkę» krakowską, «herbatodajną i serdelkopłodną», moje «bale», wydawane tam dla kolegów, mój samowar kulejący, lecz niewyczerpany, moje cztery filiżanki i dwie łyżeczki i te kochane twarze przyjaciół, wynurzające się z cieniów pokoju, przesłaniane to parą z samowara, to dymem papierosów. Ach, górko moja miła! Ach, dni mojej młodości!... Właśnie pilnowałam nakrywania do stołu i stałam w niepewności nad kupą owoców i dwoma kryształowymi kloszami. Nie wiedziałam, jak je ułożyć, wszakże onegdaj Rusiński opowiadał, że podawanie owoców w kloszach wyszło już z mody zupełnie.

Więc w czymże je podam? A kwiaty? Czy w tym porcelanowym koszyku pośrodku? Czy w tych wysokich kielichach? A tu Bogusia jak raz przyszła mi oznajmić, że auszpik z indyka z formy wyjść nie chce. A lokaj pytał, co pierwszej podawać i kto obniesie sosyerkę? A zegar bił już siódmą i myślałam z niepokojem, iż jestem jeszcze nieubrana, a włosy mam roztargane okrutnie. Mika, jak na złość, nie było. Ani żywej duszy, żeby się poradzić. Dzwonek zadzwieczał w przedpokoju.

— Z telegrafu — zameldował lokaj i czekał z kwitem do podpisania.
«Pewnie do Mika», pomyślałam podpisując i Bogusi tłumaczyłam dalej, że formę trzeba owinąć gorącą serwetą, ale nie potrząsać! broń Boże nie potrząsać!
— Kiedy ja, proszę pani, próbowała, a taki nie wychodzi.
— Poczekaj, zaraz przyjdę. — Powiedziałam to z pewną siebie miną, ale dobrze czułam, że ja tam najmniej poradzę.
Wpadł Mik. — Jakto! jeszcze nie ubrana! Ależ Haniuś! po siódmej!
— Zaraz, zaraz! Tylko powiedz, jak te owoce ułożyć? pojęcia nie mam! A tu jakaś depeszę przynieśli. I spójrz, czy dobrze na stole?
— Owszem, bardzo ładnie. Moja pani, to jest do wszystkiego majster! Ale idź się

ubierać, mała! idź! Przyjdą, a zastaną w szlafroku, to dopiero ogadają!

— Idę... idę...

— A proszę się dziś ładną zrobić! — krzyknął jeszcze za mną. «Bardzo mi też ładność w głowie!» mruczałam, rozpuszczając przed lustrem te moje

wiecznie rozwichrzone włosy. «Ważniejsza to ten auszpik».

Nagle Mik otworzył drzwi gwałtownie.

— Haniu! zobacz, nic nie rozumiem. To chyba do ciebie, ta depesza.

«Pokrzywdzeni» druga nagroda. Wiwat Hanna. Tola.

Mnie krew uderzyła do głowy. Zrobiło mi się.

w oczach ciemno, ciemno, pokój zaczął się kręcić, przymknęłam oczy. Czułam, że powtarzam słowa: «Pokrzywdzeni druga nagroda». Słyszałam Mika pytającego: «Co to jest Pokrzywdzeni? Kto to jest Tola?» I zaczęłam śmiać się i płakać razem i tulić się do jego ramienia.

Gdy wreszcie Mik zrozumiał, o co chodzi, nie posiadał się z radości.

— Dramat! Ależ to awantura! W trzech aktach. Jakto ty mogłaś wymyśleć? No, wiesz co, Haniuś!... I to grać będą? W prawdziwym teatrze? Ależ to z ciebie zuch baba!

— Tylko nie mów jeszcze nic o tem. Może to nieprawda, może to jakiś żart, czy ja wiem! Trudno wierzyć... Na takim konkursie najlepsi piszą... Nie mówmy o tem, poczekajmy, aż będzie w gazetach...

Nic nie pomogło. Mik wytrzymać nie mógł i każdemu z gości
coprędzej opowiadał
nowinę.

I tak wieczór mi zszedł jak na mękach. Każdy o coś pytał,
indagował, dziwił się,
jak to tak można, dopytywał się, jak to się robi? Czy to łatwo?
Patrzano na mnie
z zaciekawieniem, ale i z nieufnością. Bo przypominało się
wszystkim to, co już
chwilami dawało się puścić w niepamięć, że ta nowa w
rodzinie osoba, to jakieś
obce, z innego świata stworzenie, jakaś niepewna, może i
niebezpieczna nawet
osobistość, przybłęda, intruz, podejrzanе indywiduum, po
którym, kto wie, czego
się można spodziewać. Winszowano mi, co prawda, ale czuć
było w tych
powinszowanych cały szereg

zastrzeżeń. Przytem... teatr!... Zawsze to coś niezupełnie
moralnego...

Jedna z ciotek siedzących na kanapie, spytała: — Powiedz
jednak, kochana Hanno,
czemu to sobie wybrałaś ten rodzaj? Jakoś... dla porządnej
kobiety... te jakieś
komedye... to, przyznam się...

— Spiritus flat ubi vult — zawyrokował niezupełnie do rzeczy
pan Lucyan
Sławomirski, który robił w literaturze. Pisywał bowiem
korespondencye do różnych

pism o brukach, o rzeźniach, a też o ślubach i zabawach w high-lifie.

Ciotka nie zrozumiała, więc zamilkła. Ale jej niepokój o właściwości pisania «komedyi» rozwiął się w powietrzu i zaraził całe grono. Ja, której nerwy zawsze były w tych sprawach wyczulone, doskonale to rozumiałam. W piersiach wzbierał mi niepokój i rozdrażnienie, dochodzące do fizycznego bólu. A przytem jak błyskawice przelatowały mi po głowie obawy o sos pasztetu, o świeżość petit-fovrów, o sprawność lokaj a i o ten auszpik, o ten nieszczęsny auszpik, co z formy wyjść nie chce! Zmuszałam się do rozmowy lekkiej, banalnej, a oczy wędrowały ku lampom: czy nie filują? a myśl się frasowała to o Rusińskiego, czy nie krytykuje? to o hrabinę Łunińską, czy jest dość honorowana? to o Stefę, że nie ma z kim flirtować. I nagle odzywały się we mnie tryumfalne słowa:
«Pokrzywdzeni» druga nagroda. Wiwat Hanna!
Czy mi się śni? czy też prawda to? A więc co? Mam talent, naprawdę mam?...

«Byleby ten auszpik zechciał wyjść z formy»! przesuwano mi się po głowie i z zapalem zaczynałam opowiadać ciotkom o nowo budującym się kościele św. Joachima

w Rzymie, albo zachwycalam się ceremoniami wielkiego tygodnia, albo słuchałam ze skupioną twarzą przenudnych opowiadań o tej lub owej zupełnie mi nieznannej osobie. Na szczęście auszpik wyszedł z formy, sałata z homarów okazała się wyborną, pasztet i sos zostały zjedzone do szczętu, rozmowa przy stole się ożywiła i było już po północy, gdy Rusiński wychodząc powiedział, całując mnie w rękę:

— No, pani Hanno, tous mes compliments! Przyjmuje pani jak prawdziwa dama. —

Zaczynam się godzić z emancypacją kobiet.

— Przyszłę ci kilku młokosów, to twoje herbatki na przyszłość będą jeszcze miłsze — rzekła Stefa.

— O, widzę stąd, żeś się porządnie wynudziła!

— Wiesz, że nie tyle, co przypuszczałam. Jakoś «łono» dzisiejsze było mniej niż zwykle uroczyste. Oto zobaczysz, co się dzieje u ciotek... «Wolałabym już nie widzieć», myślałam, wracając do salonu i gasząc jedne po drugich lampy i świece. Czułam się moralnie zbita, potłuczona. Ach, królestwo za chwilę samotności! Ale musiałam jeszcze słuchać Mika.

— No, udało się nieźle — mówił — nie było bardzo nudno. I doskonały był indyk. W domu zrobiłaś? No, no! Wiesz, Haniuś, że z ciebie pyszna gospodyni! Ktoby się spodziewał!... I ciotki naga-

dały się, ile tylko chciały, bo to zwykle nikt ich nie chce
słuchać, takie
nudne! I Antoni nieźle służył... Ale mój Haniuś coś blado
wygląda. Idź spać,
kochanie... Jutro porządkować będziesz.
Poszliśmy więc spać. Mik jeszcze przypomniał sobie
«Pokrzywdzonych».
— No, ale zuch z ciebie, Haniuś! Druga nagroda! I czemu
szelmy pierwszej nie
dały?
Zasnął. Ja zaś do białego dnia oka zmrużyć nie mogłam.
Nazajutrz gazety potwierdziły wiadomość Toli i w
obszerniejszych słowach zdawały
sprawę z konkursu. Sztuk wyróżnionych było na sześćdziesiąt
trzy tylko siedm.
Pierwszej nagrody nie przyznano nikomu, tylko rozdzielono ją
na trzy równe
części i nagrodzono trzy sztuki, których wartość uznano za
mniej więcej równą.
Były to: »Doktor Żubrowski« przez Robinieckiego, aktora
sceny warszawskiej,
«Eloe», pięcioaktowa tragedia wierszem przez znanego już z
kilku dobrych rzeczy,
Henryka Brzeskiego, i «Pokrzywdzeni». Cztery inne
odznaczono i zalecono do
grania.
Otrzymałam też list od redaktora «Kuryera Północnego», u
którego złożoną była
nagrada, list bardzo grzeczny, winszujący, z zapytaniem gdzie
i jak ma mi
przesłać pieniądze i co ma uczynić z rękopisem.

W następnych dniach przyszło jeszcze listów sporo od znajomych, od kolegów, od Edzia i Idalki; nawet ojciec wypisał mi swoje komplementy na

ślicznym kawałku brystolu z malowanym herbem. A najmiłszy ze wszystkich był od Wiktora. Ten się cieszył tak, jakby to jemu przyznano nie jedną, lecz dziesięć nagród.

Przychodzili też nasi nowi znajomi, winszując i dziwiąc się i kiwając głowami.

Zjawiło się też dwóch korespondentów do gazet, prosząc o szczegóły biograficzne i o fotografię. Sławomirski wystąpił z napuszczonym artykułem o «naszej nowej gwiazdzie».

Czekałam z niecierpliwością zapowiedzianego sprawozdania sądu konkursowego z obszerną krytyką sztuk. Przyszło wreszcie. O «Pokrzywdzonych» pisano nie tylko z uznaniem, lecz z zachwytem prawie. Naturalnie zarzucano to i owo, niedostateczną technikę, rozwlekłość dialogów etc, ale to wszystko wynagradzała jakoby: «ta jasność i wypukłość, ta zdumiewająca plastyka, ta głębia uczucia i psychologicznego zmysłu obok niezwyklej u tak młodej autorki miary i harmonii, wreszcie ta logika w przeprowadzeniu charakterów, które takie jak są, muszą tak

a nie inaczej postępować i dążyć do takiego a nie innego końca». Te wszystkie zalety razem wzięte, pomimo drobnych usterek, nieodłącznych od pierwszego występu, zdają się rokować pani Hannie Lubińskiej świetną przyszłość, a naszej literaturze dramatycznej wróżą nową i niepośledniej wartości siłę».

Tyle razy przeczytałam tych kilka wierszy, iż dotychczas stoją one wyryte w mej pamięci. Bo też były mi one radością, bodźcem i ostrogą.

Stały mi się też i zapłodnieniem nowem.

Ach! pamiętam tę chwilę!

Na obiad przyszedł Mik zadowolony, gdyż w biurze któryś z kolegów czytał ów

artykuł, a wszyscy mu wieszowali. — Strasznie zrobiłaś się interesująca — mówił,

pieszcząc moje włosy — wszyscy o ciebie pytają.

Po obiedzie wyszedł do miasta, a ja wzięłam gazetę, poszłam do swego pokoju i

zamknęłam drzwi na klucz. Potrzebowałam być sama.

Wyciągnęłam się na szeszlengu i

miałam zamiar coś sobie poczytać. Lecz przedtem na owo sprawozdanie raz jeszcze

spojrzałam. I odeszła mnie ochota od innego czytania.

Splótłszy ręce pod głową,
zamyśliłam się.

A więc mam talent? Więc iść tą drogą?... Czy iść?... Więc pisać...

Cicho było w mieszkaniu. Mrok zimowy wstawał z kątów,
barwy nikły, sprzęty się
rozpływały w szarości i w cieniu. Ja leżałam nieruchoma. I we
mnie zaczęło coś
się rozpływać, i maleć, i niknąć, opadała ze mnie
rzeczywistość, oddalało się
istnienie realne. Mąż, dom, miłość nasza, świat tutejszy, to
życie rozpoczęte,
te troski, te obowiązki, te meble, te ściany, wszystko to
wypełzało ze mnie i
roztapiało się w mroku... A ja leżałam nieruchoma, samotna i
wyczekująca, jak ta
gleba dziewicza, pragnąca ziarna, jak ta rola szara i
bezbrzeżna, z cicha
szepcząca: «Veni, Creator spiritus»...
I przyszedł. Przyszedł duch twórczy, potężny,

niewysłowiony. I napełnił mię i rozlał siłę swą i moc po
wszystkich członkach
moich.

Leżałam wciąż nieruchoma. Wciąż cicho było dokoła. Lecz
wtargnęły myśli, duchy,
zjawy, tłum. Wchodziły, pochylały się nademną, patrzyły mi
w twarz, zaglądały do
oczu, przemawiały cichutko, zawirowały, zakręciły się i
znikły.

A wchodziły inne, i znów inne, i inne wciąż.

Aż pochylił się nademną on, posepny, czarny duch,
spojrzałam i pokochałam go i
roztworzyłam ramiona i objęłam go, i przytuliłam, i
posiadłam...

I tak począł się we mnie «Mistrz Jan».
Ach! czemu są rozkoszy miłości ludzkiej wobec tej
mistycznej rozkoszy
tworzenia! Jest to chwila jedna, chwila przelotna i nikła, w
której wyłania się
z naszej własnej istoty istota druga. W głębokościach naszej
duszy coś zakipi,
coś się zagotuje, podniesie, wzruszy, przepaść jakaś się
otworzy, ciemność się
rozedrze ognistą błyskawicą. I wyłoni się nowy duch, nowy
twór staje przed nami,
widzimy go i kochamy. Ach, jak kochamy!...
Ale tak jak poczęcie człowieka jest błyskiem miłości i
rozkoszy, a wydanie go na
świat jest długim pasmem dni ciężkich, a wreszcie bólem i
rozdarciem, tak samo
i artystyczna twórczość jest najprzód błyskawicą i piorunem,
co nas w siódme
niebo unosi, lecz potem jest ciężkim znojem, jest długim i
bolesnym porodem.
Wstałam z szezlonga i zaczęłam chodzić po mieszkaniu.
Ciemno już było zupełnie,
tylko z uli-

cznych latarni wpadały tu i owdzie smugi światła i
przechodząc przez wzorzyste
firanki, kładły się po ścianach jasnymi kwiatami i liśćmi.
Dobrze mi było w tym półcieniu. «On» był przy mnie, we
mnie. Widziałam jego
myśli, jego czyny, życie jego górne i chmurne rozwijało się
przedemną jak

wstęga. Tam, ówdzie była przerwa, jakiś cień, jakaś mgła, lecz dalej znów na wstęgę padały światła, wiła się i migotała przedemną. Powoli zaczęła się składać w części, w rozdziały, zaczęły przybywać osoby i sceny, zaczęły się grupować i skupiać, i oto szkielec powieści stanął wyraźny, związany ze sobą, logicznie spojony i cały.

«Mistrz Jan»! Kiedyś, dawno, w Krakowie poznałam tego młodego rzeźbiarza i przywiązałam się do niego. Była to najpiękniejsza dusza, jaką kiedykolwiek w życiu spotkałam. Nie z tego świata była. Wielki umysł i wielki talent. Kochał sztukę, kochał świat, kochał też jedną dziewczynę biedną. Umarł, prawdopodobnie z nędzy i przepracowania. I tak się jakoś zdarzyło, że byłam przy jego skonaniu. Teraz on wrócił do mnie, wcielił się we mnie i przezemnie chciał żyć na nowo. Zapaliłam lampę, usiadłam przy biurku i zaczęłam pisać. Jak długo to trwało, nie wiem. Nagle dzwonek zadzwieczał. Ocknęłam się, niebardzo wiedziałam gdzie jestem i co się koło mnie dzieje. W oczach mi stała ta szopa, która mu była pracownią, porozrzucane narzędzia, kupy gliny, zmoczone płachty

i jego postać wyniosła z bujną nad czołem grzywą, na którą padał promień wschodzącego słońca.

«Ach, to Mik wraca»... przypomniałam sobie po chwili. «On» pierzchnął. Wróciły pod moje oczy ściany mojego mieszkania i zawstydziałam się myśląc, że przez tyle godzin mąż, ten ukochany mąż wcale dla mnie nie istniał.

— Wiesz — rzekł Mik, wchodząc — spotkałem Stefę. Szła tutaj, aby nas namówić dzisiaj do Łunińskich. Rusińskiego niema, onaby wołała z nami się zabrać.

Powiedziałem, że dobrze i umówiliśmy się, że zajedzie po nas o dziewiątej. Cóż moja pani na to?

Patrzałam na niego i zbierałam myśli. Jakoś połapać się nie mogłam. Stefa,

Łunińscy, dziś o dziewiątej... Mamy iść do nich?...

Dlaczego?... Nie mogłam sobie przypomnieć.

Mik zaczął się śmiać. — Spałaś, Haniuś, przyznaj się. Taką masz minę, jakbym cię ze snu zbudził. No, kochanie, cóż? Chcesz pójść do Łunińskich?

— Owszem, tylko... dlaczego dziś? Alboż oni nas prosili?

— Ach, ty, doktorska głowo! Nie pamiętasz, że oni mają wtorki? Jeszcze ona, tu będąc, przypominała, a ty przyrzekałaś najsolenniejsz, sama, własnym języczkiem...

No?

— Ach, prawda! Ale ja myślałam, że to będzie Bóg wie kiedy...

— Może nie chcesz? Tylko że... wiesz... byłoby to grzecznie, a ja...

— Ależ owszem... Dlaczego by nie? Zaraz... Tylko... trzeba się ubrać?

— Naturalnie, i to ładnie. Stefa kazała ci powiedzieć, że włoży białą, dość strojną, ale pod szyję.

Wolałabym «żyda zabić», jak mówiła niegdyś moja niańka, niż iść dziś właśnie na

ów wtorek do Łunińskich. Ale ani mi się śniło tego po sobie pokazać. I o

dziewiątej, gdy Stefa wpadła do nas wystrojona, pachnąca, jasna i uśmiechnięta,

ja byłam też gotowa i wciągałam białe rękawiczki z uśmiechem prawie równie jak

jej światowym. Gdzieś, na dnie myśli, kołatał się mi jeszcze «on», posepny,

smutny duch, ale tego na wewnątrz nie znać było zupełnie.

U Łunińskich było już kilkanaście osób, gdyśmy weszli. Kilka pań bardzo

strojnych i paru młodzieńców grało w pokera przy zielonym stoliku w salonie.

Przez otwarte drzwi do dalszych salonów widać też było stoliki kartowe i

grających mężczyzn. Na kanapie za parawanikiem flirtowała jakaś para, a sama

hrabina stała koło fortepianu i z wielkim ożywieniem opowiadała coś dwum panom.

Na nasz widok podeszła, wykrzykując uprzejmie: — Oto miła niespodzianka!

Pocziwi państwo jesteście! Ze Stefa przyszła, to jeszcze nic.
Pan też, to
jeszcze mniejsza. Ale pani... — zwróciła się do mnie —
laureatka! Sława nasza!
Już nie wiem, jak panią uhonorować...

Śmiała się, lecz widocznie była rada.
Stefa się oburzyła. — Wiesz, Lucy! będę zazdrosna. To ja już
nic nie znaczę?
Panie Michalecki — zwróciła się do malarza, który z nami się
witał — czy ja nic
nie znaczę?
— O!... — zaczął.
— Nie, nie, nie! moja droga — zawołała hrabina — to stronne
świadectwo... Pan
nie ma tu głosu, nie, nie!
— Widzę, że panie już zaczynają się kłócić — rzekł
nadchodzący hrabia Feliks —
trzeba je rozdzielić. Pani Hanno, gra pani w pokera?
— Pojęcia o nim nie mam.
— O, to źle! trzeba się nauczyć. My tu bez pokera tchnąć nie
możemy. My tu wcale
nie mamy o czym mówić, więc musimy grać. Ja powiem, że to
już nawet przeszło nam
w krew. Pani się dziś zdaje — mówił dalej, posadziwszy mnie
na kanapie i
rozparłszy się obok — że pani wystarczy tych zasobów, jakie
pani w sobie
posiada, że pani inteligencya, nauka, wiadomości, wrażenia
doznane, że to się tu

ostoi i da utrzymać? Iluzya, kochani pani, iluzya! Tu jest taka atmosfera, że najsilniejszy umysł zmarnieje, w pół roku zmarnieje. Tu się nic nie ostoi.

Wszelka dobra wola, wszelkie usiłowania, każda działalność, największe esprit d'initia-tive, wszystko to na nic! Za pół roku, za rok najdalej, ogólna apatya ogarnie. Nie zostanie nic, proszę pani, nic a nic.
— Jednak... i tu... — zaprotestowałam nieśmiało.

— Tu, pani, to cmentarz. Nie przesadzam nic. Nas tu już niema. Już jesteśmy morts et enterrés. Pani nie wierzy? Za pół roku przekona się pani.

Długo jeszcze bawił mnie hrabia Feliks w ten sposób. Chciałam się dowiedzieć, czy dawniej, zanim się przekonał, że tu cmentarz, robił jakie usiłowania, aby tę śmierć odsunąć? Spytałam go o to.

— A cóż ja, proszę pani, słaba jednostka! mogę na to poradzić? Gdy byłem bardzo młody i niedoświadczony, może tam jakieś takie myśli plątały mi się po głowie.

Ale prędko się opamiętałem. Nie warto, proszę pani, tu sił tracić. Tu, proszę pani, powinna rządzić nami jedna zasada: saure qui pent. Ja też tak robię. Daję moim dzieciom wychowanie zagraniczne, europejskie, kapitały lokuję, o ile możliwości, zagranicą, sam też najchętniej tam przebywam...

— Zagranicą?

— Tak, przeważnie na południu, na Riwierze. Mamy tam willę niedaleko od Cannes, klimat ten bardzo nam służy. Dla interesów, ma się rozumieć, że i tu czas jakiś spędzać musimy. Ale już i teraz jesteśmy na wylocie...

— A tak — rzekła hrabina Lucy, która nadeszła z panem Sławomirskim — zaraz po świętach wyjeżdżamy. I dlatego też tembardziej się cieszę, gdy przychodzą na moje wtorki, chcę użyć tutejszego towarzystwa, zanim wyjadę. Ale i ty, Stefo — dodała, zwracając się ku stronie salonu, gdzie Stefa

z Michaleckim gwarzyli półgłosem — przyjedziesz tej zimy na Riwierę?

— Ja? Przypuszczam... Nie wiem, co mój pan i władca postanowi, bo dotychczas gniewa się na Monte-Carlo, że tak się zgrał zeszłego roku. Ale może przejdą

gniewy... Właśnie pana Michaleckiego namawiam...

— Ach, toby ślicznie było! Urządźmy tam swoje cezele...

Wstała, ożywiona projektem. Ja się też poruszyłam. A hrabia tymczasem wymknął

się do kartowego pokoju i już go więcej nie widziałam. Spełnił względem nowego

gościa obowiązek grzeczności i szedł grać ze spokojnym sumieniem. Zato zbliżył

się Sławomirski i rozpoczął interview:

— Nad czym pani teraz pracuje?

«Mój Boże! po co to ludzie takie pytania zadają?» myślałam,
zbywając go byle
jaką odpowiedzią. «Czyż on naprawdę może przypuszczać, że
mu się zwierzać będę!
Więc po co pytać»!
— Co pani myśli o nowych prądach w naszej literaturze? —
takie było pytanie Nr.

Jakże jest ciężko zachować grzeczną minę i dać odpowiedź
przyzwoitą na takie
pytania! Ja się tego przez całe życie nauczyć nie mogłam.
Na szczęście Sławomirski sam tak dużo mówił i tak gorliwie
odpowiadał na własne
pytania, że mogłam się nie fatygować. To też słuchając jego
wyroków na całą
młodą Polskę, którą, jak mi się zdaje, znał jedynie z
genialnych krytyk
warszawskich, mogłam swobodnie obserwować towarzystwo.

Było dość cicho w salonie, gdyż wszyscy byli zajęci grą.
Tylko w przerwach
pomiędzy jednym a drugim tourem śmiano się trochę z
dowcipów starannie
produkowanych przez zabawiających panie młodzieńców;
odpowiadano na nie
uśmiechami, półsłówkami, i wracano do gry.
Pań grających było trzy. Jedna z nich zwłaszcza zwróciła moją
uwagę. Była to
wysmukła, nadzwyczaj wysoka i płaska blondynka, o białej
jak opłatek twarzy,

otoczonej pasmami lnianych włosów. Oczy miała zwykle spuszczone i powiekami skromnie nakryte, tylko czasem te powieki podnosiły się zwolna, leniwie i odsłaniały oczy blado niebieskie, wielkimi cieniami podkrążone. Twarz to była martwa, zupełnie pozbawiona wyrazu, zamknięta jakaś i wyjątkowo nic nie mówiąca. Zaciekawiała jednak, nęcąc oko kolorytem bladego pastelu, wyblakłą barwą i wiotką linią starego obrazu włoskiego. Podobieństwo to potęgowało jeszcze uczesanie nadzwyczaj sztuczne, kopiowane z Botticellego czy z Ghirlandaia i szata lekka, wzorzysta, przetykana jedwabiami i złotem, która spadała odważnie z obnażonych, bardzo chudych ramion. — Kto jest ta blondynka? — spytałam znienacka Sławomirskiego, przecinając mu wpół wykład o Wyspiańskim. On się zmieszał, bo był już rozpedzony w tym kierunku, lecz połapał się prędko i odparł: — To pani jej nie zna? To pani Harszynowa, z domu hrabianka Ropczycówna... — dodał znacząco.

— Hrabianka Ropczycówna... — zaczęłam przypominać. — A, wiem! Więc to dawna narzeczona Mika? — Tak, pani. Cóż, jakże się pani podoba?

— Bardzo oryginalna powierzchowność — rzekłam, wpatrując się coraz uważniej. —
Ale wydaje mi się sztuczna. Ona kogoś kopiuje...
— Tak, ona pozuje na quattrocento. Ale z tem jej do twarzy. Dawniej, gdy się mniej stroiła i czesała się zwyczajnie, to nie była wcale ładna. Nawet dziwiono się ogólnie panu Michałowi... bo ostatecznie nie było w czem się tak kochać!

— No, proszę pana, miłość jest ślepa.

— W każdym razie teraz można mu śmiało wieszować, że to małżeństwo z hrabianką Ropczycówną się zerwało...

— Czy mam to wziąć za komplement? Jeśli tak, dziękuję. — I pomyślałam w duchu:

«No, jeśli tylko przez porównanie z tą lafiryndą zyskuję, to jeszcze nie wielki honor. Ona być musi głupia, biedactwo, jak stołowe nogi. Ale Sławomirski tłumaczył, że pani Harszynowa jest ciężką żoną. Z tą swoją łagodną i dziewiczą miną zrobi zawsze wszystko, co zechce, a chce tylko jednego flirtu. Biedny Harszyn!

— Kogo to pan Sławomirski ogaduje? — spytała hrabina Lucy, zbliżając się znowu do nas. — Niech się pani jego wystrzega, pani Hanno! C'est une méchante langue!

Ale dość tego, proszę na kolację.

Do kolacyi poprowadził mnie hrabia Józef,

brat pana domu i przez cały czas mówił mi o przyszłości
miasta X. i o
kolosalnych interesach, jakie tu robić można. Mówił, że
zakłada właśnie wielką
spółkę garbarską, skupować mają skóry z całego kraju, odjąć
ten handel z rąk
wyzyskiwaczy i wyprawiać i na cały kraj znowu wyprawione
rozsyłać. To jest
interes wspaniały. W pierwszym roku gwarantuje już
procentów, a potem...
nieobliczalne zyski! I co za prawdziwie obywatelska i
patriotyczna działalność!
Wszystkich ludzi dobrej woli radby połączyć w tej sprawie.
Słuchałam, czasem coś przemówiłam. Ale oczy moje
wędrowały dokoła i wyznać
muszę, iż się najczęściej zatrzymywały na Harszynowej.
Siedziała obok Mika. Jego
twarz zasłaniał mi stojący na stole pęk chryzantym, tak że ją
tylko widziałam.
Śledziłam jej ruchy powolne, omdlewające, jej wejrzenia
przeciągłe z pod
nabrzmiąłych i ciężko spadających, jakby sennych powiek, jej
matowe oczy o
bladym kolorycie porcelany, jej białą twarz, na której usta się
ledwie odcinały
nikłą linijką, jej odsłoniętą pierś, z której się zsuwał bogaty
stanik.
Śledziłam jej białe ręce pokryte pierścionkami, gdy sięgały po
kieliszek z
szampanem. Jadła bardzo mało, ale zato piła i piła. A cera jej
stawała się coraz
bledszą, a oczy zachodziły jakby mgłą. Mówiła mało i
widocznie bardzo cicho, bo

parę razy ujrzałam z za chryzantem nachylającą się ku niej
głowę Mika, jakby z
zapytaniem. A wtedy jej ciężkie powieki podnosiły się zwolna
i wzrok ślizgał się
po jego głowie i karku. Raz musiał on powiedzieć coś

zabawnego, bo zaczęła się śmiać, odrzucając w tył głowę i
wtedy zobaczyłam złote
plomby jej zębów i blade, anemiczne dziąsła.
Jakim sposobem on, ten żywy, namiętny człowiek, mógł się
kochać w tej... no, w
tym bezkrwistym manekinie, ucharakteryzowanym na
quattrocento? Jakim sposobem? Co
w niej mogło pociągnąć? Nie tylko piękną, lecz przystojną
nawet nie była.
Spojrzałam po obecnych paniach: Stefa jaśniała jak dzień
letni, śliczna pod
kołpakiem swych kruczonych włosów, z blaskami w czarnych
oczach. Hrabina Lucy,
biała i różowa, o włosach rozwianych, o sympatycznych
ruchach i miłym uśmiechu,
nie była piękną, ale stanowczo bardzo powabną. Pani
Marcelina, trochę
podstarzała piękność, trochę już rozlana i ciężka, pociągała
jeszcze przepyszny
kolorytem, przepaścistymi oczami i wabiącym umiejętnie
spojrzeniem. Na zbyt
czerwonych wargach może zanadto wyraźnie znaczyły się
mnogie pocałunki, dawane i
otrzymywane; na skroniach i dokoła brody leciutka siatka
zmarszczek kryła się

pod pudrem. Pomimo to była jeszcze niezaprzeczenie piękną.
Ale Harszynowa! Mój Boże! cóż taka mężczyźnie dać mogła?
Spojrzałam na jej męża. Był chudy, zgarbiony i już łysiejący.
Pił, jadł, śmiał
się, ale wyraz troski nie schodził mu z czoła. «Biedny
człowiek!» pomyślałam, «i
Mik mógł zostać jej mężem! O Boże! do jakichże przepaści
onaby go nie
popchnęła»!
Po kolacyi towarzystwo się rozsypało. Pano-

wie znikli w palarni. Wielu z nich wróciło do stolików
zielonych. Pani Marcelina
nawoływała do pokera, ale jakoś się nie składał. Stefa z
Michaleckim znikli w
przyciemnionym saloniku, za nimi poszli Harszynowa,
Sławomirski i kilku panów.
Hrabina Lucy kręciła się tu i tam, aż wyciągnęła z jakiegoś
kąta młodego
brunecika i posadziła go przy fortepianie.
Ja czułam się nieswoja i niepotrzebna w tem gronie,
widziałam, że ludzie
rozmawiają ze mną tylko przez grzeczność, ale że każdego
ciągnie gdzieindziej.
Byłam intruzem.
Więc gdy się rozpoczęła muzyka, i to dobra, z radością
zbliżyłam się do
fortepianu i słuchać zaczęłam.
I smutno mi się zrobiło. Tak strasznie obcą tu byłam! A
przecież z tymi ludźmi

żyć miałam, prawdopodobnie aż do śmierci. Więc jakże
będzie?... Czy zawsze
obracać się będę wśród nich, zimna, strojna, uśmiechnięta, z
banalnym na ustach
frazesem? tak od nich daleka, jak ta gwiazda świecąca na
niebie, jak ten ptak
skrzydlaty, co na turniach gniazdo sobie uwił... tak daleka!...
A tu właśnie z fortepianu ozwały się wstrząsające akordy
Wanderera. I zaczęłam
sobie po cichu powtarzać:

Wo bist du, mein geliebtes Land —
Gesucht, geahnt und nie gekannt...

Po chwili muzyka się urwała, a ja niechcąca znalazłam się we
drzwiach
przyciemnionego saloniku.

— Ach, Hanna! — krzyknęła Stefa, niby złapana. Oj, oj, oj!
co to będzie!
Stała pośrodku pokoju, przechylona w tył, z podniesioną nogą.
— No, co ma być? — zawołał Michalecki i poskoczywszy ku
mnie, porwał moją rękę.
— Zapraszam panią do cake - walk'u.
Ogromny wybuch śmiechu.
— Do czego? — Nie rozumiałam.
— Nie! Nie! — zawołało kilka głosów — to nie w stylu pani.
— Ty się zgorszysz zaraz — mówiła Stefa.
— To jednak najmodniejszy taniec...
— Noblesse oblige. — Musimy to w karnawale zatańczyć.
— I to takie zabawne! Hau, hau!

— Hau, hau! — odezwały się zmieszane głosy. Nic nie rozumiałam. Ale oni zapomnieli już o mnie i z różnych kątów zaczęły się powtarzać miarowe: Hau, hau! Zapiszczała gdzieś jakaś dudka.

— Cicho! Mężowie posłyszają!

Dudka przycichła i leciutko już tylko, ledwie dosłyszalnie, akompaniowała. A

Stefa i jakiś młody wysoki blondyn wykonywali w dalszym ciągu psi taniec.

Służyli na łapkach, wyrzucali nogami, podrygiwali i łasili się jedno do

drugiego, a szczekanie przechodziło przez całą gamę tonów, aż młodzieniec

rzucił się na ziemię i na czworakach próbował towarzyszki swej nogi zębami pochwycić.

Ogromna wesołość zapanowała. Taniec podobał się ogólnie, a radość jeszcze się wzmogła, gdy

Michalecki sprezentował towarzystwu szereg szkiców, ilustrujących szlachetne pozy artystów.

— Ach, jak doskonale! Ależ znakomite! Stefa jak żywa!...

— Hau, hau!

— Sławomirski zbliżył się z dzbanem zamrożonego szampana.

— Hau, hau! — mówił, dolewając do szklanek.

— Hau, hau! — odpowiadano, kiwając głowami i kłapiąc zębami.

Harszynowa, bardzo blada, z kieliszkiem w ręku, odezwała się powolnym swym głosem:

— To wszystko nic... Ale... la danse du ventre, to dopiero...

— Niech pani zatańczy! Niech pani zatańczy! Pani pewnie to umie.

— Ale my wiemy, że pani to umie...

— Przecie Guccio opowiadał...

— Ach, pani jak stworzona do danse du ventre! Niech pani zatańczy.

— Hau, hau! prosimy tak pięknie — szczeakał Michalecki.

— Na łapkach prosimy — dodawała Stefa.

— Jakże ja to mam tańczyć, kiedy ja w gorsecie — odrzekła sennie Harszynowa.

— To niech pani gorset zdejmie — zaśmiało się kilka głosów. Ona się zawahała.

— Zdejmie, czy nie zdejmie? — szeptano. Ale ja nie miałam już odwagi pozostawać dłużej. Wysunęłam się z saloniku i na moje szczę-

ście, natknąwszy się na Mika, który z palarni wychodził, pociągnęłam go ku wyjściu.

— No, cóż mój Haniuś taki zamyślony? — rzekł Mik, kładąc się do łóżka.

Oparłam się łokciem o poduszkę i wybuchnęłam:

— Ależ to sto razy gorzej niż w demi-mondzie!

— A skąd moja pani wie, jak jest w demimondzie?

— No, nie wiem... Ale żeby w przyzwoitem towarzystwie, wśród hrabin i magnatek, takie rzeczy gadać, tak pić, tak szczekać, brykać! No, przyznam się... Nie jestem naiwna. Sama żyłam tyle lat wśród studentów i studentek, wcale nie wychowanych, nie urodzonych nawet, jak wy mówicie, a tego nie widziałam. I

wiesz, Mik, ja nie rozumiem, jak to może wam się podobać.

— Mnie to się już nie podoba. O tem ty wiesz najlepiej, Haniuś.

— No, tak. Doprawdy, gdybyś ty smakował w tem, to... tobym ja ciebie... no... niecierpiała.

— O jej! a tak?

— Nie, nie śmieć się, Mik. Ja naprawdę mówię. I, przepraszam ciebie, ale ta dawna twoja narzeczona, to... Nie, już lepiej nie powiem.

— Ależ owszem, bardzo proszę. Pewnie nic gorszego o niej nie wiesz odemnie.

— Ja nawet nic nie wiem. Tylko, że ona strasznie głupia.

— O, kolosalnie! Ale to właśnie podoba się.

— Niebardzo to dla was pochlebne. I wiesz, Mik, że ja wogóle nie mam wielkiej ochoty z takimi paniami się łączyć. Co nam z tego przyjdzie? Mik zamyślił się. — Co nam z tego przyjdzie? — powtórzył po chwili — naprawdę, to nic. Ale mnie przez całe życie uczono, że pozycja, to grunt. Wszakże to jest

dogmat, którym cała Zarszczyzna żyje i oddycha. A pozycja w X., to grać w pokera u Łunińskich, pić z Harszynową, módz pani Marcelinie naszeptać do ucha trochę bredni, mówić ty i klepać się po ramieniu ze Sławomirskim, z Lisickim i ze wszystkimi tymi bałwanami, a czasem pohulać z nimi u Baumana. Oto jest pozycja.

I ty, emancypowana kobieto! chcesz, abym się przeniewierzył tradycjom mego rodu!

— Śmieliśmy się oboje.

— Nie, Haniuś — dodał poważniej — musimy te stosunki podtrzymywać.

Naprawdę, byłam zaniepokojona. Jakto! więc skazana jestem na przestawanie z tem aż do końca życia? Więc to ma być mój świat? Czyżby małżeństwo obok obowiązków dla człowieka, którego się wybrało, wiązało jeszcze milionem najniepotrzebniejszych powinności! Czyżby obrączka ślubna zespalała kobietę i mężczyznę nie tylko na wspólną miłość i na wspólną pracę jako dwie wolne istoty, lecz jeszcze i na wspólne trwonienie czasu, myśli i rozumu, na wspólne popełnianie głupstw, na wspólny hołd mamonie, tytułom, próżności i fałszowi? , niedoczekanie! Jeśli Mik chce tego świata

i tych stosunków, niech sobie sam je uprawia. Ja ani myślę. Ja mam swój świat,

swój własny, piękny, jasny, mój świat myśli, uczuć, radości i smutków, zachwyków i rozanień, mój świat, gdzie chodzą duchy piękne, gdzie przelatują anioły. Ja mam mój świat.

I w ciemności pokoju znowu wtargnęły widma i zjawił się on, «mistrz Jan»,

ukochany, najbliższy i ukołysana myślą o nim, marzeniem otulona, zasnęłam.

Nazajutrz miałam się zapoznać z innym kółkiem i z innym towarzystwem. Z rana,

gdyśmy kończyli śniadanie, przyszło zaproszenie od ciotek.

Pisała ciotka

Barbara, że pragną bardzo mieć nas dziś u siebie na rodzinnej herbatce. I o

godzinie pół do ósmej punktualnie, narzekając na czekające nas nudy,

wstępowaliśmy na ciemne prawie zupełnie wschody staroświeckiego domu.

W ogromnym, pustym salonie, pod oleodrukiem, przedstawiającym Leona XIII.,

siedziało już kilka osób, przeważnie podstarzałych i starych pań. I myśmy tam

zasiedli dokoła lampy, przysłoniętej bardzo gęstym abażurem.

Rozmowa toczyła się poważna o bieżących sprawach kościelnych, o polityce Włoch,

o prześladowaniu klasztorów we Francji, o strasznych działaniach masoneryi.

Siwy, drobny staruszek, który niedawno bawił w Rzymie, opowiadał o

okropnościach, które się działy w pałacu Borghese, głównej loży masońskiej.

— Przecież to jest dowiedzione, że szatan we własnej osobie, w widomej postaci, asystuje każdej czarnej mszy.

— Jakto! dowiedzione? — zawołałam.

— Tak, proszę pani, wiem o tem od zupełnie wiarogodnej osoby. Niestety! tak jest.

— Ale jakże taką rzecz można dowieść? — spytałam, coraz bardziej zdumiona.

— I czyż masoni — odezwała się jedna z młodszych, starych panien — nie otaczają się taką tajemnicą, że niepodobna...

— Ależ tak! Tylko, że Opatrzność czuwa. I zdarzają się niekiedy nadzwyczajne nawrócenia, a wtedy ohydne ich sprawy wychodzą na jaw. Otóż i teraz tak było...

— I zaczął siwy pan opowiadać jakąś nadzwyczajną historję czyjegoś nawrócenia ze zwykłym akompaniamentem snów, uzdrowień, wizyi i cudowności.

Całe towarzystwo słuchało w skupieniu.

Tylko znowu ta sama panna zaprotestowała. — Przyznaję — rzekła — że w te wszystkie cudowne uzdrowienia nie zawsze wierzę. Są choroby nerwowe, z których bez żadnego cudu można odrazu powstać. A któż mi zaręczy, że tu właśnie takiej choroby nie było?

Powstała długa dyskusya, przzerwana wejściem ojca Tomasza i drugiego młodszego

cokolwiek księdza. Rozmowa przeszła na lokalne sprawy. Okazało się, że prawie wszystkie te panie zajmują się filantropią. Słuchałam z ciekawością o tem, co się tu robi, o usiłowaniach i próbach społecznej dział-

ności. Naprawdę, w ciężkich i nieznośnych warunkach, robiło się niemało.

— Zeszłego roku nasza gromadka — zaczęła ciotka Marya — przygotowała do spowiedzi świętej dzieci...

— A mogłybyśmy dużo więcej przygotować — przerwała obok siedząca gruba pani

Pieńkowska — gdyby wszystkie siły ku temu jednemu zwrócić. Ale są wśród nas

takie, które uważają, że katechizmu nie można uczyć bez czytania, pisania,

geografii, arytmetyki i Bóg wie, czego jeszcze! Na to więc tracą masę czasu. A

lepiejby było tamtego nie uczyć, a jeszcze więcej dzieci do spowiedzi

przygotować. Ja jestem tego zdania.

— Otóż właśnie ciekawa jestem, co na to powiedzą ksiądz profesor i ksiądz

proboszcz — rzekła ciotka Marya. — Dużo nad tem dyskutowaliśmy same, ale

najlepiej będzie, gdy nam kapłani tę wątpliwość rozstrzygną.

— Złożyła grzecznie

ręce na kolanach i oczy rozmodlone utkwiała w ojca Tomasza.

— O cóż chodzi? — spytał on, rozpierając się w fotelu.

Ciotka Marya i pani Pieńkowska obie razem zaczęły mu kwestyę przedstawiać. Potem zamilkły, czekając wyroku. Ojciec Tomasz pokiwał głową spojrzął na drugiego księdza i rzekł:

— Nie jestem ja z zasady przeciwny oświacie, nie! Tylko, że u nas na nieszczęście pod pozorem oświaty kryją się najczęściej rzeczy bardzo zgubne bardzo! Więc zawsze powiem: ostrożnie z ogniem!

Oświata, gdy nie jest w dobrym duchu udzielana, i to jeszcze powoli, stopniowo, to jest wielkie niebezpieczeństwo! bardzo wielkie niebezpieczeństwo! To jest miecz dany do ręki... szalonemu. A katechizm nigdy szkody nie przeniesie, to bezpieczna droga. Uczcie panie katechizmu.

— Ja — zaczął młodszy ksiądz — zgadzam się zupełnie z księdzem profesorem. Z

mojego doświadczenia wynika, że najgorsi moi parafianie są to ci niby oświeceni.

Czytają gazety, rozprawiają o polityce, krytykują...

Pani Pieńkowska tryumfowała. — A co! Ja zawsze mówiłam, że my tylko czas tracimy

na te geografie i arytmetyki. No, jeszcze arytmetyka, to może, chłopom

szczególniej, być potrzebna. Ale co naprzykład przybędzie z tego prostej

dziewczynie, że ona będzie wiedziała, co to jest ocean, albo zatoka, albo

przyłodek. No, co jej z tego?

— Tylko się w dumę wzbije i zacznie wszelkie powagi odrzucać — zawyrokował młodszy ksiądz.

Tymczasem w drugim końcu pokoju ciotka Barbara miała z Mikiem poufną rozmowę. Do mnie dolatywały czasem głośniejsze wyszeptane słowa dywidenda, kupony, akcje...

Intrygowała mnie ta bankierska narada. Okazało się potem, że ciotki zamierzały

kapitał swój ulokować w leśnym interesie Maurycego, który obiecywał duże

procenty i naradzały się z Mikiem nad wycofaniem go z banku. — A jakie to

praktyczne głowy! — śmiał się potem Mik. — Radzą się niby, a lepiej wiedzą, co

robić od najwytrawniejszego finansisty. Rachują, obli-

czają. Niby to w medytacjach, zamodlone, wniebowzięte. A kiedy chodzi o rubla,

oho!

Po herbacie rozmowa zesłała na temat książek i autorów.

Podejrzewałam, że trochę

to było na moją intencję. Ojciec Tomasz wyjechał z ulubioną filipiką przeciw

«nowym prądom» i «zgubnym kierunkom» w młodej literaturze. Inni, którzy tej

młodej literatury nie znali i poznawać nie zamierzali, niemniej jednak gorliwie

mu potakiwali. Wreszcie jedna z ciotek mnie wręcz spytała, czy tę moją

odznaczoną sztukę zaliczyć trzeba do młodych?
Zaśmiałam się. — O, zapewne! sama jestem młoda, więc i to,
co piszę, młode być
musi.

— No, tak, kochana Hanno. Ale ja pytam o kierunek... o
dążność! Czy jest co
wspólnego między... tobą, a temi... nowymi?
Ojciec Tomasz obrócił głowę i patrzył na mnie badawczo.
Czułam, że w głosie moim dźwięczy nuta rozdrażnienia, gdy
odpowiedziałam: —

Pisząc, nie staram się nikogo naśladować, ani młodych, ani
starych. Staram się
być sobą i szczerą, bo to nakazuje uczciwość autorska. Ale, że
żyję w tej a nie
w innej epoce, że jestem tej epoki wytworem, więc
przypuszczam, że przezemnie
przebijają także owe właśnie «nowe prądy» i «zgubne
kierunki», o których mówi
ksiądz profesor.

Nastała cisza. Trwała ona dość długo. Aż ciotka Barbara
wyjąkała niezręcznie: —
Ale przynajmniej... kochana Hanno... spodziewam się, że

w swych pismach nie zapominasz o moralności... o naszych
najświętszych
zasadach?...

— Ach! nie wiem — odparłam zniecierpliwiona. — Ja na
moralności wogóle mało się
znam, a pisząc, nie myślę o niej wcale.
Nastała cisza jeszcze większa i jeszcze dłuższa. Przez
przyciemniony i duszny

salon przeleciała Zgroza i powiał Chłód.
Mik kręcił się niespokojnie na krześle. Stare panie chrząkały.
Mnie już przeszła złość. A uderzył mnie komizm tej sytuacji. I
myśl poleciała do
Wiktor. «Ach, gdybyś ty tu był, przyjacielu! Tożbyśmy się
wyśmieli!» I śmiech
zbierał we mnie i zaczynał mię dusić.
Aż ksiądz profesor przerwał złowrogie milczenie i rzekł:
— Jednemu się dziwię. Dlaczego taki autor, gdy ukończy
swoją pracę, powieść, czy
dramat, czy poemat, nie zanieś tego po prostu do pierwszego
lepszego kapłana i
nie poprosi o przeczytanie, zanim odda do druku. Kapłan
wytknąłby mu wtedy
wszystkie usterki, których się może ów autor bezwiednie
dopuścił i możnaby je
poprawić w porę...
Nie! nie wytrzymałam! Potok śmiechu, co we mnie wzbierał,
przerwał wszelkie
zapory i nagle wybuchnął na zewnątrz. Nie mogłam! Śmiałam
się z całego serca.
Nic nie pomogły zgorszone spojrzenia ciotek i chrząkania pań,
i obrażona mina
księdza profesora. Śmiałam się.
Byłam, raz na zawsze, zgubiona w opinii.

Wprawdzie w parę lat potem, gdy się przekonano, iż pomimo
mojej niemoralności
nic złego nie robię, ciotki zwróciły się znów do mnie w
miłosiernym celu

nawrócenia mojej duszy. Nawet ojciec Tomasz zrobił, przypuszczam, że w porozumieniu z radą rodzinną, ku temu kilka prób, które jemu zapewne wydały się dyplomatycznymi wielce. Ale zaufania w tem kole nie zdobyłam nigdy. Nie! Zawsze pozostałam parszywą owcą w stadzie. Tymczasem ja, wracając z owej niefortunnej herbatki do domu, z trwogą mówiłam sobie: «Oto moje dwa światy, świat Łunińskich, Harszynowej et Comp., świat ciotek i ojca Tomasza. Czy ja wytrzymam? Czy ja wytrzymam?...

Wstałam nazajutrz z mocnym postanowieniem rozpoczęcia nowego życia. Dość tych miodowych dni próżnowania! Dość tego far niente! Wszystko ma swój koniec. Trzeba się zabrać do pracy. «Mistrz Jan», poczęty w godzinie mrocznej tęsknoty, teraz stawać się musi ciałem przez długi szereg godzin znoju i trudu. Do roboty więc! Zakasać rękawy i do dzieła! Zapowiedziałam służącej, że, gdyby się paliło, nikogo przez cały ranek wpuszczać do mnie nie wolno. I gdy tylko Mik wyszedł do biura, ja zamknęłam się w swoim pokoju i zabrałam się do pisania. Tak trwało przez dni kilka. «Mistrz Jan» posuwał się naprzód. Ranki miałam ciche i równo z przekręcaniem klucza w zamku, potrzebny mi nastrój budził się i trwał.

Zawsze w pisaniu najważniejszymi były dla mnie pierwsze tygodnie po rozpoczęciu dzieła. Bo zwykle początek powieści wystrzela nam gotowy prawie z mózgu, a dopiero potem następuje epoka niepewności, wahań i jakby kroczenia po omacku, aż wpadniemy na właściwą drogę i już ruszamy naprzód pewnym krokiem, usque ad finem. Otóż fatalną jest dla piszącego przerwa w tym pierwszym okresie, może ona dzieło całe zwichnąć i zabić.

Jednego ranka, wśród najlepszej chwili rozpisania się, słyszę kołatanie do drzwi. — Co to jest? Czego chcecie?
— To, proszę pani, z telegrafu.

Nastrój pryska, zjawia się niepokój. Otwieram drzwi. Depesza od matki: sama niezdrowa, Marysienkę wysyła dla obejrzenia mieszkania na zimę, czy ją do siebie przyjmujemy?

Odpowiadam: Naturalnie, czekamy.
Ale już dnia tego nie napisałam ani słóweczka.

Marysienka przyjechała nazajutrz w towarzystwie miss Lydii i służącej.

Wytlómaczyła zaraz, że się zdarza doskonale mieszkanie do wynajęcia na zimę od państwa Wirskich, którzy wyjeżdżają zagranicę, więc mama zmieniła projekt i zamiast na karnawał do Warszawy, chce przyjechać na całą zimę do X. Chodziło

więc o to, aby mieszkanie obejrzeć i coś postanowić, bo mama dostała reumatyzmu i nie może się ruszyć. Zaczęło się więc chodzenie, oglądanie, narady z Mikiem, narady ze Stefą, narady z Rusińskim, troska o to, że brakuje tam gościnnego pokoju w razie przybycia Maury-

costwa albo Piotra, że sala jadalna nie dość obszerna, że pani Wirska nie chce zostawić porcelany i szkła, więc że to trzeba z Burgiel przywozić, że meble w saloniku mocno zniszczone, a tapety w dużym salonie nieświeże. Zaczęły się depesze do matki, depesze od matki, wreszcie targi, układy i mieszkanie zostało najęte.

Przez cały ten czas spokoju nie zaznałam. Chodziło mi o to, aby moim gościom było wygodnie i przyjemnie. Więc choć im już nic nie brakowało, ja się jeszcze frasowałam i myśl moja rozbijała się i darła na strzępy.

Zwłaszcza, że jakby na złość, moja Bogumiła cierpiała na zęby, spuchła okropnie, była rozgrymaszona i zła i gotowała jak najgorzej.

Korzystając niekiedy z chwili, gdy panny były w mieście albo u Stefy, otwierałam tekę i kładłam przed sobą rozpoczęte arkusze. Ale wnet wśród najgłębszego

momentu zjawiało się w myśli pytanie: a może Bogumiła
zapomni o sosie? a pewnie
przepieprzy siekanie do pierożków? Pytanie to wślizgiwało mi
się do mózgu niby
niepostrzeżenie, zrazu cicho siedziało w kąciku, tkwiło
nieruchomie. Lecz powoli
zaczynało się ruszać, rozpierać, miotać po mojej głowie. I nie
było rady,
wstawałam od biurka i szłam do kuchni.
Nakoniec Marysieńka wyjechała. Odetchnęłam swobodniej.
Przywróciłam zaraz do
dawnego porządku gabinet Mika, który jej i miss służył za
mieszkanie, wszystkie
kąty obeszłam, to i owo poskładałam, Mika uścisnęłam przed
wyjściem i zdą-

żałam do swego pokoju, a mówiłam sobie w myśli «Otóż dziś
dobrze popracuję!» Tak
mię coś wewnątrz ciągnęło do pracy, do zatopienia się w tym
moim świecie, do
biesiady z nim, z tym moim... moim duchem...
Zanim jednak drzwi zamknąć zdołałam, przemknęły się
ostrożnie i ukazała się w
nich spuchnięta, złowroga twarz Bogumiły.
— Proszę pani — rozpoczęła — ja przyszła powiedzieć, że ja
tu dłużej służyć nie
mogę. Nie, żeby ja co na panią mówiła, broń Boże! ale z
Antonim, to i anioł nie
wytrzyma. Łaje się, kłóci się, lata Bóg wie gdzie, ścierki
czyściutkie bierze,

nie pytając i tak zatrze, że i odmyć niema jak. Już ja sobie,
proszę pani, ręce
na tych ścierkach popsowała, o, niech pani zobaczy! A
powiedzieć, to krzyczy i tak
przeklina, takimi słowami, że ja, pani, do takich słów nie
przywykły. Ja całe
swoje życie była na porządnej służbie i z takim hyclem służyć
nie mogę. Bo ja
zawsze byłam delikatna i mnie ksiądz Ambrożecki, i ksiądz
Urbanowicz, i ksiądz
Ułakowski dobrze znają i mogą pani powiedzieć, że ja... że ja
nie taka, co to
tylko latać i zęby szczyrzyć, albo co pańskiego dobra nie
patrzy...
Chciałam przerwać, ale mi nie dała i z coraz większym
impetem mówiła:
— Bo Antoni, to onby chciał młodą kucharkę mieć, żeby z nią
romansować. A ja,
jak żyję, tak żadnych romansów nie miała, niech mnie Pan
Jezus broni! Już to
ksiądz Ułakowski najlepiej może powiedzieć! A Antoni, to
pani nie wie, tak za
dzie-

wczynami chodzi, że wstyd powiedzieć i nocami bywa
wyjdzie, to ja jemu mówię...
Tu przerwałam stanowczo. Nie mogłam przecie dawać sobie
opowiadać o romansach
Antoniego. Powiedziałam Bogumile, że do końca miesiąca
przebyć musi, że powiem
Antoniemu o ścierkach, a że o inną kucharkę będę się starała.

Bogumiła odeszła nakoniec. Zamknęłam drzwi i usiadłam przy biurku. Ale nastrój nie przyszedł. Napróżno całą siłą woli odsuwałam myśli o Bogumile i Antonim, napróżno zagłębiałam się we wspomnieniach, starałam się ujrzeć to, o czym pisać miałam, starałam się słyszeć słowa, odczuć uczucia. Nie! Jak kura, co się do lotu zrywa i z trzepotem i z gdakaniem spada na poblizki krzaczek, tak moja myśl zbiedzona i marna podrywała się do lotu i spadała wciąż. Męczyłam się tak długo. Aż z gniewem tekę odsunęłam i wstałam od biurka.

A wtedy w jednej chwili obskoczyły mnie frasunki. Co ja zrobię bez Bogumiły?

Gdzie szukać innej? Czy będzie równie uczciwa? A może lepiej Antoniego odprawić?

Czy o tem mówić Mikowi? Czy lepiej samej sobie radzić?

Może ona tylko straszy?

Może Antoniemu zrobić wymówkę, to się wszystko uspokoi?

I tak dalej, i tak

dalej...

Mój Boże! Gdy patrzę dziś z wysokości lat ubiegłych na to życie zwykłej kobiety,

na te miliony trosk, drobiazgów, frasuneczków, bagatelek, przykrostek,

szpileczek, ogłupiań, trudnostek, z któ-remi ona codziennie, przez długie lata,

bez chwili

przerwy porać się musi, które stanowią jej powszedni chleb, i
to chleb zjadany
najczęściej w tajemnicy przed mężem, bo męczyć go nie chce,
przed światem, bo
trzeba mu pokazywać przyjemną twarz, przed rodziną, bo
zatrzuwać jej wesołości
nie można, na te miliony kwestyi i kwestyjek małych,
mikroskopijnych, które ją
obsiadają jak robactwo, którym się ona opędzać musi wciąż i
wciąż, a które
jednak wyżerają jej myśl, wysysają jej istotę, targają jej
nerwami, na te
wszystkie obowiązkowe oszczędności, kalkulacje,
rachowania i obmyślenia, na te
niezliczone więzy światowe, rodzinne, religijne, obyczajowe,
moralne i
konwenansowe, którymi je wyłącznie skrepowano, na tę
jeszcze sumienność
wyczuloną nieraz, co w nią z pokolenia na pokolenie
przechodzi, co jej z mlekiem
matki w krew się wlewa, gdy patrzę na to, a dodam jeszcze
narzuconą jej przez
samą czynność rodzenia, karmienia i hodowania rodu
ludzkiego, to zadaję sobie
nieraz smutne, rozpaczliwe prawie pytanie: czy naprawdę
kobieta może być
człowiekiem? Czy może, przyjąwszy na swoje barki takie
potworne brzemie,
zachować umysł jasny, duszę wzniosłą, sąd, rozum, wolę,
słowem, człowieczą
godność. Czy może?
Czy nie jest ona raczej, ach, feministyczny duchu Toli,
przebacz tak brzydkie

porównanie! czy nie jest ona tylko mierzwą świata, z której
dopiero rodzą się
mężczyźni-geniusze, mężczyźni-artyści, mężczyźni-działacze,
mężczyźni-
myśliciele?
Ci nie potrzebują rozdrabiać sił na błahostki

i kłopoty codzienne, bo zawsze mieć mogą oddaną, wierną,
wpatrzoną w ich
majestat niewolnicę, co z rozanieleniem do ich
wszechwładnych stóp słać się
będzie i proch z przed nich zmiatać. A jeśli pracować muszą w
pocie czoła na
chleb powszedni, no, to w każdym razie pieczenie tego chleba,
rozdzielanie go na
porcje i karmienie nim rodziny nie do nich należy. A to
niemało i kto wie
jeszcze, w czym większy trud i znój.
I słusznie mówi jakieś stare angielskie przysłowie: «Man's
work is from sun to
sun! but woman's work is never done». Tak, bo jego praca,
jakby ciężką była,
codzień ma swój koniec, codzień zawiesza się na kołku do
dnia następnego. Jej,
nigdy! Bo nawet w noc ciemną, kto się ze snu zrywa do
płaczącego dziecka, kto mu
mleko lub rumianek grzeje na maszynie, kto je huśta nieraz
godzinami na rękę?
Tak, z naszej krwi, z naszego ciała, z naszego trudu i z naszej
na drobne

cząsteczki rozartej istoty powstają oni, jak kwiaty z bujnej
gleby. Dla nich
świeci słońce na niebie, bo nie mamy czasu ani humoru, aby
oczy ku wyżynom
podnosić. Dla nich śpiewają poeci, piszą i malują artyści. Dla
nich sztuka,
poezya i piękno.
A że to wszystko wysoko umieszczone i trzeba się wspiąć, aby
zobaczyć, więc
pochylone nasze karki i rozdeptane ciała służą im za podnózek
wygodny, na który
wstąpiwszy, doskonale widzą i mogą się napatrzeć, nasłuchać
i nacieszyć do syta.

Ale wówczas tak myśleć nie mogłam jeszcze. Moja
rozbudzona pierwszym powodzeniem
ambicya unosiła mię naprzód i otwierała we mnie źródło
natchnienia, a moja
miłość dla męża kazała mi być mu dobrą, miłą i wygodną
żoną. A że młoda byłam
jeszcze, pełna sił, wiary i zapału, więc pogodzić chciałam te
dwa zadania mojego
życia i wierzyłam, iż pogodzić potrafię.
Nastał więc okres godzenia. Pracowałam nad «Mistrzem
Janem», całą duszą,
zapalałam się do nowego dzieła, parła mię naprzód siła
wszechmocna, co się
wewnątrz duszy mojej zrodziła, parła mię rozkosz tworzenia,
rozkosz dawania
życia temu, co spało we mnie, parła mię i ambicya i
widniejąca zdala mara sławy,

wreszcie ta niewytłómaczona a silniejsza nad wszystko,
prawie żywiołowa potrzeba
wypowiedzenia się, którą mają duchy artystów.

Pracowałam.

Ale obok tego byłam kobietą i żoną. I Mik nie przestał być dla
mnie alfą i omegą
wszechświata. Jego najmniejsze życzenie było mi rozkazem
najwyższym, jego dobro
było mi najpierwszym dobrem. Bardziej jeszcze od innych
zakochanych kobiet
czułam, iż dusza moja cała do niego należeć powinna, gdyż
jego dusza od mojej
zawisała. Przecież wzięłam go jak dziecko za rękę, odebrałam
go dawnemu życiu i
wlałam wń życie nowe. Dla mnie on porzucił swą przeszłość
i wstąpił na nowe
drogi. Dla mnie pracował teraz porządnie, uczciwie. Dla mnie
wracał do domu
wzorowo i spędzał wieczory

we dwoje. Dla mnie unikał złego towarzystwa, nie pił, nie
grał, nie był ani razu
u Baumana. Winnam mu była za to wiele, wiele! A za to, że
mi szeptał czasem,
tuląc się mocno do mojej piersi. «Tyś mię, Haniuś,
wyratowała. Bez ciebie
dawnoby już mię dyabli porwali. I ja ciebie, Haniuś, ja
ciebie... ach! i
powiedzieć nie umiem, jak ja ciebie ubóstwiam!» i w oczach
szklily mu się łzy

rozczenia, ły wdzięczności. Ach! zato jakąż bezdenną
miłość bylam mu winna!
Lecz nie tylko miłość. Winnam mu była stworzyć jeszcze
życie przyjemne, wesołe,
ciepłe, dom potulny a miły. Winnam mu była usunąć z drogi
wszelką troskę i nudę,
a otoczyć go jasnością, wygodą, weselem. Nie wolno mi było
zbytnio obciążać tę
niedawną jego cnotliwość. Zanadto lekko i bujnie zeszło całe
dawne jego życie,
aby mógł zmienić je odrazu na poważne życie obowiązku i
trudu. Zamało dotychczas
myśli głębszych przechodziło przez jego rozwichrzoną głowę,
aby ją teraz móżdż
zwracać na tory nauki, potrzeb społecznych, moralnych
zagadnień lub
filozoficznych dumań! Nie! zrozumiałam to odrazu. Nie
podnosić go forsownie na
stromy wyżyny, gdzieby słaba jeszcze wola jego mogła się
zmęczyć i upaść, lecz
prowadzić go przez słoneczne łąki, przez pola kwieciste, byle
iść razem!
Lecz na to należało schodzić codziennie z wyżyn
podoblocznych, gdzie ja sama
nauczyłam się przebywać, porzucać szczyty ukochane, tonące
w błękitach, a
schodzić w dolinę. I nie tylko iść z nim

razem, ale bież przed nim i kamyki mu z przed stóp usuwać.
Tak należało.

I takim życiem, podwójnem, żyć postanowiłam.

Zima ściągnęła do X. kilka jeszcze domów pokrewnych.
Matka z Marysieńką osiadły
w nowym mieszkaniu i otworzyły dom szeroko. Zrobiło się
gwarno w tem kółku, co
to się naszym nazywało. Dano kilka balów, ogłoszono cały
szereg fiksów, grano
teatry amatorskie, ślizgano się i kuligowano zawzięcie, a gdy
nadszedł wielki
Post, zaczęto szyć dla ubogich, przyczem było zawsze więcej
flirtu niż szycia.
Kilka par spoglądało na siebie znacząco, mówiono dużo o
zamiarach tego i owego,
wreszcie zaręczyny tu i owdzie się ogłosiły. Dało to powód do
kilku jeszcze
zebrań.
Ja musiałam brać udział w tem życiu światowem. Mik taki rad
był z każdej
sposobności zareprezentowania swej żony, przytem tak lubił
przyjmować u siebie i
tak przywykł żyć z ludźmi, że moja zbytńia abstynencya
bardzoby go martwiła. A i
obecność matki niemało przyczyniała mi ruchu i zajęcia.
Matka nie miała uznania
dla Stefy i jej światowych manier i nie lubiła jej powierzać
Marysieńki. Więc co
chwila się mówiło: «Proszę cię, droga Hanno, weź z sobą
Marysieńkę na dzisiejszy
koncert. Pewnie wybieraliście się, prawda? więc to ci różnicy
nie robi»...
«Idzicie dziś na j o u r księżny Ady, zajdźcie po Marysieńkę.
Ja tak się czuję
niezdrowa». «Moja Hanno, wiesz, nicbym nie miała przeciw
panu X. dla Marysieńki,

ale mi nie wypada

go zapraszać. Urządźcie jakie zebranie, dobrze? aby ta para mogła się spotkać»...

Brałam więc Marysieńkę na koncerty, prowadziłam na joury, urządzałam herbatki to z panem X., to z panem Z., nawet suknie chodziłam z nią przymierzać. Matka serdecznie mi dziękowała, Marysieńka mówiła za każdym razem: «Bardzo ci wdzięczna jestem, że się dla mnie trudzisz, kochana Hanno». Ja zaś pomimo wszystko miałam zbyt wrażliwy temperament, aby się nie ożywić i nie rozbawić w towarzystwie. I dopiero gdy wracałam do domu, odczuwałam, iż straciłam bezpowrotnie chwil kilka z tego i tak już krótkiego żywota. Straciłam, zmarnowałam. Bo ani korzyści żadnej, ani przyjemności, ani nawet wdzięczności ludzkiej sobie nie zjednałam. Przytem po każdym dłuższym przebywaniu z tymi ludźmi, ogarniała mię dziwna jałowość, pustka tak wielka, jakby to wszystko, co było we mnie, zostało zabrane, pochłonięte, wypite, a pozostało tylko miejsce, w którym to coś dawniej było. Ach! dziwnie przykre to było uczucie! Walczyłam jednak mężnie i pracowałam nad «Mistrzem Janem». Miewałam nawet chwile

błogości niewymownej w czterech ścianach mego pokoju, gdy
drzwi zamknięte
oddzieliły mnie od świata i wszelkich spraw jego, gdy małostki
i frasunki opadły
ze mnie, gdym się z nich otrzęsła i ponad nie się uniosła i
znowu wstąpiła na
szczyty i utopiła znowu wzrok i duszę w błękitach.
Tak, miewałam chwile błogości.

Tymczasem moi «Pokrzywdzeni», nagrodzeni i pochwałami
zdobni, spoczywali sobie
spokojnie w szufladzie dyrektora teatru. Zaraz po konkursie
napisał on do mnie,
prosząc o rękopis. Dostarczyłam mu go skwapliwie. Od tego
czasu nastąpiła głucha
cisza. Z gazet wiedziałam, że grano w Warszawie «Doktora
Żubrowskiego» przez
Robinieckiego z niemałym powodzeniem; że rozdano już do
nauki dwie z
odznaczonych sztuk: że nawet zabierano się do wystawienia
«Eloe» Henryka
Brzezkiego. Tylko o moich «Pokrzywdzonych» było głucho.
Na dwukrotną odezwę do
dyrektora teatru nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.
Ta cisza, ta niepewność drażniły mnie chwilami strasznie.
Chciałam jechać,
działać, dobijać się. Potem opadała moja energia, inne
wrażenia mnie
pochłaniały, zapomniałam o «Pokrzywdzonych».
Czasem Mik pytał: — A cóż, Haniuś, słyszeć z twoją sztuką?
Kiedyż ją grać będą?

Musiałam odpowiedzieć: — Nie wiem.
Wtedy on wpadał w gniew. — Pojadę — mówił — i kości
poprzetrącam. Co oni sobie,
bałwany, myślą? Kpią sobie z nas, czy co?
Lecz wkrótce i on zapominał. I dalej trwały niepewność i
cisza.

Minęły zima i wiosna.
«Mistrza Jana» skończyłam.
Jak ja dobrze ten dzień pamiętam! Ranek cały pracowałam
pilnie, tak, że gdy Mik
na obiad powrócił, zerwałam się od biurka nieubrana jeszcze.

Pierwszy raz mi się to zdarzało i zawstydziłam się bardzo. A
Mik żartował ze
mnie, że wkrótce stanę się tak wielką literatką, że już i
niemyta i nieczesana
chodzić będę. Po obiedzie zaraz wyszedł, bo go matka
wzywała dla jakiegoś
interesu.
Zostałam więc sama i znowu zabrałam się do pracy.
Robota szła raźnie. Nie czułam ciężaru słów, nie czułam
zimna papieru, nie
walczyłam z żadną trudnością. Myśl moja spływała jak
strumień na koniec stalówki
i ta biegła po stronnicy cicho, równo, szybko, sama leciała
naprzód, naprzód.
On umierał. Chwiał się płomień jego życia, wystrzelała
czasem iskra i ciemność
snuła się coraz gęstsza, coraz czarniejsza i duch jego, ten duch
artysty i

geniusza, zegnał świat ten, chwilę się kołysał ponad tą biedną ziemią i leciał w górę, w nieskończone raje... A tu, u jego łoża, płakała ta, którą kochał...

Wezbrały i we mnie łzy, zasłoniły mi papier, padały na świeżo napisane słowa, gęsto, gęsto padały.

A więc to jest życie, to jest świat? Ta biedna, biedna, nieszczęsna ziemia, stworzona przez kogoś, niewiadomo dlaczego, puszczone w wir, w ruch, w taniec wieczny, niewiadomo po co? na co? dla kogo? Więc to jest koniec nas wszystkich.

Grób... grób... Stoi on otwarty, ziejący przed nami. I wpadają do niego wszyscy, źli i dobrzy, mądrzy i głupi. I nie zostaje po nich nic. Więc po cóż cierpieć? Po co kochać, i śnić, i pragnąć, i walczyć o dobro i o piękno?... Ach! po

co?... Wszystko i wszystkich przykryje piasek mogilny. I najdroższe oczy przysłoni wieko trumny, i najdźwięczniejszy śmiech rozprószy się w przestrzeni, i najgorętsze serce przestanie uderzać, i największe ukochanie zagaśnie. A piękno? a dobro? a idea? Stulecia mijają, pokolenia następują po sobie, a każde walczy o jakąś ideę. I któreż ją zdobyło?... Każde głębsze życie kończy się zawodem, na dnie każdej duszy czyha rozpacz...

Nie! w niczem tu niema szczęścia, w niczem zadowolenia. Bo
wszystko mija,
przechodzi, przepływa, jak obłok po niebie. Bo wszystko jest
nieuchwytnie,
niestałe i nikłe i wszystko prowadzi do jedynej prawdy, do
grobu!

Ach, po co żyć... po co żyć?...

O, Mistrzu! Mistrzu! Duchu czysty, piękny! Zejdź do mnie.

Przyjdź raz jeszcze na

tę biedną ziemię, którą niegdyś kochałeś... Nakłoń się ku
mnie, weź mię,

obejmij, przytul i unieś ze sobą!... Ja nie mogę.. ja nie chcę
żyć...

Nie mogę patrzeć wciąż w ten otwarty przedemną grób...

Wolę tam gdzieś wysoko z

tobą lecieć... lecieć... Tam gdzieś daleko... za gwiazdami, za
światem...

spocząć na wieki...

Duchu! weź mię!...

— Haniuś! Cóż to?... Łzy!...

Zerwałam się z krzesła. Mik stał przedemną z przerażoną
twarzą.

Nie zrozumiałam odrazu. Mik? Tu? Co się dzieje?... Więc ja
jeszcze żyję?...

Gdzie ja jestem?

— Co się stało, Haniuś? Masz jaki smutek, co? Rzuciłam mu
się na szyję.

— Nie, nie! To nic, Miku... To tylko tak sobie... tylko tak...

— Ale co? Co ci jest? Musisz mi powiedzieć. Może masz jaką
przykrość?

Przykrość w zestawieniu z tym grobem, który widziałam
przed sobą jak otwartą
paszczę, gotową pożreć mnie i wszystko, co mi drogie!
Przykrość! Tak,
rzeczywiście!

Wydało mi się to tak komiczne, że wybuchnęłam śmiechem.
— Nie, Miku, nie! Żadnej nie mam przykrości oprócz tego, że
jest na świecie
śmierć, ból, zawody, smutki, że wszystko jest takie niepewne,
takie nietrwałe!

że wszystko mija i śladu nie zostawia i że my sami...
rozwiemy się jak dym...

W oczach Mika odbiło się zdumienie. — Ależ to wiadoma
rzecz, że jest śmierć.

Więc cóż stąd?

— Więc... Więc to odbiera ochotę do życia. Pocóż żyć, kiedy
zaraz trzeba
umierać?

— Ja o tem nigdy nie myślę.

Nastała chwila milczenia. Trzymaliśmy się mocno razem,
przytuleni do siebie. I

mnie jakoś bezpieczniej się robiło na duszy. Grób stał otwarty
wciąż, ale w
piersiach drgała fala życia.

Aż Mik poruszył się żywo. Otoczył mnie ramionami i tak
mocno, tak mocno

przycisnął mnie do swej piersi, że oddech mi zaparło i
myślałam, że zemdleję w

tem gwałtownem objęciu. I zaczął mówić:

— Bo ty nie wiesz, Haniuś... ja taki szczęśliwy,

taki szczęśliwy, że już nie wiem, co robić z wielkiego
szczęścia. Mieć taką jak
ty kobietę swoją, swoją zupełnie, bo prawda, Haniuś, że ty
moja? I potem co
było, żyć tak... z tobą... poczciwie, dobrze... To przecie raj,
Haniuś! To raj
na ziemi! I w niebie lepiej być nie może. Zresztą, co mi tam
niebo! Wolę ziemię
z tobą we dwoje. Co? prawda, kochanie? I mów... czy tobie
źle?...

— Ależ nie! nie! Dobrze mi, dobrze z tobą... mój ty...

— A widzisz! Więc nie myśl o tych okropnościach! To, ja
wiem, to tylko taka
literacka fantazyja. Śmierć! Boże drogi! ot, kłopot mi wielki!
Jak o niej nie

myślę, to jej niema. A tymczasem życie doprawdy miłe i
śliczne. No, może nie?

— Ależ tak... ależ tak...

Leżałam w jego objęciu i tak mi dobrze było! Tamto
rozpłynęło się i znikło, a
pozostał on jeden, jedyny, on, najukochańszy!

— Kocham — wyszeptałam, tuląc się jeszcze do niego.

I tej nocy zdało mi się, że miłość moja wzrosła i spotężniała
przez ten tragizm

życia, co mi się objawił, przez tę bliskość śmierci, co nademną
stanęła i

zajrzała mi w oczy. Że wobec nierozwiązalnej zagadki bytu,
tem gwałtowniejsza

stała się żądza moja, tem skwapliwsze usta u brzegu czary. O!
wypić ją do dna,

wychylić kielich, wyczerpać rozkosz! i pić, i pić!... do
upojenia, do

zapamiętania się, do szału!

Hej! użyjmy żywota! Wszak żyjem tylko raz!

«Mistrz Jan» był skończony, poprawiony i przepisany porządnie. I cóż dalej miałam z nim robić? Napisałam do Wiktora pytając i otrzymałam taką odpowiedź, datowaną z Sorrento: "Czyż pani zapomniała, że Czerwony zbiegał i jest jednym z redaktorów «Gazety Krajowej» w Warszawie? Niech pani do niego pojedzie i z nim pogada; pewnie rad będzie to do swojej gazety wziąć, a nie, to ułatwi wydanie. To jedyna rada, na jaką mię stać. Ja dotychczas siedziałem w Zakopanem, hodowałem infanta, sadło łyżką jadłem i zaczynałem tyć. Ale pewnego dnia skonstatowałem, że idyocieję. Więc zabrałem się i ruszyłem w świat. Używam znów kawalerskiej swobody, pławię się w słońcu, tarzam się na łonie natury i piszę czwarte studium o naszych współczesnych. Będzie to, o ile wiem, obrzydliwe peckielstwo. Ale ludziom, że raz im się podobało nazwać mnie geniuszem i gwiazdą i to wyda się doskonałem. At, bydełko boże! Pani jednak, która już pewnie tam zdążyła w nabożeństwo wdepnąć, może dać na mszę za moją świętej pamięci duszę, bo naprawdę już jej niema. Niedźwiedzia namawiałem do Włoch, ale nie chciał, bo: primo kocha się w

Mnichu, a secundo mną pogardza. No, niech pani jedzie do Czerwonego, życzę powodzenia. W.R."

List ten zasmucił mnie ogromnie, bo widocznie pani Wiktorowa okazała się i męzowskim zakochanym oczom tem, czem była w istocie. Lękałam się

o mojego przyjaciela, o jego talent. Cierpiałam za niego. Ale rada była dobra i postanowiłam pójść za nią. Pojechać do Warszawy, dać Czerwonemu rękopis «Mistrza Jana», a przytem popchnąć sprawę «Pokrzywdzonych», o których wciąż było głucho. Bo ostatecznie powiedziałam sobie, jeśli mam iść tą drogą, to muszę się zatroszczyć i pofatygować, muszę trochę łokciami popracować, aby sobie jakie takie miejsce wyrobić w świecie literackim. Widocznie nie dość mieć talent. Konkurs, który jest bezstronny, przyznał nagrodę. A swoją drogą stosunki, znajomości, narzucanie się ludziom, natrętność nawet czasem potrzebne. Bo oto zaledwie odznaczone sztuki już wystawiają w Warszawie, a moi «Pokrzywdzeni», chociaż nagrodzeni, spoczywają w dyrektorskiej szufladzie. Ale tamci autorowie pewnie są na miejscu i sprawy pilnują. A ja, ach, Boże! ja jestem najprzód żoną, najprzód damą z towarzystwa, najprzód panią domu, a potem

dopiero, gdy mi trochę czasu pozostanie, gdy jakaś resztką
myśli ocaleje, wtedy
jestem autorką.

Dość tego. Pojadę, poruszę. Na bok odłożę fałszywą dumę, a
swego dopnę. Wstrętne
jest to wszystko, ale wybić się muszę.

Pojechałam więc, zalokowałam się u Toli i nazajutrz poszłam
do redakcji.

Czerwony przyjął mnie bardzo serdecznie. «Ależ naturalnie!
wszystko się zrobi!»

Niech mi pani da rękopis do przejrzania. Zaraz gdzieś to
umieszczę. Wprawdzie

«Gazeta Krajowa» ma feljeton zapewniony do końca roku, ale

poszukamy gdzieindziej. Zobaczymy, zobaczymy. Proszę o
rękopis.

Zostawiłam mu rękopis i poszłam do dyrektora. Nie było go w
domu. Przyjmował o
czwartej.

O czwartej znowu do jego drzwi dzwoniłam. Byłam bardzo
spokojna i bynajmniej nie
onieśmielona, tylko serce dziwnie mi w piersiach stukało.

Wyszedł do saloniku

krępy człowieczek średniego wieku o zmęczonej i znudzonej
twarzy.

— Jestem Hanna Lubińska — zaczęłam, ale śnać głosu mi
zbrakło, bo dyrektor nie
dosłyszał i znudzone oczy zwrócił na mnie niecierpliwie.

— Kto? — spytał.

— Jestem Hanna Lubińska — powtórzyłam — i to ja
napisałam tych «Pokrzywdzonych»,

których nagrodził konkurs.

— A, to pani! Bardzo mi miło... Zaraz... przepraszam...
Postarał się zrobić przyjemny wyraz twarzy i podsunął mi krzesło.

— Przyszłam, będąc w Warszawie, dowiedzieć się, co pan dyrektor postanowił?

Dyrektor usiadł na fotelu, nogę na nogę założył, odchrząknął i zaczął:

Właściwie, proszę pani, stanowczego nie mogę jeszcze powiedzieć nic. Czytałem

sztukę pani, o, tak! czytałem... Ale, przyznaję, w tym natłoku rzeczy różnych...

Tak jestem zajęty! wyjątkowo, w tym roku, bo to, jak pani wie, reformy różne

przeprowadzamy w teatrze... I bardzo byłem cierpiący... Teraz nawet, chociaż

pracuję, ciągle mi jest

niedobrze, czuję się nadzwyczaj osłabiony, zdenerwowany do najwyższego

stopnia... A pani nie zna Stalskiego? — zapytał nagle.

— Tego, co pisze krytyki w «Kuryerze Północnym»? Nie, nie znam. Dlaczego?

— O, nic! tak sobie... Myślałem... To bardzo zdolny krytyk.

Otóż, proszę pani,

co do jej sztuki, niewątpliwie talent jest, tak, tak, talent jest. I pani

życzyłaby sobie to wystawić tutaj, nieprawdaż?

— Naturalnie, że chciałabym. I zdaje mi się, że sąd konkursowy, nagradzając

«Pokrzywdzonych», dał mi prawo chcieć tego...

— No... zapewne... Tylko że, proszę pani, te konkursy! Ach, dużoby o nich mówić!
Bo to najczęściej sędziami bywają ludzie, którzy o teatrze nie mają wyobrażenia.
Nagradzają sztuki czysto literackie. A teatr, proszę pani, to zupełnie co innego. Na dramaturga trzeba się urodzić. Scena to taka rzecz, że albo się ją odczuwa, albo się jej nie odczuwa i basta! — Odchrząknął, poprawił się w fotelu i mówił dalej. — Ja, proszę pani, już piętnaście lat jak robię w tym interesie, a przez ten czas dużo mi się przez ręce przewinęło autorów i sztuk. Otóż nieraz znajdzie się taki, co za ledwie pisać umie, proszę pani, a nerw to taki ma, że, mówię pani, awantura! Rzecz bierze odrazu, jak byka za rogi. Czytając, ani się domyślasz, że tam coś jest, a na scenie kolosalna rzecz! A ci panowie literaci, to jak zaczną sądzić to z punktu moralności, to z punktu społecznego, to z tendencja, to z idei, nie-

raz arcydzieło przegapią. Naprzykład z Ludwiczem, jakże było!...

Rzeczywiście dłużej i szeroko o Ludwiczu, o Girulskim, o tym i owym. A ja słuchałam cierpliwie, myśląc, że może w końcu wrócimy do mnie. Jakoż po kilku obszernych historyach, zapytał:

— Pani dla sceny nie pisała dotychczas?

— Nie, to moja pierwsza praca.

— Hm, hm...

Wstał, podszedł do biurka i zaczął szukać wśród narzuconych papierów. Szukał długo, przerzucał, przewracał. Wreszcie z głębi przepaścistej szuflady wyciągnął moich «Pokrzywdzonych» i zaczął oglądać.

— Tak, w trzech aktach. Rzec dzieje się na wsi, na głębokiej wsi. Hm... my teraz do sielanek straciliśmy gust... Osoby: Łoński, dwie córki, dwaj zięciowie, graf Linkin, Chwedor, a więc rzecz dzieje się gdzieś na Rusi? Agata, Maryna.

Jakaś szlachecko-ludowa historia... — Zwrócił się do mnie.

— Niech mi pani zechce w paru słowach treść przypomnieć. Bo chociaż czytałem... o tak, czytałem z pewnością, ale pani widzi, co tego u mnie jest... Doprawdy w głowie się mięsza.

Zacząłam po krótkce treść opowiadać. Dyrektor kiwał głową, powtarzał: «Tak, tak», niby sobie przypominał, ale jasnym było jak dzień, że dotychczas nie zaglądał nawet do rękopisu.

Mnie zrobiło się bardzo smutno. Nie dość więc napisać, nie dość zdobyć nagrodę, trzeba jeszcze takiego pana błagać o przeczytanie!

— Tak, tak... pamiętam — rzekł, gdy skończyłam. — Talent pani ma niezapreczenie. Ale, proszę pani, musiałbym to jeszcze dokładniej przestudyować. W każdym razie i tak jest spóźniona pora, premiery zwykle chowamy na jesień. Niech mi więc pani zostawi jeszcze rękopis. Przez lato przestudyuję to, a w jesieni zobaczymy. Na tem się skończyło. «W jesieni zobaczymy» co do «Pokrzywdzonych». «W jesieni zobaczymy» co do «Mistrza Jana».

Powróciłam z Warszawy zła, rozżalona, nierada ze świata i z siebie. Moja literacka przyszłość wydawała mi się zachwianą i tak niepewną! «Pocóż mię nagradzali, jeśli potem i przeczytać nie chcą»? myślałam. I postanawiałam nie tknąć pióra, aż mi sztukę wystawią.

I rozpoczęło się dla mnie złe życie. Po jednej stronie był mąż, dom, sprawy bieżące. Po drugiej byłam ja, moje nadzieje, aspiracje i niepokoje, moja wymarzona przyszłość, moje wymarzone tryumfy. I przyznaję, chociaż męża całym sercem kochałam, dusza moja z nim nie była. Nie mogłam... nie mogłam odwrócić oczu od tych blasków, co przedemną zamigotały, nie mogłam woli mej od nich oderwać. Myśl moja co chwila, co sekunda leciała naprzód w wyczekiwaniu i trwodze. I tylko pół uwagi zwracałam na słowa Mika i na jego osobę.

On, niewiem, czy to zbyt odczuwał. Mówił mi jednak czasem, gdy wśród jego opowiadań lub zwierzeń, zaczynałam myśleć o czym innym:

— Ależ, Haniu, ty mnie nie słuchasz...

— Owszem, Miku, owszem, słucham, słucham! Mów!

— Kiedy ja widzę w twoich oczach...

— Nie, zdaje ci się...

Całą siłą woli zwracałam myśli ku niemu. Lecz tylko na chwilę, na małą chwilę!

Lato nam zeszło niezłe jeszcze. Obliczywszy fundusze, wyjechaliśmy na sześć tygodni do Szwajcaryi i tam, wobec tych potężnych widoków, własna osoba musiała zejść na plan drugi.

Ta podróż była jednym szeregiem najpiękniejszych wrażeń, zachwytów, podziwów, zdrowej radości, miłych utrudzeń, młodzieńczych wybuchów śmiechu, zlania się z cudowną naturą, oderwania od wszystkiego, co złe, ciężkie, głupie, szablonowe. Na tle zielonych jezior i gór, błyszczących od śniegu, na tych wysokościach, gdzie płuca oddychają szeroko, w tej zimnej i czystej przestrzeni, dokąd nie sięga zło i brud, chwilowo odpadła odemnie wszelka troska i nędza żywota, wszelka ambicja ludzka wydała się marnością. Tak! czyż te góry, co wyrosły przed tysiącami wieków i tkwiły niewzruszenie na błękitnym horyzoncie, czyż te potoki, co z nich

od stuleci spadały z jednakim szumem i leciały po skalistym
dnie naprzód i
naprzód, czyż te jeziora, co się położyły u ich stóp i leżały
ciche, zadumane,
czy nas nie uczyły pokory i zrezygnowania? Czy nie mówiły
nam: prochem jesteś i
w proch się obrócisz, po cóż podnosisz hardą głowę? Nie
pragnij, nie frasuj się,
nie wydzieraj

się naprzód. Żyj, pracuj, kochaj, podziwiał, spełniaj swój
obowiązek pracowitej
mrówki, ale nie chciej być czymś, gdyż niczem jesteś, niczem!
i w nic się
obrócisz lada chwila. Uspokój swoje serce, nie buntuj się, nie
wyrrywaj, nie
wyciągaj dłoni po nieziszczalne dobra, a pij radość życia i
ciesz się chwilą
obecną. Teraźniejszość jedynie jest twoją, po cóż się o jutro
frasujesz?
Ale już wracając obstały mi dawne troski.
Gdy się powóz przed naszą bramą zatrzymał, wyskoczyłam
pierwsza, wpadłam do
mieszkania i pobiegłam wprost do biurka, na którym się
piętrzyły
nierozpieczętowane listy.
Ujrzałam pismo Czerwonego. «Nowo powstająca od Nowego
Roku «Gazeta Rodzinna»,
pisał, chce nabyć «Mistrza Jana» za rs. Strasznie to mało, ale
gdy im to

mówię, odpowiadają, że za damską powieść trudno więcej
płacić. Czy pani się
zgadza? Drukowałiby od -go stycznia.
Naturalnie, że się zgodziłam i byłam nawet rada.
Napróżno szukałam listu od dyrektora teatru. Nie było nic a
nic. Mój Boże!
myślałam, czy to wszystkich początkujących autorów w ten
sposób traktują?
Wszakże to już rok wkrótce będzie, jak otrzymałam
konkursową nagrodę, a odtąd
nawet nikt przeczytać nie chce moich «Pokrzywdzonych». Co
to jest? Może naprawdę
tak niewiele warte, że przykro im to mi powiedzieć.
I znowu ogarnął mię niepokój.
I znowu rozpoczęło się to życie połowiczne, ciałem tu, a duszą
gdzieś daleko,
ten stan drażniący

i nienaturalny. Znowu zaczęły się fałszywe słowa, udane
uśmiechy, wtlaczanie
duszy w formy przepisane, mówienie przez godziny całe o
rzeczach nic a nic nie
obchodzących, przeżuwanie banalności, dorabianie tego,
czego się w sobie nie
miało.

A przytem ten szalony głód duszy! To pragnienie
niewymowne, ta tęsknota do
innego, do bardziej swojego świata! Były chwile, w których za
jedną godzinę
rozmowy przyjacielskiej i szczerzej oddałabym pół życia! Ach,
czuć się

zrozumianą! Ach, poczuć równą sobie bratnią duszę!
Coraz częściej wspominałam Wiktora i przyjaźń jego. Bo z
nim jednym tylko byłam
szczerą i wylaną do dna. On jeden przeczuł tę moją tęsknotę
do serca blizkiego,
on jeden zrozumiał tę moją nieśmiałość czy dumę, co mi przed
ludźmi zamykała
usta, on jeden się nie zraził, zajął się mną i miał cierpliwość
dotrzeć do
gruntu. I dziwne to było, bośmy się nigdy nie kochali tak, jak
mężczyzna i
kobieta kochać się zwykli, nigdy słówko czulsze między nami
nie zawitało. A
jednak... o, jakże nieskończenie więcej dałam mu z siebie, niż
Mikowi, temu
ubóstwianemu memu Mikowi, który był dla mnie początkiem
i końcem wszechświata.
O! jakie niezbadane i dziwne są ludzkie dusze! Mika
kochałam, ale nie kochałam
się w nim. Kochałam go dla niego, ale nie był on nigdy
potrzebą mojej duszy.
Poświęciłabym wszystko i tego przecie dowiodłam, aby mu
dać szczęście. A jednak,
to co było we mnie najcenniejszego, nie należało do niego

nigdy, prawdziwe moje ja pozostało mu zawsze obceni.
W połowie grudnia zniecierpliwiałam się ostatecznie i
postanowiłam znowu pojechać
do Warszawy i czegoś pewnego się dowiedzieć o
«Pokrzywdzonych». Tym razem

oznajmiłam naprzód przybycie swe dyrektorowi, prosząc, aby się przygotował do

dania mi stanowczej odpowiedzi.

Różne przeszkody zatrzymały mię jeszcze przez święta, tak, że tymczasem «Mistrza

Jana» zaczęto drukować w «Gazecie Domowej» i w

Warszawie spotkałam się odrazu z

wielkim nad moją powieścią zachwytem.

— Nie masz pojęcia — mówiła mi Tola — jak to się ludziom podoba! Od każdego

słyszę pochwały, zainteresowanie ogromne! Ale bo

rzeczywiście, jak ty ślicznie

rozpoczynasz! Ta pracownia wilgotna, zarzucona gliną,

zimna, ponura. To się

czuje odrazu cały tragizm tego życia artysty...

— Biedny Janek! Tak mi się zdaje, że on się wcielił w jakieś żywe ciało i że do

nas powrócił. ! czujesz?... On tu jest z nami...

— Ach, Hanno! zawsześ taka sama. Romantyczka! Janek o tyle żyje, o ile twoja

powieść da go ludziom poznać. Zresztą to jest już proch i popiół.

— Ach, Tolo! Jakie to wszystko smutne!

— A no, tak. Niewesoła ta nasza planeta. Ale wiesz, jest pociecha, a tą jest

walka. Walka o cokolwiekby. Byle czegoś chcieć, czegoś się dobijać!

Ja na przykład mam doprawdy życie wypełnione. Pracuję, jak wiesz, nad

rozbudzeniem kobiet. Założyłyśmy kółko, teraz będziemy miały swoje pismo. I słowo ci daję, nie mam czasu myśleć o śmierci. Tu Tola wpadła na swój ulubiony temat krzywd niewieścich, mówiła i mówiła. Parskała jadem na ród męski, rzucała się na niesprawiedliwość i okrucieństwo świata, na egoizm, którego kobiety są ofiarami, na ich straszne położenie moralne, materyalne, ekonomiczne, prawne, na małżeństwo, na macierzyństwo, na poniżenie zawsze i wszędzie.

— Nie, Tolo! — zaczęłam nareszcie — zdaje mi się, że przesadzasz. Są pola, na których kobieta jest równą mężczyźnie, jeśli ma równe dane.

Naprzykład literatura, sztuka...

— Literatura! O, widzę, żeś ty jeszcze całkiem niewinna owieczka!

— Ale, przecie... moich «Pokrzywdzonych» nagrodzili na równi z innymi...

— Wielka rzecz! Czyż oni na konkursie wiedzą, kto pisze? Bądź pewna, gdyby wiedzieli, że to «babska» rzecz, możeby i nie przeczytali. A w każdym razie takby potrafili to ośmieszyć, zbanalizować, że niktby nie mógł tego wziąć na seryo.

— E, nie wierzę...

— Nie wierzysz? A wiesz, że Stalski, który ma od nich więcej wężu i czytając czuł, że «Pokrzywdzonych» pisała kobieta, sam mi mówił, że był wściekły, gdy

większością głosów to nagrodzono. Bo, powiada, niech się raz niewiasty dorwą do

sceny, to będzie to samo, co w powieści: potop miernoty, wody z cukrem,

głupoty... Tak, głupoty! O! on się nie żenuje.

— Mogę więc przypuszczać, że tutejszy teatr «Pokrzywdzonych» nie przyjmie?

— Prawdopodobnie. A takiego Ronicza «Jak Piorun», którego sąd konkursowy odrzucił nawet bez wspólnego czytania, wiem o tem na pewno, wystawiają tu,

reklamują, chwala, i ten sam Stalski pisze o nim artykuły wcale umiarkowane,

nawet pochlebne. Tymczasem sztuka marna, wprost głupia, nędzota, ot, taka sobie

robótka zfastrygowana na prędcie. Ale on jest po pierwsze mężczyzną, powtóre

hrabią, po trzecie przyjaźni się ze wszystkimi literatami, po czwarte ma romans

z Jaczyńską, a po piąte łązi i zanudza tak dalece, że odczepnego robią wszystko,

co chce. Wprawdzie sztuka zrobiła klape, publiczność odrazu wyśmiała. Ale on na

swojem postawił.

Zamyśliłam się smętnie. A Tola po chwili mówiła dalej: — I sama na sobie masz

dowód, jak kobiety traktują. Wszakże ten twój dyrektor prawie od roku trzyma ci

sztukę i niewiadomo nawet, czy ją dotychczas przeczytał.

— Teraz chyba, że przeczytał. Jutro się dowiem.

— A na listy nie odpowiada, lekceważy najoczywiściej. Czy myślisz, że tak samo postąpiłby z mężczyzną? «Może Tola ma rację», myślałam, idąc nazajutrz o naznaczonej godzinie do mieszkania dyrektora. «Oni naprawdę nie są bardzo radzi, że ko-

biety z nimi zaczynają się równać. Może sami sobie nie zdają z tego sprawy, ale tak jest. A jednak... gdyby był wielki, wybitny talent i rzecz doskonała, toby przecie nie mieli sumienia... Toby się im narzuciło... Prawdziwy talent zawsze się wybije. Może ja się tylko łudzę, że talent mam? O, gdyby wiedzieć! Dyrektor przyjął mnie bardzo grzecznie, odrazu wydało mi się, że zanadto. Zapalił świece na biurku, zbliżył dla mnie fotel, zasiadł sam i, rozkładając przed sobą rękopis «Pokrzywdzonych», rzekł, robiąc ogromnie sentymentalne oczy: — Niestety, proszę pani! To się do teatru nie nadaje. Potem mówił mi obszernie o wadach mojej sztuki. W stylu wyszukanym rozbierał po kolei każdy akt, każdą prawie scenę, robił zarzuty, co do treści, co do formy, co do sceniczności, co do psychologii i t.d. i t.d. bez końca. Ostatecznie, nie znalazłszy w całej rzeczy nic godnego uznania, zakończył uprzejmie: — Że pani ma

talent, o! bardzo ładny, wybitny talent, o tem wątpić nie można. Ale czy sceniczny? Tegobym dziś jeszcze twierdzić się nie ośmielił. Zresztą — dodał po namyśle — wyznam szczerze, mało spotkałem kobiet, któreby scenę umiały czuć. Bo to, proszę pani, jest całkiem oddzielna zdolność, coś, jakby szósty zmysł. Zaśmiał się. Rozmowa była skończona. Wstałam z bardzo dobrą miną i zaczęłam się żegnać. Odprowadził mnie uprzejmie do przedpokoju i dodał jeszcze, otwierając mi drzwi:

— Wszakże nie zarzekam się, iż panią ujrzymy jeszcze kiedyś na tutejszej scenie. Wróciłam do Toli, niosąc «Pokrzywdzonych» w mufce i rozmyślając nad tem, że właśnie upływają dwa lata od czasu wysłania ich na konkurs. Dwa lata! I cóż przez ten czas działo się z niemi? Oto leżeli w tece konkursowej, potem leżeli w szufladzie dyrektorskiej, a teraz chyba legną w mojem biurku. Bo co mam z niemi dalej robić? Widać, że to nie ma żadnej wartości... Ale w takim razie, dlaczego otrzymałam nagrodę? U Toli zastałam Czerwonego, który, dowiedziawszy się, że jestem w Warszawie, przyszedł mi powinszować sukcesów «Mistrza Jana». Ale widząc minę wcale

niewesołą, stropił się i pozostał z rozpoczęciem zdaniem w otwartych ustach.

— Co ci jest? — spytała Tola.

— A no, nic. To, coś przepowiadała. Dyrektor nie bierze «Pokrzywdzonych».

— A co! mówiłam! Ale dlaczego?

— Ach, Boże! tłumaczył mi to bardzo długo. Ale doprawdy nie rozumiałam.

Naturalnie powiada, że niesceniczne, że niepsychologiczne, że niemoralne, że niecenzuralne.

— A pani nie wie, co Stalski o nich powiedział?

— Stalski? nie, nie wiem. Ależ na miły Bóg! Kimże jest ten Stalski? Wszyscy

ciągle mówią o Stalskim i dyrektor o niego pytał...

— Stalski, on tu jest wszystkim, w teatrze

przynajmniej. Bez niego nic się nie dzieje. Dyrektor nigdyby się nie ośmielił

przeciwko jego radom postąpić. A on nie cierpi kobiecych talentów.

— I pewnie odradził dyrektorowi wystawienia

«Pokrzywdzonych» — rzekła Tola. — Ja

go znam. To nasz największy nieprzyjaciel.

— Ależ to wstętne! — zawołałam. I gniew mną zatrzęsł.

Czułam opasującą mnie

obręcz, ścieśniającą mnie, zabójczą. Czułam, że jest gdzieś droga, że jest

środek wybicia się na wierzch, wypłynięcie z tej toni. Ale gdzie ta droga?

Siedzieliśmy w milczeniu. Aż wkońcu Tola spytała:

— I co robić dalej?

— Albo ja wiem! — mruknełam. — Wrzucić całą paczkę do ognia.

Czerwony spokojnie mi wyjął z rąk rękopis. — Proszę mi to dać — rzekł — bo

jeszcze doprawdy zrobi pani jakie głupstwo. A tymczasem ja nad pewną kombinacją

rozmyślałam. Proszę poczekać, zaraz powiem.

Znowu nastąpiła cisza. Aż Czerwony wstał, przeszedł się po pokoju i zaczął mówić:

— Jest w Działowej teatr wcale dobry. Doprawdy, po tutejszym najlepszy w kraju.

Artystów znam kilku, prawdziwe talenty! Dyrektorem jest Gaszewicz. A gdyby się

tam udać, co? Widziałem go dzisiaj w Warszawie. Przyjęcia można być pewnym,

tembardziej, że Stalski sztukę odrzucił. Bo to trzeba wiedzieć, że Gaszewicz ze

Stalskim gryzą się jak pies z kotem. Możeby spróbować?

Nastąpiły długie debaty, a rezultat był ten, żeśmy wsiedli z Czerwonym do

doróżki i pojechali szukać Gaszewicza. Po kilku kursach złapaliśmy go nareszcie

wychodzącego z jakiejś redakcji. Czerwony go przytrzymał i prosił o chwilę

rozmowy. Zasedliśmy więc w kącie jednego z pokojów redakcyjnych pod światłem

syczącego płomienia gazowego i Czerwony zaczął:

— Oto właśnie... pani jest autorką dramatu «Pokrzywdzeni», nagrodzonego na dramatycznym konkursie...

— Wiem, wiem! — Gaszewicz porwał się z krzesła i ponownie mi rękę uściskał.

— I chciałaby to gdzieś wystawić — mówił dalej Czerwony.

— Tu starania zawiodły.

Trzymano rękopis przez rok cały i zwrócono z odmową.

(Gaszewicz zrobił ku mnie

ruch współczucia i zadziwienia). Zdaje mi się — tu Czerwony zniżył głos

konfidencyjnie — że to za sprawą Stalskiego, który już i podczas rozpraw

konkursowych głosował przeciw «Pokrzywdzonym».

— Dlaczego? — zawołał żałośnie Gaszewicz, patrząc na mnie.

— Nie wiem, proszę pana — odpowiedziałam z miną niewinnie uciśnionej ofiary.

— I naturalnie — mówił dalej Czerwony — tutejszy dyrektor nie odważył się

przeciw zdaniu Stalskiego postąpić. Skrytykował sztukę. Więc przyszło nam na

myśl do pana się udać. Możeby w Działowej?...

— Ależ naturalnie! Proszę pani, to, co państwo

mi powiedzieli, wystarczy mi najzupełniej. Biorę, nie czytając nawet.

— Nie! Lepiej niech pan przeczyta. Może to naprawdę marne

— rzekłam, zdumiona

tym zapalem po tamtej obojętności.

— A ma pani rękopis?

— Tu nie. Lecz mogę zaraz panu przysłać.
— Więc dobrze. Jutro rano wyjeżdżam do Działowej. Przez drogę przeczytam i wieczorem, a najdalej pojutrze otrzyma pani stanowczą odpowiedź. Bo ja, droga pani, lubię młode talenty — uśmiechnął się serdecznie — chodzi mi o ich rozkwit, o danie im warunków do życia. Ja z tutejszymi ludźmi nie mogę się pogodzić. Oni tu jak żydzi się trzymają. Protegują tylko swoich. I wie pani, prawdziwie nieraz największy talent zabijają, wprost zabijają, tak umieją zniechęcić, dokuczyć, znużyć, ośmieszyć nawet. To bolesne, to bardzo bolesne... Pożegnaliśmy się i Czerwony odwiózł mię jeszcze do domu. Był w świetnym humorze i śmiał się z tych wszystkich intryg. Ja byłam przerażona. Na drugi dzień otrzymałam list od Gaszewicza, donoszący, że «Pokrzywdzonych» z zachwytem przyjmuje i że będą wystawieni najdalej w marcu. Wróciłam więc do X. Dziwnym jest temperament artysty. Dość mi było kilku słów zachwyty Gaszewicza, dość nadziei, że moi «Pokrzywdzeni» wystawionymi zostaną, aby już poczuć się podnieconą i pełną zapału.

W wagonie, ukołysana ruchem pociągu, mirażem migających przez okno widoków, wyobraźnia moja zaczęła coś snuć i snuć. W ciszę odosobnionego przedziału rój

postaci wtargnął, znowu otoczył mię krąg wizyi, majaków,
widm... I gdym wysiadła
w X., miałam w głowie gotowy szkic dramatu. Było to
«Wezwanie», które nigdy nie
miało ujrzeć dziennego światła. Dotychczas arkusze
zagryzmołone leżą w jednej z
szuflad mojego biurka.

Zaraz nazajutrz gwałtownie zabrałam się do pisania. «Trzeba
mieć dość
charakteru, aby nie dać sobie przerywać, nie uwzględniać
żadnych cudzych
interesów, próśb i zachcianek. Zamknąć się i pisać będę. Dla
Mika nie jestem
obowiązana aż do tego stopnia się poświęcać. Gwizdzę na ten
jego świat! Ma
ochotę, to niech bywa sobie sam, nie przeszkadzam, ale
towarzyszyć nie będę.

Małżeństwo nie jest przecież zaparciem się własnej istoty i
najszlachetniejszych
jej potrzeb».

Mik był z początku bardzo nierad, gdy odmówiłam kilku
pierwszem zaproszeniom.

Musiałam znieść parę scen przykrych. Wreszcie powiedziałam
mu stanowczo:

— Miku, nie nalegaj. Nie mogę! Daj mi pokój z tym swoim
światem przez trzy,
najwyżej cztery miesiące, potem, gdy skończę swoją robotę,
wrócę do niego.

— To już będzie na wiosnę, gdy nikogo nie będzie...

— A chociażby! Dziura w niebie się nie zrobi od tego, że
jeden karnawał
spokojnie przesiedzę.

A zresztą, pamiętasz? obiecywałeś, że będę swobodną.
Mik zagryzł wąsy i nie odrzekł już nic. Zły był, ale uległ i nie
namawiał mnie
więcej. Po jakimś czasie pogodził się zupełnie z moimi
«kaprysami», sam wpadł
w światowy prąd. A ja miałam samotność i spokój.
Ach! jakże głupią byłam! ślepą, głuchą i głupią!...
Tak minęła zima, minął marzec, kwiecień i połowa maja.
Znowu o «Pokrzywdzonych»
było głucho, na moje listy nie otrzymywałam żadnej
odpowiedzi. Z gazet
wiedziałam, iż w Działowej bawi na gościnnych występach
sławna śpiewaczka
operetkowa, Morska, i że w tak mało zazwyczaj uczęszczające
do teatru miście
robi furorę. Wiedziałam również, że sezon się kończy -go
czerwca. Byłam więc
niespokojna o swoje losy.
Aż naraz, dnia -go maja, otrzymałam depezę:
«Premiera «Pokrzywdzeni» we czwartek. Gaszewicz».
Wyjechałam tegoż dnia wieczorem.

Nigdy nie mogę myśleć o chwili tej bez wzruszenia.
Siedzę w przyciemnionej łoży, zasłonięta od publiczności
zielonym parawanikiem.
Na kolanach moich spoczywa afisz. Jestem ogromnie
spokojna, chociaż przy mnie
Tola i Czerwony irytują się, że za mało publiczności,
wyrzekają na Gaszewicza,
że wybrał złą porę, złorzeczą Działowej, że nikt się

w niej nie zna na sztuce. Mik zaś, który przed godziną dopiero
na moje wielkie
prośby przyjechał, ma minę pogrzebową i jest czegoś
wściekły. Wogóle oni biorą
na siebie wszelkie emocje i frasunki, wszelką treść należną
premierze. Ja milczę
i jestem nieczuła na świat cały. Nic a nic mię w tej chwili nie
obchodzi
powodzenie, żadnej nie mam obawy, żadnej tremy.
Jestem tutaj ciałem jedynie. To tylko zwłoki moje spoczywają
na krześle
przyćmionej łoży, bezmyślne, obojętne, zimne zwłoki. Mnie
tu niema. I nawet nie
wiem, gdzie jest moje ja, bo nic nie myślę, nic nie chcę, nic
nie czuję... nie
żyję...
Naraz, dzwonięcie, muzyka milknie, podnosi się kurtyna...
Ach! otóż jestem!
Ci ludzie, co stamtąd mówią, to jest dusza moja. Ich myśli, ich
czyny, to jest
siła moja. Ich cierpienia, ich radości, to jest moja wola.
Oto jestem ja — Stwórca i Pan.
Rzekłam: «Uczyńmy człowieka na obraz i podobieństwo
nasze» i oto są! Oni, moi
ludzie. Oto żyją, cierpią, kochają, pragną, marzą, walczą. Oto
są, żywi ludzie z
kości i krwi mojej serdecznej. Widzę ich własnymi oczami,
słyszę ich głosy,
rękami dotknąć mogę.

To nie blade kartki książki, z których własną wyobraźnię
budować trzeba, idealne
i zawsze tylko w wyobraźni naszej pozostające postacie. Tu
jest rzeczywistość.

Życie wlane w moją myśl, prometejską moją mocą ogień z
nieba porwany i pło-

nący w tych moich tworach. Bo stworzyłam je z niczego, jak
Bóg! jak Bóg!

Są. Istnieją. I już żadna moc zniszczyć ich nie zdoła, w nicość
zepchnąć. Żadna

moc nie odbierze im tego tchnienia żywota, które im tchnęłam
ja. Bo tu jestem

ja, mój wszechmocny duch!

Szczyście rozpiera mi pierś. Rosnę, rosnę... wyrastam ponad
tłumy, wznoszę się

pod obłoki... ogarniam świat cały, przeszłość i przyszłość
płyną po niebiosach,

wysoko, wysoko! I kocham...

«Pokrzywdzeni» nie mieli powodzenia. Wystawieni pod sam
koniec sezonu, w szeregu

kilku premier, a po wyczerpujących kieszenie występach
Morskiej, w środowisku

tak obojętnem dla sztuki jak Działowa, nie ściągnęli
liczniejszej publiczności i

nie wzbudzili zainteresowania. Mało na nich zwrócono uwagi.

Dwie miejscowe

gazety z urzędu ogłosiły krytyki, których nikt
prawdopodobnie nie czytał. I tak

się jakoś dziwnie trafiło, że ten redaktor, któremu złożyłam wizytę, bardzo moją sztukę chwalił, a ten, u którego nie byłam, zbeształ mnie i zerznął kompletnie.

Mnie krytyki te rozśmieszyły tylko. Bo i jak tu się nie śmiać, gdy jednego dnia

o tej samej rzeczy czyta się takie dwa zdania:

.«Premierę wczorajszą bezwarunkowo uznać należy za utwór rzadkiej wartości, tak

pod względem literackim jako też i scenicznym. Akt drugi, to nieomal szmat życia

żywcem przeniesiony na scenę, a taka postać jak Łoński, tryskająca tem-

peramentem, prawdą i szlachetnością, wybornie podpatrzona i bardzo dobrze ujęta,

zaszczyt przynosi autorce. Wogóle byłoby do życzenia, aby «Pokrzywdzeni» dla

dobra naszej sceny jak najdłużej się na niej utrzymali".

. "Ani treść dramatu, pospolita, ograna, ani szereg figur maryonetkowych,

szablonowych do ostatniej, nie nadają się do sklecenia utworu jednoaktowego, tem

więcej, sztuki spektaklowej. «Pokrzywdzeni» nadają się raczej do przeróbki

powieściowej dla «panienek dorastających» (!!!). W tej formie przedstawiony

utwór powyższy, o ile się zdaje, zyskałby gorętsze poparcie wyrozumiałych

czytelniczek, niż wymagających słuchaczy wczorajszych".

Moja niańka świętej pamięci mawiała w takich razach:

«Zgadnij Jezu, kto cię
bije?»

Wróciłam do domu trochę zniechęcona. Czułam, chociaż na to burzyło się we mnie wszystko, że bez protekcji i reklamy i największy talent nie wybija się na wierzch. Żeby moja sztuka była nawet arcydziełem (którem nie była, nikt o tem lepiej odemnie nie wiedział), to i tak potrzebowałyby najprzód, aby ludzie na nią poszli, a na to potrzebną była reklama. Potrzebowałyby też innego tła, innego nastroju, niż ten, na który się mogła zdobyć Działowa. W tem mieście, zajętem jedynie handlem, obojętnem i zepsutem, w którym ja, ani nazwisko moje nikomu nie było znanem, skądby mogło się wziąć dość zainteresowania dla jednej z licznych premier, których cały szereg, jakby na

zbyciu, był spychany z afiszów? A krytyka! No, wiedziałam już, co myśleć o krytyce.

Czy wobec tego warto było mozolić się dalej nad

«Wezwaniem»?

Nie! pomimo wszystko, nie mogłam dać za wygraną. Dziwną jest dobrawdy siła pierwszego rzutu, którem nas przeznaczenie, czy los, czy opatrzność ciska w

przestrzeń! Siła to tak potężna, że już żadna inna sparaliżować jej nie zdoła.

Siła tak żywotna, że nic jej zabić nie może.

«Próbujmy dalej», myślałam. «Wszystko przełamie, wszystko zwycięzę, a stanąć muszę u szczytu».

«Mistrza Jana» skończono drukować na wiosnę. Prawie jednocześnie wyszedł on i w książce.

Tola i Czerwony napisali do mnie listy buchające zachwytem.

Wiktor, Niedźwiedź i

paru jeszcze dawnych kolegów odezwali się także, winszując i życząc, abym tak

szła dalej i dalej. Otrzymałam kilka bezimiennych listów pełnych gorącego

uznania, dziękowali, chwalili i wynosili powieść moją pod niebiosą.

— Pani! — mówiła mi jedna młoda kobietka — w życiu mojem nic piękniejszego nie

czytałam! Płakaliśmy w całym domu. Mój mąż siedział nad tem do białego dnia, nie

mógł się oderwać.

— Wiem, że pani nie lubi, gdy o jej utworach mówię, ale muszę to pani

wypowiedzieć, bo nie wytrzymam — rzekł mi raz doktor Wiśniewski, wielki mój

przyjaciel — od bardzo dawna nie spotkałem nic tak poetycznego, tak głęboko

odczu-

tęgo. Dziękuję pani za te chwile podniosłe, które miałem, czytając pani książkę.

— Jak pani pysznie przedstawia to studenckie życie! — zawołała młodziutka

panieczka. — Doprawdy ma się ochotę porzucić wszystko i tam iść...

— Pani czytała «Mistrza»? Mama pozwoliła?

— O! ja się nie pytałam nawet! Jakże nie przeczytać? Teraz tylko o tem mówią...

— Bo... jedno, co muszę powiedzieć... — wtrąciła jedna starsza dama — pani się

nie obrazi? nie? Muszę powiedzieć, że wolałabym tam widzieć... mniej scen...

scen realistycznych... I po co to, kochana pani, takie rzeczy poruszać?

— Przytem i to milieu! No, tak, bardzo dobrze oddane jest to milieu, ale,

wyznaję, takie dla nas obce... zupełnie obce...

— Ta cyganerya! Przyznam się, że dla kobiet porządnych... Takichże wrażeń doznawała i cała rodzina Mika. Przeczytali naturalnie wszyscy

oprócz Marysieńki. I zamilkli. Sami nie wiedzieli, co o tem sądzić. Czekali, co

powiedzą inni. Ale inni tak rozmaicie mówili, jedni wysławiając rzecz pod

niebiosa, drudzy kręcąc głowami, że Żarszczyzna stanęła jak wryta i milczała.

Zawsze to bezpieczniej.

Aż ojciec Tomasz wziął, przeczytał i rzekł: «Secesya».

A wtedy rzuciło się wszystko. «Secesya, dekadentyzm, modernizm, rozwichrzenie,

zepsucie, niemoralność, przybyszewszczyzna, skażenie obyczaj-

jów, skażenie języka, zaparcie się tradycji, nieuszanowanie świętości i t.d.»

Matka Mika wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do zacisznego pokoju.

— Kochana Hanno — zaczęła — chciałabym, abyś się wytłómaczyła, dokąd myślisz zejść na takiej drodze?

— Na jakiej, moja mamó?

— Nie udawaj, że mię nie rozumiesz. Wszakże twoja powieść, przyznaję, że ślicznie napisana, ale to tem gorzej, twoja powieść jest niemoralną!

— W czym, moja mamó?

— Jaktó, w czym! Przedstawiasz tam stosunek dwojga ludzi... stosunek nielegalny... nieprawidłowy... taki, co się nazywa wolną miłością...

— Tak. Więc co?

— Jaktó, co! Więc w tem jest właśnie niemoralność.

— Nie rozumiem, moja mamó. Czy niemoralność ma być w tym stosunku, czy w jego przedstawianiu?

— W stosunku cela ra sans dire. Ale już, jeśli są takie złe rzeczy na świecie, to po cóż o nich pisać?

Uśmiechnęłam się. — O, przepraszam! Skoro tylko coś na świecie istnieje lub istnieć może, to powieściopisarz ma do tego prawo. A tym razem tak się trafiło,

że rzecz jest całkiem z życia wzięta. Znałam dawniej młodego rzeźbiarza,
nadzwyczaj utalentowanego, i on żył z jedną dziewczyną, ona,
zdaje się, była
modniarką, czy kwiaciarką, nie wiem.

Bardzo poczciwa dziewczyna i ogromnie się kochali. Byli w wielkiej biedzie.

Potem on zachorował i umarł...

I w chwili, gdy to mówiłam, on, Janek, stanął jak żywy przedemną. Zapatrzyłam

się w niego i ledwie, że słyszałam wykrzykniki matki:

— Więc z takimi się wdawałaś... ach, Hanno! I po chwili mówiłam dalej:

— To i wszystko. I ja też nic więcej nie opisałam.

— Ależ, moja Hanno! Dość zdaje się i tego! A przytem ten sposób pisania, to

wprowadzanie do takiej sfery... jakiejś... te wyrażenia...

— Wyrażenia! No, studenci nie mówią tak, jak hrabiny po kanapach. Raz ich się

opisuje, trzeba mówić tak jak oni.

— Więc pocóż ich opisywać?

Na to nie znalazłam odpowiedzi. I chwilę siedziałyśmy w milczeniu. Stanowczo

pochodziłyśmy każda z innej planety.

— I jeszcze jedno... — zaczęła znowu matka — Wszakże ten twój rzeźbiarz

chrześcijaninem jest, katolikiem, prawda? Choruje tak długo, ma przy sobie

przyjaciół, czemuż nikt nie myśli przez cały czas o sprowadzeniu mu kapłana, o

doprowadzeniu go do spowiedzi?

I na to również nie znalazłam odpowiedzi.

Matka, widząc, że jej argumenty mnie dobiły, długo jeszcze mówiła o

niemoralności w literaturze, a zakończyła bolesnym westchnieniem:

— I wiesz, że musiałam czytania twojej książki... Marysieńce zabronić.

«No, dajmy, że nad tem nie będę płakała!» myślałam, wstając z kanapki. Wstałam

jednak dziwnie zgnębiona i miałam przez cały dzień takie uczucie, jak żeby mię

oplątały nitki pajęczce, oślizgłe, szare. Nie związały mi rąk i nóg, nie! Tylko

się oblepiły wokoło mnie i za każdym ruchem czułam je na sobie i aby się

poruszać, musiałam się z nich otrząsać i ciągle je czuć na sobie, uczepione,

pełzające. Brrr...

«Czyż podobna na takie zdania zwracać uwagę? myślałam.

Zobaczmy, co prawdziwi

krytycy powiedzą!»

Ale prawdziwi krytycy nie spieszyli z wyrażeniem swych poglądów. Głucho było o

«Mistrzu Janie» po gazetach. Wakacye nadchodziły, wszelką pracę zawieszano na

kołku, myśl odpoczywała.

O mnie zapomniano.

A i myśli moje, od osobistych i literackich niepokojów,
musiały się odwrócić ku
bardziej realnej a ciężkiej trosce.
Była to troska, co nawiedzała mię i dawniej, którą odpędzałam
od siebie, aż
teraz, jak zmora, stanęła nademną.
Troska o Mika.
Mik zbaczał z dobrej drogi. Przez pierwszy rok naszego
pożycia, zajęty nową swą
miłością, nową pozycją i obowiązkami, zerwał z
dawniejszemi stosunkami,
pracował, siedział w domu, na-

wet próbował czytać, próbował się zająć społecznymi
sprawami, w każdym razie
wiódł życie zupełnie wzorowe. Nagle coś się zepsuło. Musiało
to się stać podczas
przeszłej zimy, gdy ja frasowałam się o «Pokrzywdzonych»,
pracowałam nad
«Wezwaniem» i tak tem była pochłonięta, że nie umiałam
wydobyć z siebie takiej
dozy pieczołowitości, jaka była dla niego potrzebna.
Zapatrzona i zasłuchana w
swój świat własny, nie umiałam jednocześnie baczyć i na
niego. I wtedy to się
stać musiało.
Zresztą po tym pierwszym roku tak byłam jego pewna! Ani mi
się nawet śniło
podejrywać go, albo o nim wątpić. Powtarzałam sobie, że
krępować go nie

powinnam; że sama bywać nie chcę, ale że to nie racya, aby go w domu trzymać.
Powtarzałam sobie, że ciężyc mu i krępować byłoby grzechem, a przytem bardzo złem wyrachowaniem z mojej strony. Bo Mik, aby mógł mnie kochać, powinien być ze mną zupełnie swobodny i nie czuć nigdy ciężaru małżeńskich kajdan. On nie stworzony do rzeczy poważnych, niech więc się bawi. Cóż mi to szkodzić może?
Ja na czas pewien wycofuję się z jego świata, bo chcę pracować. Ale nie na wieki! Powrócę, gdy skończę. A tymczasem niech on żyje wedle swych upodobań.
Myślałam, że rozumię dobrze i mądrze i że mogę postępować nie ubliżając małżeńskim moim obowiązkom ani przywiązaniu do męża. Wszakże on mi sam obiecał, że będę zawsze swobodną.

Ta zima w X. była wyjątkowo ożywiona i jego ciągle zapraszano na bale, rauty i herbaty. Ja żartowałam nawet, że powrócił do kawalerskiego stanu. Nie miałam obaw. Parę razy tylko zaniepokoiło mnie w jego twarzy i w jego obejściu coś, czego określić nawet nie umiałam, jakaś linia niepewna koło ust, jakieś spojrzenie ukośne. A pewnego dnia zdarzył się wypadek, który dał mi trochę do myślenia.

Było to w końcu marca. Otrzymałam od wuja Binińskiego kilkaset rubli procentu z

mojego kapitału i prosiłam Mika, aby je z poczty odebrał.

Potem zapotrzebowałam pieniędzy i rzekłam:

— Daj mnie, Miku, te pieniądze, coś odebrał, bo będę miała wypłaty różne.

Aż naraz on się zaczerwienił, porwał się z miejsca i wybiegł nietylko z pokoju,

ale i z domu. Gdy wrócił na obiad, był jakiś nie swój. Ale tegoż dnia miałam

właśnie takie trudności w swojej robocie i tak niemi byłam zaabsorbowana, że nie

mogłam go zbyt obserwować. Nazajutrz przyniósł mi pieniądze, a ja na razie

zapomniałam o całej sprawie.

Raz także na wiosnę, Stefa poprosiła nas na herbatę.

Niechętnie, lecz poszłam. —

Nikogo prawie nie będzie — mówiła. Jednak, gdyśmy przyszli, był stolik z

kartami, przy którym już siedziały hrabina Lucy, Harszynowa, Piotr Żarski,

przybyły na dni parę, i młody Lenin, nowy flirt Stefy.

— Ot, tak sobie przyszli — szeptała mi Stefa

do ucha — zmówili się i przyszli. Cóż miałam z niemi robić?

— Za dużo nas na jeden stolik, za mało na dwa, tembardziej, że bratowa nie gra —

rzekł Piotr. — Urządźmy chyba baczka.

— A no, dobrze — rzekła hrabina Lucy — nic jak baccarat!

Już przyznam się, że

mnie ten wieczny poker zaczyna nudzić.
Zsunięto stoły i grano.
Ze mną rozmawiał trochę Rusiński. Potem przeszliśmy do
jego gabinetu, gdzie mi
pokazywał jakieś stare księgi, kupione niedawno od żydka
antykwaryusza, jakoby
nieocenionej wartości. A potem poszłam odwiedzić
dziewczynki, które od czasu,
gdy je podczas odry pielęgnowałam, bardzo się do wujenki
przywiązały. Zabawiłam
tam chwilę i wracałam do salonu w obawie, że moja
nieobecność może się wydać
niegrzecznością, gdy, wchodząc do przyciemnionego buduaru
Stefy, usłyszałam z
kąta zacisznego za parawanikiem głos Mika, szepcący:
— Więc nie zapomniałaś?..
I śmiech długi, przeciągły i słowa: — Nie! I ty, choć się
zapierasz, dobrze
pamiętasz. O, ja wiem, że tak jest... I zobaczysz... zobaczysz...
W salonie grano dalej. Tylko Harszynowej i Mika nie było.
Usiadłam przy Stefie i
patrzałam w jej karty, a w głowie dzwoniły mi słowa: «Więc
nie zapomniałaś...
«E, wielkie rzeczy!» mówiłam sobie. Flirtują, cóż to
dziwnego? Przecież wszyscy
oni tak samo...
I tak byłam spokojna, że jeszcze tegoż wie-

czora żartowałam z Mikiem i winszowałam mu powodzenia u
dawnej «flamy».
— Głupia, jak stołowe nogi — mruknął nieparlamentarnie.

— A, to to prawda — przyświadczyłam chętnie. — Ale sam przyznaj, że takie się najwięcej wam podobają.

Naraz on wybuchnął gniewem. — Cóż to! myślisz mi scenę robić! Scenę zazdrości!

Tego tylko brakowało!

Byłam tak zdumiona, że słowa mi na ustach zamarły. Stałam przed nim jak skamieniała, nie rozumiejąc nic, nic. On latał po pokoju, potrącając meble, aż nagle pochwycił mię w ramiona, uniósł z ziemi i począł przyciskać do piersi i całować.

— Haniuś! Haniuś! zmiłuj się... nie odwracaj się odemnie. Ja ciebie jedną kocham... Bądź przy mnie zawsze... Bo ja nie mogę... nie mogę bez ciebie... Ty jedna... ty jedna...

— Ależ, moje ty kochanie, czego się lękasz? Jestem przy tobie...

— I nic mi nie wyrzucasz? Nie gniewasz się?

— Ależ nie! Żartowałam. Czegożbym miała się gniewać?

— I kochasz? Tak samo kochasz?

— I kocham. Jeszcze więcej...

Na tem się skończyło. Po tym dniu Mik był przez czas jakiś czulszym niż zwykle.

Siedział w domu, prawie mię nie odstępował.

Pod wiosnę miasto ucichło. Ustały zebrania towarzyskie. Mik nie przestał jednak wieczorami

wychodzić. Tłómaczył to nadprogramową pracą w biurze, lub różnymi posiedzeniami.

Potem ja wyjechałam do Działowej na przedstawienie «Pokrzywdzonych». On, niezbyt chętnie, przybył tam również na moje gorące wezwanie. Był jednak przez cały czas

w fatalnym humorze, aż mi wstyd było przed Tolą i Czerwonym i dopiero w Warszawie trochę się rozkrochmalił.

Wróciliśmy do domu w zupełnej zgodzie.

Aż jednego dnia wyszedł pod wieczór i przez całą noc nie wrócił do domu. Byłam

szalenie zatrwożona, nie zamrużyłam oka wcale, a nad ranem, gdy się już miasto

rozbudziło, miałam iść do policyi, czy do Pogotowia Ratunkowego, czy już sama

nie wiedziałam dokąd, gdy naraz przez kuchenne drzwi wsunął się Mik niepewnym

krokiem, blady, z zaczerwienionymi oczami, z obwisłym wąsem i widząc mnie w

stołowym pokoju, gotową do wyjścia, spuścił głowę, skreślił szybko do swego

gabinetu i drzwi za sobą zatrzasnął.

Więc żył, był zdrow i nic mu się nie stało? A więc, co?...

Chwilę przeżyłam okropną. Zobaczyłam wszystko jasno i wyraźnie. Więc na nic było

moja miłość, na nic jego postanowienia. Nie wyratowałam go. Wracił do tej

kałuży, z której się był podniósł na chwilę, na małą, krótką chwilę.

Stałam przy oknie i patrzyłam na niebo. Słońce już się wzbiło ponad dachy i

kładły się długie cienie od drzew przy chodnikach. Ale jeszcze było cicho.

Tylko po kościołach dzwoniło na ranne msze. Śliczny czerwcowy był dzień.
A mnie się wydało, że wszystko zawaliło mi się pod nogami, że stoję na jakimś cyplu samotna, a dokoła biją huragany i walą się ruiny... ruiny... I we mnie jest także wielka ruina... same zgniecione, połamane szczątki tego, co kiedyś było...
Skrzyżowałam ręce bezradnie i stałam nieruchoma, patrząc, jak wszystko, świat mój cały się wali, jak pada, jak się rozsypuje w proch, w gruzy... I nie pozostaje mi nic.
A ja, obez władniona, stoję i patrzę i zsuwam się w przepaść czarną, w rozpacz. A tam czyhają na mnie Wstyd, Brud i żalosne Zawody i Żal za tem, co być mogło...
Ach, żal!... żal, jak ogień piekący...

«Muszę wiedzieć wszystko», rzekłam do siebie. I weszłam do gabinetu Mika. On leżał na sofie z głową wciśniętą w poduszki, z twarzą schowaną. Usłyszawszy mnie, poruszył się niecierpliwie i warknął, nie podnosząc się wcale: «Idź sobie, idź!»

Ale ja usiadłam przy nim i spytałam, pamiętam, że głos mój
miał jakieś dziwne
brzmienie — Miku, co to jest?
Otrząsnął się, ale nie odpowiedział.
I siedzieliśmy tak długo, długo w milczeniu. On leżał
nieruchomy z twarzą ukrytą
w poduszkach. Ja siedziałam milcząca. A świat cały wydawał
mi się tak odległym
od nas, tak dalekim! Istniały już tu jedynie Smutek, Zawód i
Wstyd...

Nagle on się porwał. Wykręcił się na sofie i przypadł do
moich kolan. I z twarzą
schowaną w mej sukni zaczął łkać, i płakać, i jęczeć.
Nie mówił nic, tylko płakał, płakał głośnym, dziecinnym
jakby płaczem.
Ja też nie mówiłam nic, tylko pamiętam, że gładziłam jego
włosy.
Aż się zmęczył i upadł na sofę znowu. I wtedy dostrzegłam z
jego twarzy, iż
przedewszystkiem potrzeba mu snu i spokoju. Okryłam go
pledem, ułożyłam głowę na
poduszce i chciałam odejść. Ale on mnie za suknię
przytrzymał. — Nie! nie
odchodź! Ja sam... lękam się... Usiadłam więc znowu i znowu
zaczęły płynąć
długie godziny milczenia, ciszy i smutku.
Ach! jakież ciężkie były myśli moje w tych długich
godzinach!
Mik obudził się o południu z szalonym bólem głowy. Był taki
zawstydzony,

przybity i nieszczęśliwy, taki biedny, taki siebie już niepewny,
że chwycił się
mnie, jak ostatniej deski ratunku i powtarzał co chwila: —
Tylko mnie nie
porzucaj...— Tembardziej czuł się zbiedzonym, że musiał mi
wyznać cały szereg
swoich win: Już od marca zaczął grać z temi paniami i
przegrywał, więc pożyczał,
naturalnie u lichwiarzy i wyrosła suma, jak dla nas ogromna,
bo takie «honorowe»
długi musiały być przecie spłacane natychmiast. Musiał mi
wymienić, kryjąc znowu
głowę na moich kolanach, imię Harszynowej i dodać, że z
nią... że z nią...
strasznie flirtował. Chociaż ona taka głupia, a jednak, jak

zaczęła go brać, to dawał się. I flirtował, i grał. I kto wie,
jakby daleko go
zaprowadziła!... A wczoraj wieczór, to wyszedł tylko na
chwilę i miał wrócić.
Ale spotkał go żyd z weksłami, przypominając termin. Więc
zgryzł się i poszedł
na pociechę do Baumana, a tam, nieszczęście chciało, że były
w loży pani
Marcelina i Harszynowa. Zawołały go. Potem była kolacya i
pił, i pił, i one
odjechały, a on jeszcze pił... A potem... Nie! już o tem mówić
niepodobna!
Wiedziałam więc wszystko. I wobec jego bezradności, tej
rozpaczy, w którą wpadał

coraz głębiej i ciągle powtarzających się: — Ty radź, ty mów,
co trzeba — albo
wybuchów gwałtownych: — Ja wiem, że ze mnie nic już nie
będzie, kopnąć mię tylko
jak psa... — wobec tego czułam, że, jeśli może być ratunek, to
na mnie jednej on
polega.

I dziwne to było. Wszakże byłam dotknięta tak boleśnie!
Dotknięta w tem, co dla
każdej kobiety jest najczulszym punktem, w jej miłości, czy
miłości własnej. A
jednak, wtedy nie nad tem cierpiałam. Prawie nie zwróciłam
uwagi na ów nieśmiało
mi wyznany «flirt» z Harszynowa. Ani przez myśl mi nie
przyszło badać, jak
daleko zaszedł ów «flirt». Ach! cóż mię to mogło obchodzić!
Wielką i smutną
prawdą było, że jego wola jest słaba, jego postanowienia nic
warte, a
namiętności nizkie, że materyał, z którego był zrobiony,
marnym jest, tandetnym.
To była cała prawda. A czy się ona objawiała w formie
pijatyki, czy gry
hazardowej, czy

flirtu z Harszynową, to już mi było absolutnie wszystko jedno.
«Zawiodłam się na nim», mówiłam sobie, gdy wreszcie pod
wieczór zdołałam się
wyrwać z mieszkania, zostawiwszy go drzemiącego na sofie z
okrutną migreną i

szałam pustym bulwarem wzdłuż rzeki, jakby uciekając od swojej doli. «Zawiodłam się na nim. Nie uratowałam go swoją miłością. I nie jest mi on teraz ani towarzyszem, ani przyjacielem, ani współnikiem szczęścia i smutków. Jest dla mnie niczem. Moja istota, ta moja najcenniejsza część duszy, stoi od niego daleko, daleko».

A więc? Może go już nie kocham... Może lepiej odejść i zostawić go własnemu losowi? Możeby mu i lżej było bezemnie?... Może ta moja miłość, to był tylko obłąd chwilowy, głos krwi, mijająca fala namiętności, naturalny bardzo popęd dorosłej dziewczyny do pięknego i dziarskiego mężczyzny. Popęd ten silniejszy, że osłonięty ułudnym majakiem poświęcenia, nawracania, podnoszenia tej duszy na wyżyny... Może w tym był odwieczny Eros, kryjący się tak chętnie poza widmem Psychy, ale jednak tylko Eros. Może tam Psychy wcale nie było?

I teraz, gdy we mnie głos krwi uciszony, zaspokojone popędy, namiętności śpią, a widzę, że nie mam w nim ani towarzysza ani przyjaciela, gdy wszelkie nadzieje złamane, a rozwiane iluzje i marzenia zwiędłe, może go lepiej porzucić? Mam prawo po takim zawodzie. Może go już doprawdy nie kocham? Może we mnie niema i nie było materiału na żonę. Może nie na swoją drogę wstąpi-

łam, idąc za niego? Może jeszcze pora z tej drogi zawrócić?
Stałam. Byłam już za miastem. Sosnowy las otaczał mnie
dokoła, a nad rzeką
rozścielały się wierzby. Było cicho.
Usiadłam na jednej z pochyłonych wierzb i zagłębiłam się we
własnej duszy. A
więc? Mam prawo po takim zawodzie powiedzieć: dość!
spróbowałam cię ratować,
przez dwa lata robiłam, co tylko było w mojej mocy, nie
chcesz? Więc żegnam.
Ale... czy robiłam rzeczywiście wszystko, co było w mej
mocy? A ta ostatnia
zima, spędzona w miłej dla mnie samotności, wtedy kiedy
on?... Czy, gdybym z nim
była, czyby się to wszystko stało?..
Nie! przecież stróżem mojego męża być nie mogę!
I poszłabym w świat, w szeroki, bujny świat, w jasną
przestrzeń, tam, do swoich.
Mam prawo. Bo wszakże on nie wart mojego życia. Godna
jestem lepszego losu.
Trzymać straż przy domowym ognisku, przy wymykającym
się mężu i wydierać go
sobie, i kłócić się o jego posiadanie, i współzawodniczyć z
taką... Harszynową,
pilnować. Nie! to nie dla mnie zadanie!
Ja o czym innym marzyłam.
O! wy moje dążenia, moje loty podobłoczne! Moje jasne,
jasne dnie zachwycenia i
marzeń!... Moje wy złote nadzieje!..
Siedziałam nieruchoma w zapadającym dokoła zmroku. Rzeka
szła ze szmerem pod

mojemi

stopami, niosąc na sobie opałowe odbicie nieba i różane listki obłoków. Szła i szła.

W mojej głowie przemęczonej chwilami ustawała wszelka myśl. Robiła się próżnia

nagła, jakby rozdarcie tej tkaniny żałobnej, którą snułam.

I po takiej chwilowej przerwie nagle wpadało mi do głowy, jakby echo, pytanie:

«Więc, jeśli go już nie kocham»? I zaraz za tem drugie: «Czy ja tu jestem

całkiem bez winy»?

«Jeśli go już nie kocham, to go porzucę» rzekłam prawie głośno i

zniecierpliwiona, wstałam z miejsca, «Tak, porzucę go», powtórzyłam.

I nagle ujrzałam go przed sobą jak żywego, leżał na sofie, tuląc głowę do moich

kolan, marny, zbiedzony, chory, zniszczony całonocną hulanką, zawstydzony i

drżący jakimś niewiadomym lękiem, i płakał, płakał. Całą duszę, zda się, chciał

wypłakać.

I usłyszałam głos jego niepewny, trwożliwy: «Tylko mnie nie porzucaj»...

I buchnął we mnie płomień nagły. Nie wiem, czy był to płomień miłości? Lecz

naraz wszystkie własne zawody i żale gdzieś się skryły, a porwała mię litość

bezmierna. Miałabym go porzucić? Mojego Mika? Porzucić w
nieszczęściu? Takiego
porzucić? Kopnąć go nogą na brzegu przepaści i do niej go
wtrącić?
I poddać się?
Dać się tak zmiażdżyć losowi złemu bez walki? Dać jemu
upaść na samo dno i nie
wyciągnąć ręki, aby go podtrzymać? Uledez, jak tchórz, bez
oporu? Przed pierwszym
ciossem uciekać z pola bitwy?

Nie!

Zacisnęłam palce tak mocno, że aż mi się obrączka wpiła w
ciało i zabolalo. To
mię otrzeźwiło zupełnie.
Obrączka! Wszakże ją brałam z własnej woli na dolę i niedolę.
Brałam w upojeniu
i szczęściu, lecz nie tylko na szczęśliwe dni. Brałam nie tylko
na znak
poddaństwa mężowi, lecz i na znak przynależności jego do
mnie. «A tak już nie są
dwoje, ale jedno ciało».
Moim był. Tego już nic w świecie odmienić nie mogło. Jego
dobro było mojem
dobrem, jego wina była moją winą. I tak, jak gdy chorą rękę
prawą opatruje lewa
i bolącą jedną nogę podtrzymuje druga, tak ja, połową jego
będąc i mając go za
swoją połowę, mam mu być podporą w upadku i siłą i
ratunkiem w nieszczęściu. A

czy nieszczęście przychodzi z zewnątrz czy z wewnątrz,
zawsze jest nieszczęściem
i to tem gorszem, im bardziej wywołanem i zasłużonem.
Obrączka! Symbol niewoli, ale i miłości. Jedno ogniwo tej
wielkiej obręczy, co
ludzkość całą spaja w jedno żyjące ciało, co wieki z wiekami i
pokolenia z
pokoleniami łączy, co serca z sercami wiąże. Symbol
przynależności nie tylko,
jak niewolnica do jednego pana, lecz do całej wielkiej ludzkiej
rodziny. Symbol
uznanych i przyjętych obowiązków, świętych praw i
wzniosłego posłannictwa!
A więc...
Ratować! Ratować! Wszystko, jeśli trzeba, poświęcić,
wszystkiego się wyrzec, a
ratować Mika!

Wyrwać go stąd, podnieść, uciszyć, ukoić tę burzliwą krew i
ponieść wyżej
gdzieś, wyżej i wyżej!
Ze wszystkich celów, ze wszystkich zadań, ze wszystkich
ideałów, to jest
najpierwsze.
Porwałam się i spiesznie zaczęłam iść ku domowi. Prędko!
Prędko! Tam czeka na
mnie... dzieło mojego życia.

Minęło lat kilka. W życiu naszym mało zmian zaszło na pozór.
Mieliśmy zawsze to

samo mieszkanie, tych samych znajomych, te same uprzejme
uśmiechy dla obcych, te
same prawie banalne dla nich słowa. Dla bliższych, dla tych, z
którymi nas
związały wzajemna sympatya i wspólne pojęcia, a takich
powoli znajdowało się
coraz więcej, dla tych mieliśmy i od nich odbieraliśmy coraz
szczerze i
serdeczniejsze uczucia.

Ale w głębi naszego żywota, w głębi naszych istot zaszły
zmiany wielkie i
doniosłe.

Mik naprawdę się odmienił.

Po ostatnim wybuchu jego dawnej natury nastąpił w nim jakby
przełom. Najprzód
była rozpacz nad sobą, utrata wszelkiej nadziei, desperacya
taka, że lękałam się
chwilami, aby sobie co złego nie zrobił. Jedyłą jego wtedy
pociechą było to, że
się ja od niego nie odwróciła.

— Więc ty mnie nie porzucisz, co? Więc mnie darować
jeszcze możesz? — mówił. I

wnet wpadał w zachwyty nademną. — Ależ ty anioł jesteś,
Haniuś! Inna, toby nie
chciała gadać do takiego. A ty!... Czyż ty możesz mnie jeszcze
znosić i
lubić?...

— Ja ciebie żałuję, Miku, bardzo... Boś ty do lepszych rzeczy
stworzony...

— Ja jestem łotr, ja jestem pies, Haniuś. I gdybym był uczciwy, tobym sam ciebie porzucił i poszedł gdzieś sobie na złamanie karku. Ale ja nawet tej uczciwości nie mam... — I znowu: — Czyż ty możesz mnie jeszcze znosić?

— Mogę, Miku. Bo jestem pewna, że to, co było, było poraz ostatni.

— A skądże wiesz?

— Tak myślę. Pewna jestem tego. I zobaczysz, że tak będzie. Ucieszył się. — Ach, Haniuś! naprawdę?

— No, zobaczysz.

I rzeczywiście, zdało mi się, że będzie najlepiej okazywać mu, pomimo wszystko, zupełne zaufanie. Wmawiać mu, suggestyonować go, że tamto powtórzyć się nie może. Staralam się nawet sama w to uwierzyć. Ale to już przychodziło trudniej. I nieraz w męce i trwodze spędzałam dni i wieczory przed widmem tego zła, które raz weszło pod nasz dach, przed pamięcią tych cierpień, które w ten smutny dzień przebyłam. Nie mogłam o nich zapomnieć. Ale nie! Zło nie wracało. Były chwile, gdy już, już, wola mego biednego Mika zaczynała słabnąć, chwiać się, gdy ogarniała go jakaś wściekła nuda i miotał się jak zwierz w klatce, i szukał wyjścia, i chciał się odurzyć, i wyszumieć, i dać upust wzbierającej w nim fali. Były chwile, w których, patrząc na niego, drżałam... I nie wiedziałam, co

robić i jak radzić. I odezwać się nie śmiałam, bo właśnie w takich chwilach lada słowo niezręczne doprowadzało go do gniewu i mogło popchnąć do złego. Patrzałam więc tylko milcząc i serce mi zamierało z niepokoju. Ale chwile mijały szczęśliwie. Wola jego, dawniej taka słaba, widać, skrzepła i zmeźniała, bo umiała wziąć górę nad złem. I wracał spokój. I wracał mi on, mój Mik kochany i gwałtownie tulił się do mnie, powtarzając: — Chyba ty doprawdy anioł jesteś, Haniuś! Chyba ty święta! Powoli coraz rzadsze stawały się te chwile walki. Lecz zato wzrastała w nim coraz większa, gorączkowa prawie potrzeba czynu. Rozpierała go wprost. Zdawało się, że tam, w jego wnętrzu, tryska jakieś źródło potężne, które musi wylać się na zewnątrz. Ujęte w karby, może płynąć wielką i dobroczynną rzeką, stłumione i ściśnięte, rozlewa się w płytkie i brudne kałuże. Trzeba było temu źródłu dać ujście. I ja zrozumiałam, że tylko w ten sposób można się zabezpieczyć od pokus. Znęciły go spekulacje handlowe. Z hrabią Feliksem wdał się w jakiś garbarski interes, który od lat kilku, zamiast się rozwijać, tlał zaledwie. Wejście do wspólki Mika rzecz wyratowało. Musiał on rzeczywiście posiadać dobrą głowę i

niepospolite zdolności, a przytem i szczęście, bo każda rzecz, której się dotknął, rozwijała się i kwitnąć zaczynała.

Zachęcony powodzeniem garbarni, wdał się w budowanie mieszkań dla robotników. I to także poszło nadspodziewanie dobrze. A przytem, tu pociągnął go sam rodzaj pracy, która, chociaż była interesem pieniężnym, miała też trochę i społecznej cechy. Z jakim zajęciem oboje układaliśmy plany tych mieszkań! obmyślaliśmy różne ulepszenia. Z jakim zapałem on się chwycił myśli urządzenia przy tych domach Żłobku dla małych dzieci! i ogródka, w którymby mogły się bawić. Jak gorliwie o to zabiegał, starał się, kołatał! A gdy wreszcie otrzymał pozwolenie, z jakim oddaniem się wprowadził ten projekt w życie! A potem domy te stały się ulubionem jego zajęciem. Całą ambicyę swą w to włożył, aby były one wzorowo utrzymane, czyste, piękne, wesołe. Znał prawie wszystkich mieszkańców, co dni parę wpadał tam dla osobistego kontrolowania, słuchał skarg, robił udogodnienia, łajał za szkody i prawdziwie rządził. Ja naturalnie zajmowałam się Żłobkiem i nieraz, tam będąc, ujrzałam nagle zjawiającego się Mika, którego przyjście dzieci witały zawsze radosnym okrzykiem.

I od innych społecznych prac się nie wykręcał. Należał do
wszystkiego i wszędzie
służył z zapalem. I sprawdzała się na nim znana prawda: «Kto
ma, temu będzie
dodane». Kto ma ochotę do służenia bliźnim, na tego ci bliźni
chętnie walą, co
tylko się zmieści. A w nim była taka zawziętość, taka
gorącość w każdej robocie,
wkładał we wszystko taką masę zapachu i duszy, że wszelkie
przeszkody zdobywał i
w końcu zawsze odnosił

zwycięstwo. Jakżeby więc takiego nie miano wyzyskać!
Ludzie zaczęli go cenić i nim się zachwycać.

— Moja droga pani — mówił mi raz doktor Wiszniewski, mój
stały i dobry
przyjaciel — co to za tęgi człowiek ten mąż pani! To filar
nasz! A dawniej,
niech się pani nie gniewa, aleśmy wszyscy byli przekonani, że
on się zmarnuje.

Co pani z nim zrobiła?

— Ja! Cóż ja... Nic nie robiłam.

— O! niech mi pani tego nie mówi! To pani wpływ.

— Ależ, słowo panu daję...

— No, no, no! Już ja dobrze wiem.

Czy rzeczywiście miałam na Mika wpływ? Nie wiedziałam i
dotąd nie wiem. Nigdy o
to się nie starałam. Może!...

Zdaje mi się jednak, że nie tyle tu znaczył wpływ, co po
prostu miłość. Od owego

ciężkiego dnia poczuł się więcej kochanym i sam ukochał
mnie więcej. I to
wytwarzało siłę, co wszelkie zło zwalczała.
On mię kochał, a zwłaszcza potrzebował mnie coraz więcej.
Jego natura szczerą i
wrażliwą szukała dla każdej myśli podziału. Jego
temperament bujny, wesoły, cały
na zewnątrz, nie znosił samotności ani skupienia. Mógł on nad
trudnym zadaniem
pracować wśród grona towarzyszy, owszem, obecność czyjaś
podniecała go.
Potrzebował wylania, wygadania się, przedyskutowania z
kimś każdej sprawy. Lubił
czuć ciągle przy sobie żywą duszę.

Z porządku rzeczy ja byłam tą żywą duszą. A że całym sercem
gotowa mu byłam
pomagać, więc powoli, powoli rola moja zeszła na rolę
«powiernicy» z dawnych
dramatów. On działał, on myślał, on dawał początek, on
przeprowadzał wszelkie
dzieło. Ja słuchałam, przyjmowałam do wiadomości,
współczułam, cieszyłam się czy
smuciłam, byłam «powiernicą».
Nie tak zresztą beczynną jak w dawnych dramatach. Bo w
tym natłoku pracy jego
nie tylko okruszyny, lecz całe jej porcje spadały na mnie.
«Napisz, Haniuś, taki
to list! Pójdź, Haniuś, po różnych magazynach i obejrzyj
wszystkie, jakie są

takie to materyały! Ułóż mi, Haniuś, sprawozdanie roczne z takiej to instytucji!
Oto są rachunki, wykazy, raporty. Wyszukaj mi, Haniuś, służbę i wogóle cały personel do kolonii letnich! Sprawdź, Haniuś, czy w tych oto kilku rodzinach jest naprawdę taka nędza, a jeśli jest, to pomyśl, jak tam zaradzić. Napisz mi, Haniuś, co ładnego do pism o takiej to sprawie, ale tak, żeby ludziom aż w pięty poszło! Uporządkuj mi, Haniuś, te rachunki i sprawdź, czy wszystko w porządku, bo ja tu nic a nic nie rozumiem! Zobacz, Haniuś, jak tam a tam idzie i co tam robią, bo ja dziś nie mam czasu. A przytem, pamiętaj, Haniuś, że dziś imieniny ciotki, pójdź i odemnie powinszuj, bo ja nie mogę, mam posiedzenie... I tak dalej...
I ja szłam, wracałam, rachowałam, doglądałam, pisałam, kontrolowałam, wizytowałam, szczerze zainteresowana tem, co się robiło, najchętniej

oddająca czas swój i pracę i szczęśliwa do głębi serca, że on coś dobrego czyni i zadowolona ze swej roli podrzędnej, roli «powiernicy» w starym dramacie.

Ustrzedz jego! Postawić na dobrej drodze i patrzeć, jak on nią idzie i idzie wciąż, nie zbacząc.

Zdawało mi się, że tego tylko pragnęłam i mówiłam sobie:
«Wszakże to ważniejsze
nad wszelką literaturę».

A jednak, nie! To mi nie wystarczało. Moja dusza tęskniła do
własnego lotu.

Zrywała się ku owym szczytom, co majaczyły w oddali, ku
śnieżnym, niepokalanym
szczytom. Leciała za orłami ku zorzom, ku gwiazdom, w
przestrzeń błękitną.

Zrzucała z siebie cielesną powłokę i wznosiła się wysoko,
wysoko, ku

nieskończoności, ku wszechmocy!

I prometeuszowy ogień buchał ze mnie i pragnęłam tworzyć,
tworzyć!...

Z myśli mej, z mózgu mego wypadały tłumy, ludzie, dusze,
charaktery, typy, idee

i chciały żyć, i chciały żyć! I porywały mnie, rzucały przed
biurko, i pióro

wciskały do ręki, i wołały: pisz! pisz! Musisz!

I pisałam.

Lecz były to chwile tylko. Wnet odgłos dzwonka,

skrzypnięcie drzwiami, ukazująca

się czyjaś postać z takim to interesem płoszyły moich. Nikli,
rozpływali się w

cieniach, odlatywali. A ja znowu byłem na tym szarym
świecie i ze swą zwykłą

banalną twarzą mówić musiałam o banalnych rzeczach.

A potem, gdy ich przywołać chciałam, nie przychodzili.

I zawsze w głębi duszy nurtujące poczucie, że coś na mnie czeka, że ja czegoś nie wypełniam, że nie tu jestem, gdzie być powinnam, że na mojem sumieniu coś leży, że jakiś kamień ciąży mi na duszy. Zawsze, zawsze to poczucie.

«Moja w tem wina», myślałam, «nie umiem jednego z drugim pogodzić. Trzeba tak godziny dnia rozłożyć, aby czasu starczyło na wszystko». Rozkładałam godziny, porządkowałam dzień i czasu starczyło na wszystko inne, lecz nigdy go nie było, gdy szło o moją własną robotę. Byłam zawsze na łasce zewnętrznych okoliczności.

Pomimo to jednak, w ciągu tych lat kilku, wymęczyłam z siebie dwie powieści i kilka nowelek. Krytyka przyjęła je pochlebnie, a publiczność gorąco. Mnie nie zadowolniły. Wydały mi się liche, marne, pospolite, bez odrobiny talentu pisane.

Wpadałam czasem w czarną nad sobą rozpacz i kompletnie o swym talencie wątpić zaczynałam.

Co mi jednak nie przeszkadzało w pierwszej wolnej chwili znowu coś komponować i pisać, i pisać wciąż, i wciąż siebie łajać, od wszelkich zdolności odsądzać, partaczem zwać i wpadać w stan coraz większego rozdrażnienia.

Ach, gdybym się wtedy mogła przed kim wypowiedzieć! Wyżalić się, poradzić, podzielić choć cząstką mojej troski! Ach! i zaczerpnąć u kogoś trochę odwagi, i

zachęty, i wiary w siebie! Ach, gdybym mogła!

Ale z kimże tu było o takich rzeczach mówić? Ci, co czytali moje powieści, interesowali się przeważnie tem, czy panna X. wyjdzie w końcu za pana Z. i czy moralność jest dostatecznie zachowana. A że tak się zdarzyło bez specjalnych starań z mej strony, że moralność w ostatnich moich pracach była zupełna, więc zadowolenie i zachwyty zapanowały. Ciotki nawet oświadczyły, że «nasza kochana Hanna bardzo ostatniemi czasy zyskała, bardzo!» Matka Mika wyraziła mi swoją aprobatę, a ojciec Tomasz opowiedział przypowieść ewangeliczną o zbłąkanej owieczce, przyczem pod adresem «secesyi» wyrzucił kilka gromów.

Rzecz prosta, że z niemi mówić z głębi serca nie chciałam. Z innemi, którzy mnie zaczepiali o moją «literacką działalność», mówić o niej też nie mogłam. Tak oni to dziwnie traktowali, tak jakoś... po kupiecku. Nie! nie mogłam.

I pozostawałam milcząca i zamknięta, nigdy przed nikim nie otwierając ust o tem, co mi najbardziej na sercu leżało i co bezustannie tkwiło w myśli. Odgradzałam świat swój własny coraz wyższym murem od zewnętrznego świata, coraz bardziej podwójnem żyłam życiem.

Ale jak mię to męczyło! ach, jak męczyło...

W dziesiątym roku naszego zamieszkania w X. okazała się potrzeba zmienienia u nas tapet i przerobienia pieców, które dymiły. Zwlekało się z tem ciągle, bo przykra była w domu taka fabryka. Aż nareszcie skorzystałam z wyjazdu Mika na polo-

wanie do Kamilówki i uprosiłam gospodarza, aby przystąpił do roboty. Rozpoczęło się zsuwanie mebli, zdejmowanie obrazów, rozbijanie pieców, stuk, hałas, brud, chodzenie robotników, noszenie gliny i cegieł, a potem z kolei malowanie sufitów, oklejanie ścian, żydki, garnki z klejem, zwoje podartych szmat, bezład, bezdomność. Na domiar złego kucharka mi zachorowała i musiałam ją do rodziny na czas jakiś odesłać. Zostałam więc sama z Antonim, zsunięta z mnóstwem gratów do gabinetu Mika wśród nieporządku nie do opisanania. Że było na szczęście pogodnie i ciepło, spędzałam większą część dnia poza domem, często za miastem, byleby nieznośnego rwetesu uniknąć. Aż jednego wieczoru, gdy się później niż zwykle gdzieś zasiedziałam, wracałam do domu pospiesznie i wstępując na ciemne wschody (latem oświetlenie wschodów w X.

uważane było za zbytek), pod własnymi drzwiami o kogoś się potknęłam. Siedziała tam jakaś postać skulona.

— Aj! — krzyknęłam przerażona — co to jest?

— Disciplina minor we własnej osobie, jeśli się nie mylę — odezwał się dobrze znajomy głos z ciemności.

— Co! Wiktor! — zawołałam radośnie.

— On sam. O mało mię pani nie rozdeptała.

— Bo czegoż pan tak siedzi na wschodach?

— A cóż mam począć? Zerwałem dzwonek w mieszkaniu pani, grzmociłem więc laską i nogami. Jak zmęczyłem się, to usiadłem odpocząć.

— No, bo u nas w mieszkaniu nikogo niema.

Przerabiają piece. Ach, jakież to dla mnie szczęście, że pan przyjechał!

W ciemnościach podaliśmy sobie ręce. Byliśmy oboje wzruszeni. Tyle lat! Tyle lat!

Po chwili siedzieliśmy w jedynym możliwym pokoju przy świetle jednej świeczki.

Samowar stanął na brzegu stołu. Para i papierosy Wiktora już zrobiły swoje,

szaro było i mglisto. Stół bez obrusa, półcień. Przypomniały nam się dawne dzieje. I zaczęliśmy się śmiać.

— Panno Haniu! A nasza górka...

— Herbatodajna i serdelkopłodna...

— A kulejący samowarek, w który się po kolei dmuchało...

— A nasze bale, pełne dysput, śmiechu, kłótni...

— A nasi poczciwi koledzy i najmilsze koleżanki...

— Ach! ta nasza młodość! Te nasze studenckie lata!

— Ach! tak, tak! Nasza młodość...

I nagle zamilkliśmy oboje. I jak upiory, jak z grobu powstałe
widma, zaczęły się

przed oczami naszymi przesuwając obrazy dawne, obrazy mdłe
już i wyblakłe. Ach!

młodości nasza! Młodości jasna, promienna! I na wieki
miniona...

Tak samo jak dawniej buchała para z samowara, przesłaniając
płomyk jedynej

świeczki, tak samo pokój tonął w półcieniu, tak samo z za
kłębów dymu wyłaniała

się i nikła twarz Wiktora. Ale już nie to samo mieliśmy w
duszach...

Wiktor pierwszy się ocknął. Pochylił się ku

mnie i dłoń swą położył mi na rękę. — Panno Haniu — spytał
z cicha — proszę mi

szczerze powiedzieć, mnie można, czy pani z mężem
szczęśliwa? Drgnęłam. Czy ja z

mężem szczęśliwa? Alboż ja sama wiedziałam?

— Kocham go — odrzekłam.

Zdziwił się. — Jeszcze? Wszakże to już z dziesięć lat...

— O, tak! Coraz więcej.

— No, to i dobrze — rzekł po chwili. — Chociaż ja zawsze
żałuję, że mię pani nie

posłuchała. Po co zaraz było związywać się małżeństwem i
krępować sobie życie.

Nie byłaby pani żoną, toby i tych wszystkich kłopotów nie
było, a sprzętów, a

mebli, a pieców, a matek i ciotek, całego tego rodzinnego kramu. To zjada. Czyż to bez tego miłości użyć nie można?
— A pan sam... — wyrwało mi się.
On spochmurniał. — Ja, to całkiem inna rzecz — rzekł. — A zresztą nic mi to nie przeszkadza. Mężczyzna nic nie traci w małżeństwie. A moja żona ma milion wad, ale tę zaletę ma, że mnie nie krępuje. A cóż to — zaczął drwić — źle mi to mieć dożywotni numer w porządnym pensjonacie, wikt rzetelny, opierunek i wszelkie wygody? Proszę pani, to jest całkiem dobry interes. Zamilkliśmy.
A on po chwili zaczął znowu: — Mężczyzna a kobieta, to zupełnie co innego. Co ujdzie mężowi, tego sobie żona nie pozwoli. Ja, żeniąc się, nie mówmy o sentymentach! dużo zyskałem, a straci-

łem stosunkowo nic prawie. Bo ostatecznie, jak mi familia dokuczy, to pakuję manatki i ruszam w świat. Mogę powiedzieć, że jestem doprawdy gościem tylko przy rodzinnem ognisku. Pani, wychodząc za mąż, straciła wszystko. No, nie?
— Zawahałam się. — No, pewnie, że swobodę straciłam...
— Mała rzecz!
— ... ale za to...
— Ale za to co?
— Kocham mojego męża.

Wiktor zniecierpliwiał się. — Ot, babska logika! Ja nie pytam o sentymenta. Nie

kochałaby go pani tak samo, gdyby mężem nie był? A prócz tego byłaby pani wolną.

No, czy nie racya, co?

— Ach, panie Wiktorze, pan zawsze taki sam nieznośny!

Może jabym tak samo go

kochała i gdyby nie był mężem, ale on by mnie tak samo nie kochał. Jemu potrzeba

żony, nie kochanki. Potrzeba jemu domu, rodziny, dbałości o jego wygody, pomocy

w różnych drobiazgach, usuwanie kłopotów... A gdybym nie była żoną, toby tych

korzyści nie miał, więc prędkoby porzucił. Przecie pan sam mówi, że ma żonę

«wedle wiktury i opierunku», więc czemuż mojemu mężowi nie wolno?

— Pani, jak widzę, całkiem już po babsku rozumuje i kota do góry nogami

przewraca. Ja nie pytam, dlaczego mąż pani z panią się ożenił, bo ja dobrze

wiem, jakie on ma korzyści. Ale ja pytam, dlaczego pani w to małżeństwo wdepnęła

i jakie pani ma stąd korzyści?

Zamyśliłam się. Bo właściwie, jeśli pominąć kwestyę uczucia, to jakąż ja miałam

korzyść z mojego małżeństwa? Męską opiekę? Nie

potrzebowałam jej nigdy, bo od

dawna nauczyła się sama sobie radzić. Fundusz? Miałam

własny, który mi zupełnie

wystarczał. Pozycyę? Prócz przykrości i troski nic mi ona nie dała. Podział

myśli i uczuć? Ach, nie! tego nie miałam nigdy.

— No? — nalegał Wiktor. Milczałam.

— Pani nie odpowiada, więc ja powiem. Pani na małżeństwie jedno tylko zyskała:

prawo służenia mężowi, poświęcania się dla niego i oddawania mu siebie, prawo

rozsypania się w proch pod jego stopami. Ot! co pani zyskała! Ale to jest jego

korzyść, a nie pani, prawda?

— A jeśli mi z tem dobrze... — szepnęłam.

— No, i średniowiecznym biczownikom mogło być dobrze.

Cóż stąd? Bywają różne

zbożenia umysłowe.

Zaczęłam się śmiać. Ach, panie Wiktorze! jakie pan głupstwa wygaduje! Że kobieta

zakochała się, poszła za męża i jest zadowolona, to jest

zbożenie umysłowe? Cóż

na świecie zwyczajniejszego!

— A właśnie to, że to takie ogólne, to mnie gniewa. Bo i kiedyż kobieta zacznie

żyć ludzkim życiem, własnym życiem? jeśli takie nawet jak pani całe swoje

szczęście widzą w służeniu pierwszemu lepszemu

mężczyźnie! Na to tracą młodość,

siły, a same, jako ludzie, co na tem zyskują?

Zamilkliśmy oboje. Prawda! rzecz widziana

z tego punktu, jakże inną była od zwykłych naszych pojęć o małżeństwie,

rodzinie, obowiązkach, od tych pojęć tak pracowicie nam
wszczepianych,
strzeżonych tak pilnie!

— I pani naprzykład — zaczął znowu Wiktor — czy nie
szkoda pani na taką służbę?

Broniłam się jeszcze. — Ależ panie! ja przecież nie marnieję
tak już okropnie!

Staram się obie rzeczy pogodzić! Wszakże czasem coś piszę...

— Ah!... — I Wiktor machnął ręką. Przeraziłam się. Wszakże
jego zdanie ceniłam
tak wysoko!

— Czytał pan? I naprawdę, bardzo to liche? — pytałam ze
drżeniem.

Zaczął się śmiać. — No, nie! Liche nie było, bynajmniej!

Ale... ale... już nie

to, co «Mistrz Jan», nie to, co «Pokrzywdzeni». Już czuć było
w tych ostatnich

rzeczach zmęczenie myśli, rozdrobnienie, nie było tego
polotu, tej jędrności

dawniejszej. Zapalał się mówiąc. Zaczął każdą z tych moich
prac rozbierać po

kolei krytykować, ganić, analizować i chwalić czasem.

Ach! jak mi było dobrze! Słuchałam, piłam jego słowa.

Nareszcie, po tylu latach

milczenia i zamknięcia, móżdż serce i myśl otworzyć śmiało
przed bliską, pokrewną

duszą! Móżdż mówić o sobie bez obawy znużenia. I czuć się z
kimś na równi, na

jednym poziomie! doprowadzonym do jednego mianownika.

Mówić nie to, co trzeba,

albo co «zasady» nakazują, lecz to, co bucha z głowy, co

wytryska z duszy! I

wiedzieć, że wszystko będzie zro-

zumiane, nie przekrecone, wzięte tak, jak jest podane. I czuć,
że moje ja jest
dla kogoś zajmującym i drogiem, to biedne moje ja, o które
od lat tylu nikt ani
się spytał!
Ach! jak mi było dobrze! Serce roztajało, upusty się rozwarły i
mówiliśmy,
mówiliśmy bez końca.
Krótka letnia noc zaczęła się w brzasku rannym roztapiać,
świeczka się dopaliła,
aż i dachy zapłonęły w promieniach wschodzącego słońca.
Gdyśmy się spostrzegli, że to już ranek, strapiłam się.
Wiktor to zauważył. — A co, małżeństwo i tu przeszkadza.
Dawniej, na poczciwej
górze, nie bała się pani kompromitacyi.
— Ach, wtedy mi było wszystko jedno!
— A widzi pani. Teraz cudze imię się przybrało, cudzy honor
się piastuje, to i
cienia już człowiek się lęka. Ot, korzyść!
— Cóż robić? Jutro panem się nacieszę. Więc na cały dzień za
miasto?
— Tak, tak! Trzebaż te piękne okolice poznać. A i z panią
mamy jeszcze dużo do
odgadania, za tyle lat! Dobranoc.
— Dobranoc.

Nastały dni prawdziwej i głębokiej dla mnie rozkoszy.
Od tylu lat posiadałam miłość, życzliwość, szacunek nawet,
brakło mi przyjaźni.

Tego czystego, spokojnego, a tak drogocennego uczucia, tego skarbu nad skarbami,
tego wzmacniającego napoju, co zmę-

zione życiem serce skrzepi, a zziębnięte ogrzewa, a smutne pociesza, a słabe umacnia. Tego uczucia, co jest ze wszystkich przywiązań na ziemi najszlachetniejszym, najmniej cielesnym, co jest jakby kwintesencją włożonej nam do duszy miłości bratniej, najwyższym jej wyrazem. Ach! te piękne dni letnie, pełne blasków i woni, pełne świergotu ptasząt i trzepotów skrzydełek po gałęziach, i kręcenia się muszek w złotych promieniach słońca, i lotu białych obłoków po szafirze nieba, i plusku rzeki, i brzęku kos na łąkach, i odurzającego zapachu świeżych stogów. Ach! te dni błogosławione, gdyśmy szli obok siebie w przestrzeń błękitną, a myślami lecieli wysoko, wysoko ponad tę marną ziemię w krainę Piękna, i Sztuki, i Dobra ku niebotycznym szczytom Idei! Gdyśmy pływali razem w oceanie Myśli oderwanej, w tym czystym eterze, wolnym od wszelkich okruszyn ziemskich, gdyśmy przestępowali próg zaklętego zamku i stawali twarzą w twarz z Absolutem. Ach! te błogosławione dni! Jedno słowo jego, a we mnie budziły się echa, nuty, akordy całe. Jedno słowo

moje, a dusza jego odpowiadała w tymże samym tonie,
podchwytowała nutę
przezemnie podaną i snuła ją dalej, dalej i wyżej. I oba nasze
głosy uderzały
razem aż w niebo, aż w nieskończoność...
Nawet bez słów rozumieliśmy się tak dobrze! Bywały między
nami milczenia tak
wymowne, tak pełne, aż po brzegi pełne! rozkoszy, to smutku,
to rozanielenia.
Wtedy tylko oczy nasze spotykały się

przez chwilę i mówiły takim językiem, jakiego nie znały nasze
usta. I dusze
nasze szły razem złączone.
Bywały też między nami kłótnie zażarte, gwałtowne. A wtedy
nie szczydził się
sobie drwin i urągania, i obelg nawet. Ale jakież to było
szczęście, móż się z
kimś takim naprawdę wyklócić! móż się drzeć i ujadać o
swoje zdanie, i bronić
swego, i odpierać ciosy prawdziwie niebezpieczne, nie te
papierowe strzały,
zwykle rzucane dla sportu więcej, niż z przekonania, i walczyć
z kimś równym, a
często silniejszym, i chociażby pobitą być i uznać się pobitą,
lecz przez
godnego przeciwnika.
Szczęśliwe, piękne i dobre były te dni.
Bo nigdy, ani przez jedno mgnienie oka, żadna myśl brudna
lub płaska nie zmaciła

naszego wzroku, żadna najlżejsza pokusa nie drasnęła naszych
zmysłów. Nie
byliśmy dla siebie kobietą i mężczyzną, byliśmy dwojgiem
ludzi. Ani razu on,
który szperał z ciekawością i zajęciem po wszystkich
zakątkach mej duszy, nie
zwrócił uwagi na mój wyjąd. Ani razu ja, żyjąc nim wyłącznie
i z zapamiętaniem
łącząc się z nim duchowo, ani razu nie spojrzałam uważniej w
lustro, gdyśmy się
mieli spotkać, nie pomyślałam o włożeniu lepszej sukni, lub o
staranniejszem
uczesaniu. Nie wiem, czy w ciągu tych kilku dni choć raz
pocałował moją rękę,
zdaje mi się, że nie. Ja zaś dopiero po jego wyjeździe
przypomniałam, że dawniej
nosił długie włosy, a teraz krótko jest ostrzyżony.
Mnie w tem zetknięciu z przyjacielem wracały siły, ufność w
siebie, odrastały
skrzydła. Rwa-

łam się znowu naprzód, naprzód! Spadały ze mnie lata.
Miałam znowu lat
dwadzieścia i przyszłość przed sobą, i drogę życia jasną,
szeroką. Tylko iść i
zdobywać!
Wiktor pytał o plany moje. Zwierzyłam mu się z nową
kreacją, która mi w duszy
kiełkowała. Była to szalona historia «Dzikiej Mańki».
Wielkie serce, wielki

talent, pochwycone w pajęczą sieć konwenansu, bigoteryi,
rutyny. Wielka dusza,
rozpięta na łożu tortur. Wielka miłość zdeptana, zwichnięte
skrzydła, skalane
aspiracye, zwiędłe marzenia. I nareszcie bunt namiętnej
natury, wściekłe
miotanie się na wszelkie boskie i ludzkie prawa, odejście od
zmysłów, szal,
opętanie.

Czułam to, widziałam w sobie. Lecz wahałam się jeszcze.
Pisać, nie pisać?

— Ależ pisać! Ma się rozumieć! Pomysł pyszny! Pisać
koniecznie. Tylko nie wśród
fabryk, ludzi, interesów. Gdzieś się usunąć, ukryć i wylać
jednym tchem na
papier.

— Tak. Ach! gdyby!... Ale cóż z tego? Nawet, jeśli się uda. Ja
to widzę jako
dramat, koniecznie jako dramat, nie inaczej. Napiszę, a potem
co?

— A potem wystawić.

— O, dziękuję! Po próbach z «Pokrzywdzonymi» nie chcę.

Być na łasce tych panów

dyrektorów! Łazić, prosić, czekać. Nie!

Wiktor pomyślał chwilę. — Ja to pani załatwię. — I zaczął
tłómaczyć. Był w

przyjaźni z dyrektorem krakowskiego teatru, ogromnie
zdolnym facetem. Gdy sztuka
będzie gotowa, on mu ją sam

przeczyta i dopilnuje wystawienia. Proszę być spokojną —
zapewniał.

Więc znowu nastąpiły narady, dyskusye. Musiałam mu każdą
osobę, każdy szczegół
określić. Pytał, zastanawiał się, roztrząsał, zachęcał.
Mnie ogarniał coraz większy zapał i wiara we własne siły.
Ach! teraz pewna
byłam! Stworzę dzieło wielkie, piękne, nieśmiertelne!
Kipiało we mnie, wrzało.

Tymczasem malarze, piekarze i żydki skończyli swą robotę.
Mieszkanie wymyto,
wyfroterowano. Obrazy wróciły na swe miejsce, meble
wytrzepane stanęły w
porządku, portyery i firanki założono. I skorzystałam z
dżdżystego poranku, aby
wszystko doprowadzić do porządku.
Wiedziałam z paru kartek Mika, że polowania w Kamilówce
skończono, że on sam
zabił pysznego łosia, ale że się jeszcze wybiera razem z
Edziem na jakąś obławę
w sąsiedztwo i że zapewne kilka dni jeszcze zabawi. Nie
spodziewałam się go
przed końcem tygodnia.
A że deszcz rozpadał się na dobre i na przechadzkę iść było
niepodobieństwem,
więc Wiktora do siebie na herbatę zaciągnęłam.
Siedzieliśmy w salonie pod abażurem wielkiej lampy i
przeglądaliśmy razem nowe
jakieś ilustracye. A Wiktor, który oryginały niedawno oglądał,
zaczął mi o nich
opowiadać. Ja, od dawna nie ruszając się z X., tylko z
dzienników wiedziałam o

nowych prądach w malarstwie. Więc słuchałam z wiel-

kiem zajęciem. On żył prawie ciągle w centrum naszej myśli i naszej sztuki, on
tyle wiedział, tyle słyszał!
Mówił właśnie o budzącej się sztuce witrażowej i o nowych próbach w tej dziedzinie. A mówił tak ślicznie, że widziałam prawie jak żywe te wiotkie postacie Świętych, wyrastające z kwiatów splątanych i wnoszące się ku górze w blaskach aureoli w łagodnych barwach, w obramieniu gotyckich ozdób. Słuchałam, przenosząc się myślą pod te strzeliste sklepienia, cofając się duchem w dawne czasy, w średniowieczne czasy rycerzy i świętych dziewic, w ten świat baśni i legend cudownych.
Naraz jakieś dziwnie przykre ogarnęło mnie uczucie. Coś zimnego, ostrego wślizgnęło się między nas i dreszcze zaczęły mi przebiegać po ciele. Obejrzałam się. Oprócz nas dwojga nie było nikogo w salonie. Za mną zwieszała się zsunięta portyera, lampa roztaczała krąg światła na książki i dzienniki rozrzucone po dużym stole. Nie mogłam sobie tego uczucia wytłómaczyć. I starałam się znowu zwrócić myśli na opowiadanie Wiktora. Ale nie! Przykre uczucie wzrastało, niepokój wprost fizyczny mnie ogarnął.

Wiktor zauważył to zaraz. — Co pani jest? — spytał.
— Doprawdy nie wiem... Coś tu się stało... Ktoś wszedł... czy
co... — zaczęłam.
Aż naraz portyera od sypialnego pokoju się rozsuneła i ukazał
się — Mik,

— Ach! to ty! — krzyknęłam, ale więcej było przestachu, niż
radości w tym
okrzyku.

Może on to odczuł, bo odparł zimno: — Zastałem już drzwi
wchodowe zamknięte,
musiałem wejść przez kuchnię, a widząc państwa tak sobą
zajętych, nie chciałem
przeszkadzać...

Chłodem na mnie powiało od tej niezwykłej względności
Mika. Zaznajomiłam więc co
prędzej tych panów i poszłam się zakrzętnąć około jakiej
kolacyi dla Mika, myśmy
bowiem już od dawna wypili herbatę.
Gdy wróciłam do salonu, zastałam ich obu nadętych i
napreżonych. Rozmawiali o
deszczu, pogodzie, urodzajach, ładnych widokach i czułam, że
obaj dosyć mają tej
rozmowy. To też nie zatrzymywałam Wiktora, gdy się żegnać
zaczął, ale że
nazajutrz mieliśmy umówiony wspólny obiad i wycieczkę w
razie pogody do Świętej
Góry, więc przypomniałam, że czekać będę o drugiej.
— Dobrze, panno Haniu — odparł — przyjdę o drugiej w
każdym razie, a co potem
będzie, to zobaczymy.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za Wiktorem, Mik zapytał z ukrywaną złością: — Od kiedyż to tu siedzi ten twój przyjaciel? — Od tygodnia mniej więcej. Ale co ci jest, Miku? Czegoś ty zły, jak piekło? — Nie lubię w moim domu... intruzów — mruknął. Osłupiałam. To było całkiem nowe! Ale nagle i mnie złość porwała. — A więc

tak? To jak ty mi narzucasz latami całemi swoje ciotki, hrabiny i cały ten idiotyczny kram, to ja to znoszę z uśmiechem. A jak do mnie raz w życiu przyjechał mój najlepszy przyjaciel, to ty się pienisz ze złości i zwiesz go intruzem! A więc tak! Więc uważasz ten dom za swój wyłącznie i chcesz tu sam wyłącznie się rządzić. I wyobrażasz sobie, że ja to zniosę? Nie, mój kochany! Nie tylko, że nigdy ci nie przyrzekałam zrywać ze swoimi stosunkami, aleś to ty przyrzekał nie stawiać mi w niczem przeszkód. Pamiętasz? I to wiedz, że ten dom jest zarówno moim jak i twoim domem i że przyjmować będę kogo zechcę i że wcale, ale to wcale! nie zamierzam w tem stosować się do twoich grymasów. A co do Wiktora, to wiedz, że go cenię, lubię, Kocham i wdzięczna mu jestem za wiele, wiele rzeczy, o których ty i pojęcia nie masz! I żebyś miał się nawet wściec ze

złości, to ja względem niego się nie odmienię i przyjaźni mu dochowam. A ty, chociaż jesteś moim mężem, nie masz żadnych praw nademną. Żadnych! Byłam tak zła, że mimowoli wyrywały mi się z ust słowa jaskrawsze, niżbym chciała. Ale w duszy grały mi jeszcze takie piękne melodye! A tu zgrzytały mi kajdany niewoli i ta moja złota obrączka tak się wpijała w palec, tak się głęboko i boleśnie wpijała! Poszliśmy spać niepokodzeni. A nazajutrz obiad był ponury. Mik sztywny, grzeczny, nieznośny. Ja zła, lecz nadrabiająca rezonem. Wiktor, Bogu duszę winien, nie mogący pojąć,

co się tu dzieje. Mówiliśmy o rzeczach obojętnych, wszyscy troje z jednym pragnieniem, prędkiego skończenia. Podano nam kawę do salonu. Ja nie śmiałam spytać, czy ruszamy do Świętej Góry? Lękałam się zostać sam na sam z Wiktorem, bo musiałabym mu dać jakieś wytłómaczenie, a jakież tu wytłómaczenie dać mogłam? Jak na złość, pogoda była prześliczna. Doznałam więc prawdziwej ulgi, gdy naraz Wiktor wstał, odsuwając niedopitą filiżankę i rzekł zimno: — Muszę państwa pożegnać. Dziś wieczorem wyjeżdżam.

— Dziś? Pan zamierzał jeszcze...

— Zamierzałem. Ale zmieniłem zamiar.

Nastąpiło pożegnanie krótkie, chłodne. Odprowadziłam go do przedpokoju. Mik

stał też w progu salonu.

— Ach, panie Wiktorze! — rzekłam, trochę smutna —
dobrze, żeśmy się znowu
spotkali! A teraz, kiedy?...

— Teraz? Wkrótce. Pani «Dziką Mańkę» prędko wykończy,
wystawimy ją w Krakowie.

To na premierę musi pani przyjechać. Zrobimy pani porządną
owacyę, wszyscy nasi
się stawiają. Co? Dobrze?

— Dobrze. Więc do widzenia... w Krakowie...

— Do widzenia, panno Haniu! Na «Dzikiej Mańce»...

Poszedł. Drzwi za nim się zatrzasły, a myśmy zostali sami.

Ja stałam w salonie i pamiętam, że twarz zanurzyłam w
bukiecie lewkonii,
stojącym na konsoli. Chciało mi się płakać. Miałam wrażenie,
że jakieś ciężkie,

żelazne drzwi więzienne za mną się zamknęły, że byłam w
ciemnościach, w zaduchu,

w głębokim dole i że drzwi te ciężkie zamknęły przedemną
słońce i światło. Tam

gdzieś na świecie świeci słońce gorące, leje swe promienie na
duchy ludzkie i

chodzą te duchy w jasności, w błękicie, po umajonych łąkach i
wznoszą się ku

niebu i bujają w przestworzu i lecą, lecą w górę...

Słyszę jeszcze szum ich skrzydeł orłowych...

A ja? Możeby i ja umiała skrzydła rozwinąć i z niemi razem
lecieć i lecieć do
góry!

Ale drzwi się nademną zatrzaśły, ciężkie, więzienne drzwi, i
jestem samotna, w
lochu głębokim, w cieniach ponurych, w niewoli. I dzwonią
moje kajdany, i
zgrzyta mi na palcu obrączka, i wpija mi się w ciało.

Ach! jak głęboko, jak boleśnie się wpija!

O! porwać więzy! Złamać obrączkę! Zatrząść tym całym
gmachem rodzinnego domu. I
iść, i biec! I być wolną!

Nagle poczułam dwoje ramion, które mię miękko oplotły.

Odchyliły mię od bukietu

lewkonii, otoczyły i zamknęły się na mnie ciasno, ciasno. I
skłaniała się ku

mojej twarzy twarz Mika i oczy jego smutne i trwożne, starały
się zajrzeć w moje

oczy. I szeptał mi:

— Haniuś... co ci jest? Haniuś... czy ci tak źle? Czy ci tak ze
mną źle?...

Ach! rozdarło się we mnie serce! Wyraźnie, wyraźnie na dwie
części się

rozdarło... i obie pozostały krwawiące...

Ach! rozdarła mi się dusza! Połowa jej poleciała w świat
szeroki, w błękity

nieba, na szczyty, za swoimi, za bratnimi duchami... Połowa tu
pozostała, tu,

gdzie ją przykuła miłość dla człowieka i złota obrączka... Tu,
gdzie widziała te

biedne, trwożne oczy, gdzie słyszała trwożny szept, gdzie ją opasywały te ramiona męskie, tak silne, a teraz takie proszące i nieśmiałe... Więc zarzuciłam mu ręce na szyję i zaczęłam kłamać: — Nie, Miczku, nie! To nic... Mnie dobrze... mnie dobrze z tobą. To tylko tak... chwilowo... Ot, nie wiem, co mi się stało! Zaraz... zaraz przejdzie... — Nie, Haniuś! powiedz szczerze, może ci źle? — Ależ nie! nie... — Może żałujesz teraz, że wyszłaś za mnie? — Ależ nie, Miku! — Bo ja wiem, Haniuś, że ja nie taki mąż, jakiego tobie potrzeba. No, ale przynajmniej w niczem ci nie przeszkadzam. To przyznasz? Ironia tej chwili była taka, no, taka straszna, i głupia, i okrutna, że śmiech porwał mię szalony. I zaczęłam się śmiać, śmiać, i śmiać. Nie! on mi w niczem nie przeszkadzał, broń Boże! Ta «scena» zakończyła się bardzo czule. Obejmując się ciasno, przytuleni do siebie, usiedliśmy na kanapce w zacisznym saloniku. I tak długo, długo

siedzieliśmy razem. Ja się zwolna uspakajałam, wracałam w karby. Mik gładził moje włosy, całował mię, mówił pieszczotliwe słowa, nazywał mię najpięszczotliwszemi imionami. Mówił, że mnie kocha z dniem każdym goręcej, że

bezemnie żyć by nie mógł, że ja go wyrwałam z toni, że mnie
wszystko zawdzięcza,
że mu jestem wszystkim na świecie. I że jest zazdrosny o
mnie, nie tą głupią
zazdrością mężów flirtujących kobiet, ale zazdrosny o moje
inne uczucia. Bo nie
chce, abym ja cokolwiek więcej od niego lubiła. I dlatego taki
wczoraj był zły,
gdy zobaczył przez portyere moją zasłuchaną twarz i te moje
oczy, jakby pijące
słowa Wiktora, i tę jakąś błogość, i zachwyt, to go zazdrość
porwała! Bo nigdy,
nigdy taką nie byłam dla niego. Przecie wiedział dobrze i o to
był spokojny, że
ja z Wiktorem nie romansuję, ani nie flirtuję nawet,
niewierności z mojej strony
nie obawiał się. Ale dlaczego ja przy nim nigdy taką nie
byłam? Czemu ja dla dla
niego nie miałam nigdy tej twarzy zasłuchanej i tych
zachwyconych oczu?...
Ach! czemu?... czemu?...

Wszystko wróciło do porządku i życie poszło dawnym
trybem. Ja postanowiłam znowu
«obie rzeczy godzić». Zabrałam się więc z zapalem do
«Dzikiej Mańki». Naturalnie
do zapalu miałam prawo tylko od -tej do -ej przed południem,
bo w innych
godzinach byłam «na służbie». Ale że tak się zdarzyło, iż
zewnątrznych przeszkód
nie było teraz, bo latem X. było zawsze spokojne, więc

i robota moja szła rażno. Pobyt Wiktora dodał mi ostrogi.
Spieszyłam z «Dziką Mańką», gdyż otrzymałam wprędce list
od Wiktora, w którym
donosił, że jego przyjaciel, dyrektor, obiecuje to przyjąć, gdy
tylko będzie
gotowe i wystawić, jeśli się nada, wczesną jesienią, w porze
najlepszej, gdy
Kraków roi się od przybyszów.
Pracowałam więc pilnie. Postanowiłam nadto nie ruszyć się z
miejsca przez całe
lato, gdyż każda zmiana zbijała mnie z tonu, zmieniała nastrój
i powodowała
ogromną stratę czasu.
Więc gdy w połowie lata Mik wystąpił z projektem wycieczki
na sześć tygodni do
Ostendy razem z Rusińskimi, ja uzbroiłam się w energię i
zapowiedziałam, że
jechać nie mogę. Starłam się tej odmowie nadać jak
najłagodniejsze formy, lecz
Mik był nierad i smutny. Zgodził się wprawdzie jechać
bezemnie, ale w głębi
serca czuł żal.
— Wolisz ty swoją literaturę odemnie — rzekł.
Ja też chwilami miałam trochę niepokoju o niego. Ale co było
robić? Tu chodziło
dla mnie o kwestyę: być albo nie być. Rozumiałam to, chwila
obecna była dla mnie
stanowczą, jedyną już w życiu. Cały mój zawód literacki od
tej chwili zależał.
Powodzenie «Dzikiej Mańki» zapewniało mi dalszy szereg
powodzeń i tryumfów.

Niepowodzenie musiało mnie zagrzebać na wieki. Nie miałam już lat dwudziestu, aby mózdz do nieskończoności odkładać wybicie się na wierzch. Nie miałam już i niespożytej energii młodzięńczych lat. Czułam to, że jeśli

chybię tym razem, to mogę się już wcale nie podnieść. Jeśli zaś mi się uda, to mam jeszcze w sobie potężny zasób sił i wielkie, gorące ognisko zapału.

A sposobność była jedyna, wymarzona. I zbrodnią byłoby nie uchwycić jej w lot.

Oparłam się więc namowom i własnemu sercu i nie pojechałam.

Odprowadziłam Mika i Rusińskich na dworzec, wysłuchałam wykrzykników Stefy o mojem dziwactwie, pożegnałam ich najczulej i wróciłam do domu.

Dom pusty był, cichy, martwy. Ale tego właśnie było mi potrzeba. Odetchnęłam

szeroko, szeroko! Od dziesięciu lat poraz pierwszy uczułam się wolną, ach!

zupełnie, zupełnie wolną! panią siebie, swoich słów i uczynków, swych

usposobień, swej twarzy, swych gości, panią samowładną! I to na całych sześć tygodni!

Przez całych sześć tygodni nie wiedzieć nawet, że są zasady, obowiązki,

konwenanse, opinia, świat!... Zapomnieć o wszystkim, co marne, nudne, głupie,

dreńcące. Zapomnieć!... A żyć dla siebie, dla swojej pracy,
wśród tych
stworzonych przezemnie ludzi, wśród tych ukochanych
duchów!...

Zapomnieć o tamtem i po niem odpocząć!

Najprzód zapowiedziałam służbie, że gdyby się paliło, gdyby
ziemia rozpaść się
miała, gdyby wszystkie ziemskie i niebieskie potęgi
nastawały, to do mnie nie
wolno, ale to pod karą wydalenia nie wolno nikogo wpuścić.
W żłobku i w innych
miejscach, gdzie mogli mieć do mnie interesy, oświadczyłam,
że wyjeżdżam na
wieś.

I, zabezpieczona ze wszystkich stron, zabrałam się do roboty.

Jesień już była. Mik powrócił z Ostendy, moja «Dzika
Mańka» dawno już wyfrunęła
w świat i znowu życie szło zwykłą koleją ze zwykłym
akompaniamentem
frasuneczków, trosk, kłopotów, niepokojów, gdy jednego
dnia otrzymałam od
Wiktora taki list:

"Dyrektor przeczytał «Dziką Mańkę» i zachwycony. Obiecuje
pani sukces kolosalny.

Już role rozdane i próby idą. Mańkę gra Malecka. Aktorzy
powiadają, że dawno
takiej sztuki im nie dano. Ale w drugim akcie są sceny, które
koniecznie zmienić

trzeba, a i trzeci akt za długi. Dyrektor powiada, że pani sama to zrozumie i poprawi najlepiej. Ale trzeba tu być. Niema rady, panno Haniu! Proszę tej minuty manatki pakować i walić duchem. To nie żarty. Raz kozie śmierć, ale i raz człowiekowi tryumf. Czekaemy. Wiktor".

W tej chwili otelegrafowałam: «Staram się o paszport. Przyjadę zaraz. H.» I czekałam przyjścia Mika. Gdy wrócił, podałam mu list. Przeczytał, zmarszczył się i rzucił list na stół.

— I myślisz jechać? — spytał, nie patrząc na mnie.

— Naturalnie! Już zatelegrafowałam.

On nie odrzekł nic. I zapanowało między nami milczenie.

Przez kilka dni następnych grzecznie, uprzejmie pomagał mi w przygotowaniach do podróży. Nie pytał o nic, nie robił uwag, zgadzał się na wszystko. Ale był smutny. Wreszcie odprowadził mię na kolej, ułożył wygodnie rzeczy, kupił czekolady i pomarańcz. Aż dzwonek zadźwięczał i zaczęliśmy się żegnać.

Wtedy dopiero wykrztusiłam pytanie, które mi przez te dni kilka drżało na ustach

— A możebyś i ty przyjechał?

Mik zrobił ruch gniewny, chciał coś powiedzieć, ale się powstrzymał i tylko przez zaciśnięte zęby wycedził: — Nie!

Lokomotywa gwizdnęła przeciągle, pociąg ruszył.
Rozstaliśmy się.
«Co mu jest? Co mu się stało?» myślałam, zagłębiona w
swoim kątku. Niepodoba mu
się, że piszę? Ależ wiedział o tem od początku i nic nie miał
przeciwko temu.
Więc czegoż teraz? Przecież go nie porzucam. Gdzieżby też!
A że zabawię tydzień
albo dwa, albo nawet i miesiąc poza domem, toż mu się nic od
tego nie stanie. A
jak inne żony latają po świecie? Ja przez tyle lat ani razu bez
niego nie
wyjeżdżałam na dłużej. A i teraz, wszakże to nie żadna
fantazya. Tu idzie dla
mnie, o... ach! prawie o życie i śmierć!
Ee! męski egoizm! Za dobrze mu ze mną.
I, przyznaję, prędko myśli moje zwróciły się w inną stronę.
Poleciały one
naprzód, naprzód! Wszakże ten pociąg, co mię unosił, niósł
mię ku

sławie, ku blaskom, ku szczytom, pędził ku szerokim
przestworzom.

Ach! popędziły z nim i myśli moje!

I znowu siedzę w przyćmionej łoży za zielonym
parawanikiem. I znowu Tola,
pocziwa, zacna Tola, szeleści przy mnie afiszem i drży o
powodzenie. Tylko Mika
niema.

Ale zato Wiktor, oparty o moje krzesło, raz wraz szepce mi do ucha jakieś słowo otuchy.

Bo dziś mam tremę, szaloną, zabójczą tremę. Idąc do teatru, pomimo ciepłego wieczoru, trzęsłam się jak liść i zęby mi latały. A i teraz ściskam kurczowo rękę Wiktora, nic nie słyszę, nic nie widzę, nic nie rozumiem.

Powtarzam w

kółko: «Będzie kłapa. Ja wiem, że będzie kłapa».

Kurtyna się podnosi. Widzę scenę, ludzi, tych moich ludzi, których stworzyłam,

dolatują mi do uszu słowa, słowa, które ze mnie wyszły.

Ale nie rozumiem nic. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Czuję tylko, że to chwila

stanowcza, przełomowa w mem życiu, że to szczyt

przeznaczeń moich. I zamieram,

drętwieję, omdlewam. Ciemność przesłania mi oczy, krew w skroniach tętni, słabo

mi, ach! jak słabo!

I tak rozkosznie...

Może to śmierć? myślę. I nie czuję przeciwko niej buntu. Z tego szczytu, na

którym dziś stanęłam, na wyższy już nie wstąpię, nie!

Więc?... Więc przyjdź Śmierci-Wybawicielko! Śmierci-Przyjaciółko!

Uspokojenie nagle następuje. Nie drzę o powodzenie, nic już nie chcę, niczego

nie pragnę, o nic się nie lękam. Jestem zimna, martwa.

Może już nie żyję?

Czuję raptem, że mi Tola zmoczoną chustką czoło ociera. Coś mi do wachania

podają. Wracam do przytomości. Widzę zaleźnione nad sobą twarze. — Niechże pani

nam tu nie mdleje — mówi Wiktor — uszy do góry, panno Haniu! Idzie doskonale.

Grają jak anioły.

— Ach! chciałabym nie żyć...

— Tere, fere! Ot, głupie gadanie! — mruczy Wiktor. Ale mocno ściska moją rękę i wiem, że mnie rozumie.

Trochę mi lepiej. Obawa o powodzenie wraca. Pewnie będzie klapa!

Naraz kurtyna się spuszcza. Grzmot oklasków. Ruch.

Zmieszane głosy biją zewsząd,

szumi jak w ulu. Tola nie może wytrzymać i z za zielonego parawanika wygląda ku

sali. — Podobało się! widać po twarzach, że się im podobało!

— Łoża zapełnia się

czarnymi postaciami, przychodzą znajomi, przychodzą

koledzy, przychodzą

literaci, redaktorowie, których mi ktoś przedstawia, mówią coś do mnie,

winszują, chwala, o coś pytają. Chcą mnie poznać. Zajmują się mną wszyscy.

Jestem interesująca. Dyrektor wpada i wypada, bardzo zadowolony.

Po drugim akcie wśród oklasków zaczynają się wołania:

«Autorka! Autorka!» —

Słyszysz Hanno! — woła Mila.

Wpada dyrektor. — Wołają panią! Pani musi do publiczności wyjść!

— Za nic w świecie...

— Ależ, pani droga! Publiczność ma prawo...

— Nie, nie, panie! Później...

I po trzecim akcie przy grzmocie nawoływań, oklasków, głosów zmieszanych, dyrektor prowadzi mnie, trzęsącą się całą, przez jakieś zakulisowe wertepy, ku scenie.

— Niech tylko pani ładnie do nich się uśmiechnie — mówi — ukłoni się na prawo, na lewo, ku galeryi, koniecznie, proszę pani, ku galeryi. Po drodze nachylają się ku mnie dobrze już znajome twarze aktorów.

— A co, proszę pani, jakże było?

Idę wpół przytomna. Lecz w sercu mam radosne, zwycięskie bicie. Wszakże całe

życie na tę chwilę czekałam, na tę chwilę sławy i tryumfu!

Kurtyna się rozsuwa. Blask sali mię oślepia.

Po chwili widzę przed sobą jasną chmurę głów ludzkich, światła, blaski,

ruszające się dłonie i słyszę krzyk przeciągły: «Autorka!

Brawo! Brawo! Wiwat»!

Czuję, że mnie w tej chwili kochają wszyscy, a ja trzymam ich dusze w dłoniach,

gram na ich sercach, jak na wielostrunnej harfie, gram na tych sercach cudną

melodyę...

Stoję odurzona. Nie wiem, pocom tu przyszła. Krzyk podnosi się ku mnie falą,

zaleje mię, zaleje.

Naraz przypominam sobie słowa dyrektora: uśmiechnąć się,
ukłonić na prawo, na
lewo, ku ga-

leryi. Uśmiechnąć się nie mogę. Ale kłaniam się, ach, jak
niezgrabnie! na prawo,
na lewo, ku galeryi. Oczami prowadzę po tej burzy ludzkiej,
co się tam miota.

Kłaniam się raz jeszcze.

Aż nagle pada mi do stóp wiązanka bladych róż. O, kochana
ręka, która je
rzuciła.

Podnoszę róże, płakać mi się chce i zaczynam się uśmiechać,
wdzięcznie, wesoło

uśmiechać do tej dobrej duszy, nieznaney mi i utajonej w
tłumie. Znów grzmot się

zrywa. Cofam się. Znikam za kurtyną.

— No! powodzenie kapitalne! — mówił Wiktor, siadając
naprzeciw nas w powozie. —

A co, panno Haniu, nie mówiłem? Co?

— Ależ, bo jakże to na scenie zyskało! — wtrąciła Tola. — W
czytaniu...

— O, bo to całkiem sceniczna rzecz! Ale przyznać trzeba, że i
dyrektor zrobił,
co tylko mógł...

— Już to reklamowaliście mnie na potęgę.

— Reklamowaliśmy, bo bez tego nic. A co pani myśli, i
«Pokrzywdzeni» poszliby

inaczej przy odrobinie reklamy. No! bardzo rad jestem!

— Ale powiedzcie szczerze, czy to naprawdę rzecz dobra?

— Ach, Hanno! jeszcze pytasz! — zawołała Tola — po takich owacyach!

— I ja naprawdę mam talent?

— Nie! wiecie, że ona jest nadzwyczajna — oburzyła się Tola. — Czy ty udajesz, czy taka jesteś doprawdy głupiutka?

— Ma pani talent, ogromny, wściekły talent — zaczął Wiktor poważnie — Taka figura jak Mańka, to jest wprost arcydzieło. Całości dałoby się to i owo

zarzucić, dałoby się. Ale sama Mańka! To tak człowieka bierze, że gwałt! Może pani przestać wątpić w swój talent.

— Szczęście twoje, że ja nie robię w literaturze — rzekła Tola — bobym cię z

zazdrości udusiła. I dziwię się, że pan nie ma do tego ochoty.

— O, kto wie, czybym nie miał, gdyby to nie była panna Hania, nasza panna Hania... — odrzekł Wiktor.

I zamilkliśmy przez chwilę. Aż we mnie wezbrało uczucie wdzięczności i przyjaźni

i zawołałam: — Ach! jacy wy dobrzy, kochani! Jak ja was kocham! Gdyby nie wy, to i dzień dzisiejszy nie byłby taki... taki piękny...

— A! więc jest piękny? Co?

— Ach, tak! ach, tak!...

Oni po chwili znowu zaczęli mówić o sztuce, o publiczności, o swoich wrażeniach.

A ja czułam, jak mię rzeczywistość szczęście wielką falą zalewa, jak mi pierś

rozpiera i niesie na jakichś szerokich skrzydłach. I tak mi lekko, tak jasno, tak słonecznie! Tak mi rozkosznie krew po żyłach krąży. Takie mi w uszach grają hymny świetne. Tak się rozpływani i tonę w oceanie szczęścia...

— Dokąd to jedziemy? — spytałam, widząc, że powóz mija nasz hotel.

— A pani zapomniała, że przyrzekła być w Bristolu na kolacyi? Na składkowej uczcie...

— Ach, prawda!

— Już czekają — rzekła Tola, wychylając z powozu głowę. Czekali na nas rzeczywiście. I przez oświetlone salony przeszliśmy wkrótce do wielkiej sali, gdzie długi, długi stół jaśniał srebrem i kryształami. Tam, posadzona na pierwszym miejscu, honorowana, okadzana dymami komplementów, obrzucana ciekawymi spojrzeniami, otoczona atmosferą zachwyty i życzliwości, czułam się być centrum i duszą całego zebrania. Czułam, że jestem naprawdę, poraz pierwszy może w życiu, «interesująca». I nie drażniły mnie objawy podziwu i sympatii. Bo jakże ci ludzie umieli swój podziw i swą sympatię w miły sposób okazywać! Jak dyskretnie! Jak pochlebnie! A gdy się zaczęły toasty i mowy, jak oni zręcznie wplatali mi laury i kwiaty do

tego wieńca, który mi na skronie kładli! A mowy były
przeróżne, i wzniosłe, i
wesołe, i żartobliwe, i poważne, i prozą i rymami, a ogólny
nastrój był tak
serdeczny i przyjacielski, że i mnie wreszcie porwała chęć
wypowiedzenia się.
Podniosłam się, zadzwoniłam w kieliszek i od serca zaczęłam
mówić.
Mówiłam, jak, młodziutką będąc, przybyłam do Krakowa po
światło, którego
pragnęłam. Jak mnie stary Kraków przygarnął, otoczył ciszą,
oświecił mi umysł i
wzmocnił ducha na życie całe. Jak tu znalazłam grono
przyjaciół dobrych i
spędziłam

najlepsze, najpiękniejsze lata mojej młodości. Jak potem,
pomimo że fale życiowe
odrzuciły mię daleko, zawsze myśl i serce pozostały przy
starym Krakowie. Aż oto
teraz znowu przyjmuje mię on tak serdecznie, i obdarza tak
hojnie, i kładzie mi
wianek na skronie, i te oto blade róże rzuca mi pod stopy, i
wlewa w me żyły
nową moc i odwagę. Więc gdy znowu odjadę i powrócę w
swe dalekie i zimne strony,
i znowu poczuję się samotną, to wspomnienie starego
Krakowa i tego dnia
dzisiejszego, największego w mem życiu, i tych wszystkich
obecnych, co raczyli

mi dać tyle, tyle szczęścia, wspomnienie to będzie mi
balsamem i kordyałem. A
więc z sercem do głębi wzruszonem i wdzięcznością
przejętem, piję za zdrowie
wszystkich obecnych, i piję też za pomyślność, i rozwój, i
szczęście starego
Krakowa, naszego ogniska, naszej świątyni, naszej ukochanej
Alma Ma ter!
Wszczął się gwar, wesołość, huk głosów i brzęczenie szkła. Ja
w tej atmosferze
gorącej, czułam się coraz bardziej podnieconą. Mówiłam,
śmiałam się, odważnie
zabierałam głos. Owiewała mię taka życzliwość i admiracya!
A na duszy było mi
tak lekko, tak lekko!
— I czemużby pani tu u nas nie mogła pozostać na stałe? —
spytał mię poeta
Uliński, który obok mnie siedział.
Prawda! Powinnaby pani tu na stałe się osiedlić — zaczął
dyrektor. — Tu dla
dramatycznych talentów jest właśnie...
— Ależ panie! — zaśmiałam się — ja mam męża...

Nagle urwałam. I spuściłam głowę w poczuciu, że
powiedziałam okropne głupstwo,
coś monstrualnie idyotycznego. I poczułam, że się zaczynam
straszenie,
kompromitująco czerwienić.
Bo i cóż do tego komu, że ja mam albo nie mam męża! Czy
mi ci panowie opowiadali

o tem, że mają lub nie mają żony? Ja tu przecie byłam nie jako «pani Michałowa Żarska», lecz jedynie jako «Hanna Lubińska», autorka oklaskiwanej premiery, dramatopisarka, literatka, jako świetnie jaśniejący talent, jako artysta, jako człowiek wreszcie. Indywidualność moja własna jedynie tu znaczyła. Co komu było do mojego męża! Gdybym nie męża, lecz dziesięciu miała kochanków, toby tu nie było nic zmienionego. Nie tylko moje sercowe sprawy, lecz moja pozycja socjalna nie miała tu żadnego znaczenia. Więc skądże mi się wziął ten arcyśmieszny wykrzyknik? Czyżby mi już ta obrączka małżeńska tak silnie wrosła nietylko w palec, ale i w mózg, i w krew, i w serce, czyżby mię już tak całą opasała, że już poza nią niema dla mnie istnienia? Że nawet teraz, w takiej chwili, sama nie umiem czuć się człowiekiem, lecz tylko żoną, żoną, żoną. I to w takiej chwili! Chyba naprawdę kobieta jest skazana na niewolę, jeśli taka jak ja, w chwili tryumfu i zwycięstwa, w chwili jedynej, słyszy wciąż brzęk kajdan i nie umie wyzwolić się, choć w myśli, ze swych więzów. Chyba jest skazana...

Tak byłam zawstydzona, że nie umiałam już do końca wieczoru odzyskać swobody i wesołości. Bo i inna myśl, wywołana wspomnieniem o mężu, wbiła mi się jak ćwiek do głowy, jak bolący ćwiek. Czemu jego tu niema? Czemu w ten najpiękniejszy dzień mojego życia, jesteśmy rozdzieleni? Czemu on i ja, to dwa światy odrębne, to dwie planety, krążące po oddzielnych drogach? Ach! czemu?...

Uczta zakończyła się późno w nocy. Na kilka następnych dni miałam jeszcze mnóstwo zaproszeń, rautów, obiadów, przyjęć. Więc odprowadzającym mnie do wyjścia, mówiłam: — Do widzenia jutro! Do widzenia pojutrze! — I ściskaliśmy sobie dłonie przelotnie, jak ci, co się za godzin parę znowu spotkać mają.

I z Wiktorem i z Tolą pożegnałam się do «jutra» u progu mego hotelowego numeru.

Bo jutro mieliśmy iść razem na jakąś wystawę, a potem razem na jakiś obiad, a potem razem tam i owdzie. Więc jeszcze zawołałam za odchodzącym Wiktorem:

— Niechże się tylko pan nie późni, mój panie Wiktorze!

— Nie, nie! Punkt o dwunastej. A teraz spoczywać na laurach.

Weszłam do swego numeru i zapaliłam świece. Mroczno tam było, pusto jakoś, a tak

cicho po tym gwarze! «Skończone», szepnęłam i usiadłam ciężko przy stole. Myśli,

wrażenia, obrazy, dźwięki kłębiły mi się pod czaszką. Byłam szczęśliwa, a razem

i smutna, a najbardziej, byłam zmęczona.

Ach! położyć się teraz i spać! Od tylu dni spałam jak najgorzej. Teraz wszystko skończone, mogę spać spokojnie. Wszystko skończone. Przez całe życie czekałam takiej chwili. Od miesiąca, jak tu jestem, tylko o niej myślałam. I przyszła. I przeszła. I już jej niema. Jak sen przeleciała, mignęła i znikła, i oto siedzę w numerze hotelowym, zmęczona, samotna... Ach! jakże samotna... Mówią mi jeszcze o tej chwili minionej te kwiaty, te afisze, ten stos depesz, który tu się piętrzy na stole i te blade róże, co mi więdną u stanika, śliczne, wonne róże, rzucone przez nieznaną rękę. Odpięłam je od sukni i do szklanki z wodą włożyłam. Zaczęłam się powoli rozbierać. Głowa mię bolała, więc z uczuciem ulgi wyjmowałam szpilki i włosy rozrzucałam na ramionach, te moje bujne włosy, które Mik tak lubił. Ach! Mik, Mik... To była bolączka... Nie chciałam o nim myśleć, byłam zanadto zmęczona. Więc już tylko, stojąc przy stole, zaczęłam depesze i listy otwierać. Były tam powinszowania z różnych stron, od krewnych, od znajomych, od dawnych kolegów. Wiedziano bowiem z gazet o «Dzikiem Mańce». «Ciekawam, czy od Mika nic nie będzie»... spytałam się nieśmiało i z bólem w

sercu, szukałam jego pisma. Nie było ani słowa. «Ignoruje całą tę stronę mojego życia, ignorować ją chce. A! niech

tam! Oglądać się na niego nie będę. Nic sobie nie mam do wyrzucenia, nie!

Wiedział, z kim się żeni. To on nie wypełnia umowy, on nie dotrzymuje obietnic, nie ja! Szkoda tylko, że z początku była zanadto uległa... At! egoizm męski...

Odwróciłam myśli od niego. I dalej czytałam depesze, kartki i listy. Było kilka od osób całkiem mi nieznanych, wyrażające zachwyt dla mych dawnych utworów i życzenia na dzień dzisiejszy. Były prośby o autograf... o fotografię.

Wreszcie otworzyłam dużą szarą kopertę i czytałam: «X. z października»... Co to jest? Spojrzałam na podpis: «J. Wiszniewski». Doktor Wiszniewski! Cóż mi on donosił? Nagle porwał mię strach. Mój Boże! cóż tam było w tym liście?...

Czytałam:

"Szanowna Pani, przepraszam, że się mieszam w nie swoje sprawy. Ale wiem, jak Pani męża kocha i jak wiele dla niego zrobiła. Więc widząc, że nieobecność Pani grozi może nawet i nieszczęściem, ośmielani się po przyjacielsku ostrzedz,

wracaj Pani, co prędzej do domu! Proszę sobie nie wyobrażać,
że się już coś
złego stało. Ale mąż Pani wygląda tak zgnębiony, a odzywa
się z tak dziwnymi
zamiarami, iż myślę, że Pani jedna na to poradzić potrafi.
Przepraszam raz
jeszcze, że przyjemny pobyt w Krakowie i sukcesy literackie
zatrzuwam, ale dobrze
życzę obojgu Państwu i dlatego ostrzegam. Proszę przyjąć i
t.d.»"

Resztę nocy przesiedziałam nieruchoma nad otwartym listem.
Nie myślałam nic, nie
czułam, nie oburzałam się, nie buntowałam, nie rozumowałam
wcale.
Gdy zaświtało, wstałam i zaczęłam rzeczy pakować.
Pakowałam porządnie, nie
spiesząc się, nie ociągając, dokładnie, jak automat. O ósmej
zadzwoiłam,
prosząc o rachunek, napisałam dwie kartki do Wiktora i do
Toli, a o dziewiątej
siedziałam w wagonie.
Przedemną na słupie ogłoszeniowym widniał jeszcze duży
afisz, którego widocznie
nie zdążono zmienić:

Pierwszy raz!

DZIKA MAŃKA

dramat w trzech aktach przez Hannę Lubińską.

Patrzałam i patrzałam w te czarne litery. Aż zaczęły się one
zasnuwać mgłą,
coraz gęstsza, coraz gęstsza i nagle poczułam, że mi łyzy jedna
za drugą spływają
po twarzy.
Ach! zostać tu! Wypić czarę sławy i uciechy do dna!
wysączyć do ostatniej
kropli! Raz człowiekowi tryumf, powiedział Wiktor. Więc pić,
i pić, i nie
odejmować ust od kielicha...
Jeszcze czas! Ani się spotrzega. Tola śpi jeszcze, a Wiktor o
dwunastej
przyjdzie. Nikt wiedzieć nie będzie...
Skinąć na tragarza, kazać mu rzeczy wynosić.
Rzuciłam się do drzwi...

Nie! Nie zostanę. Nie zostanę tu wśród kwiatów i laurów, bo
muszę wracać, do
męża. Muszę.
I chociaż oczy znowu zachodzą mi mgłą i litery na afiszu
znowu chwiać się i
rozpływać zaczynają i łyzy jedna za drugą padają mi na
zaciśnięte dłonie, ja nie
skinę na tragarza, i tu się nie zostanę, i dam się spokojnie, bez
oporu unieść
temu pociągowi, unieść z powrotem po tej drodze, po której
przed miesiącem
pędziłam ku sławie, ku tryumfom, ku wawrzynowym
wieńcom.

Nazajutrz, gdym o południu zadzwoniła do mieszkania swego,
Mika nie było w domu.

Pustka, i nuda, i czczość nieznośna, powiały na mnie z
każdego kąta. Ach! czyż

ja po tamtem potrafię żyć tem życiem?...

Ale Antoni dawał ujście swej wymowie i podając mi
śniadanie, szeroko i długo

rozpowiadał o wszystkim, co się tu stało. Słuchałam przez
piąte dziesiąte,

rozumiejąc, że nie od niego się dowiem o tem, co wiedzieć
chciałam. Że Mik był

zdrów, że żadna klęska na nas się nie zwała, to było jasne.

Więc co

spowodowało groźne ostrzeżenie doktora Wiszniewskiego?

O tem sam tylko Mik mógł mi powiedzieć.

Czekałam ze drżeniem obiadowej pory, o której on miał
wrócić. I gdy dzwonek

zadzwiećczał, wybiegłam do przedpokoju. Mik zdejmował
palto spokojnie, nie

spodziewając się niczego. Gdy mnie ujrzał, rozjaśniła mu się
twarz i z

okrzykiem: — Haniuś! — rzucił się do mnie.

Ale nagle powstrzymał się, przybrał wyraz zimny i grzeczny i
całując mnie w

rękę, wycedził: — Nie spodziewałem się twego powrotu. — A
potem dodał z

przekąsem: — Cóż to tryumfy krakowskie tak prędko się
skończyły?

A! więc tu była rana...

Postanowiłam rzecz całą odrazu wyjaśnić. Z nim nie było to trudne, nie bawił się nigdy w dyplomację i wolał każdą rzecz prosto z mostu załatwić. Więc i teraz, gdy go pociągnęła do salonu, zdała od oczu służby i postawiła pytanie: — Miku, ty coś do mnie masz? — jego twarz poczęła drgać i mienić się, a z ust jego wypadł okrzyk goryczy. — Co ja mam! To, że już nie mam żony! — I wybuchnął: — Tak! tak! Nie mam żony! Ja dla ciebie już nie istnieję, mnie niema. Tobie w głowie sława, honory, literatura! dramaty! Ty tylko ze swoimi tam literatami umiesz gadać. Czy ja nie widziałem, jak patrzałaś na Wiktora? Tylko oni są dla ciebie. A ja? Gdzieżbym ja był godny!... — Miku, opamiętaj się! Przez dziesięć lat przeszło pierwszy to raz rozstałam się z tobą i to dla tak ważnej przyczyny. Przez dziesięć lat raz jeden bawił tu dawny mój przyjaciel i kolega. Jakże możesz mówić... — Tak! Raz jeden! A twoje myśli, gdzie były? Ciagle tam, z nimi, przy nich. Ty tu jesteś z musu, z łaski... A twoje serce całe tam... całe... — Głos mu się załamał, zakrył twarz rękami. Lecz zerwał się znowu i mówił: — Nie mam żony! Przepadłaś dla mnie! I takiego życia nie chcę... nie chcę... nie

mogę! Likwiduję już swoje interesy, rozwiążę się ze
wszystkich tych spółek i
przedsiębiorstw, a wtedy, bądź spokojna! uwolnię cię od
siebie. Będziesz mogła
oddać się swojej literaturze. A ja ucieknę stąd, załajdaczę się,
zapiję, palnę
sobie w łeb, czy co u licha...

— Miku! Miku, zlituj się! Nie mów takich rzeczy...

Drżałam jak liść.

— Jak nie mam mówić! Kiedy mnie źle, kiedy już wytrzymać
nie mogę...

Rzucił się na kanapę i schował twarz w poduszki.

Była między nami długa chwila milczenia. Ja stałam bezradna,
skamieniała.

Otworzyła się przedemną przepaść. Co miałam robić? Ach,
Boże! wszystko przecież

gotowa byłam zrobić dla niego, dla mego Mika...

Zaczęłam powoli mówić, mówić o swej miłości, o swem
przywiązaniu, o tem, że

nigdy ani na chwilę nie dałam mu powodu o niem zwątpić. Że
jego oskarżenia są

całkiem nierozsądne, bo wieleż to żon odjeżdża! i na jak długo
nieraz! Że dziś

nawet, wracając, gdy tylko mogłam, najprędzej, dałam mu
dowód tej miłości, o

której on wątpi. Że, zajmując się pisaniem, nie myślałam,
abym jemu krzywdę

wyrządzała i że wołałabym sto razy nic w życiu nie napisać,
niż żeby on miał się

czuć nieszczęśliwym. Że, jeśli moje myśli były nieraz
gdzieindziej, to czemuż on

nie postarał się nigdy iść za niemi?...

— Ja nie jestem doktorem filozofii — mruknął — nie umiem bujać po obłokach.

— Miku! — zawołałam — jaki ty niesprawiedliwy! Przecież wiedziałeś, że jestem doktorem filozofii! Ja się z tem nie kryłam! A pomimo tej filozofii — zbliżyłam się do kanapy i starałam się zajrzeć mu w oczy — powiedz, powiedz, czy nie byłam ci dobrą żoną?

Mik zachnął się. Chciał mnie odsunąć. Ale usiadłam przy nim i przemocą zwróciłam

do siebie twarz jego. Twarz to była zmieniona, nosiła ślady długich utraień i

zgryzoty, jakieś gorzkie piętno na niej usiadło. Lecz nie było na niej tych

brzydkich linii, co mię dawniej tak niepokoiły, nie! tych nie było. A na

skroniach, włosy tak niedawno jasno złote i bujne, zaczynały się przeredzać i

świecić pasmami siwizny.

Trzymałam twarz tę najukochańszą w obu dłoniach i zdawało mi się, że tak, w

dłoniach moich, trzymam duszę jego, ten depozyt święty.

I w nas obojgu zaczęło się coś roztapiać, roztajały jakieś lody, trysło gorące

źródło tej wielkiej, głębokiej, tej potężnej naszej miłości.

Padliśmy sobie w

objęcia i zwarliśmy się mocno, mocno.

— I już mię nie porzucisz? — on mówił.

— Nie, Miku! nie!...

— I kochać mnie będziesz, jak dawniej?
— Ależ, Miku, ja ciebie z całej duszy Kocham.
— I będziesz moją, całkiem moją? Bo ja nie

chcę podziału! Ja, Haniuś, muszę cię mieć całą. Ja inaczej nie mogę.

— Wszystko zrobię... dla ciebie... — szeptałam.

Lecz nazajutrz, po dniu i nocy spędzonych na czułościach i pieśczościach, gdy Mik wyszedł do miasta, a ja zostałam sama w tym naszym ładnym, eleganckim mieszkaniu, pełnym artystycznych drobiazgów, starych obrazów, miłych dla oka barw i dyskretnych złocień, zrobiło mi się straszno. Czułam, że coś stoi nademną, coś groźnego i nieubłaganego jak Fatum. Ubrałam się co prędzej i wyszłam z domu. Marzył mi się las cichy nad rzeką i stary pień przewróconej wierzby, co w wodzie gałęzie swe kąpała. Tam myśli zbiorę. Tam zrozumieję, co się dzieje ze mną, dokoła mnie.

Poszłam prędko ku cichemu lasowi.

Dzień był jesienny, ciepły i mroczny. Niebo białawe nisko wisiało nad głową.

Żółte, i rdzawe, i bezlistne już drzewa stały nieruchome, w powietrzu była

wilgoć i wielka cisza. Nigdzie ani cieniów ostrzejszych, ani jaskrawych barw.

Rzeka płynęła szeroka. Ale nie tą radosną, błękitną falą dni letnich. Szara była

i mętna. I niebo nad nią tak nisko wisiało! zmęczone już i
wyblakłe. I ziemia
zielonością nie jaśniała, tylko wydawała z siebie zapach
zmokłych i gnijących
liści.

Wszystko było mdłe, rozpląnięte, ciche, zrezygnowane,
gotowe na śmierć. I było
dokoła ciche zamieranie. Zamieranie traw żółkłych i
kwiatków,

i barw, i woni. I całej natury, co się niedawno do życia
budziła, a dziś
układała się bez buntu na zimowy sen.
Więc ja, czegoż tu przyszłam? Ja, w pełni sił, młodości, sławy,
blasków, co mię
otoczyły. Ja, co się umiałam wybić ponad poziom i wzlecieć
do góry własnymi
skrzydłami, i teraz pływam w słońcu, i bujam w obłokach, i
rzucam tłumom istoty
żywe, ze mnie zrodzone, ciskam myślą, uczuciem, radością i
bólem, igram duszami
ludzkimi, wstrząsam niemi, rwę w strzępy, wyrzucam aż pod
gwiazdy, jestem panem
ich, władcą i stwórcą. A droga mi się ściele szeroka, coraz
wyżej i wyżej, w
kraję blasków podsłonecznych, ciszy i światłości
nadziemskiej, w ojczyznę
duchów wielkich, geniuszów, półbogów. Bo wszechwładną
wołą swą wywołuję Życie.
Ja... czegoż tu przyszłam... patrzeć na śmierć?...

A chociażby! I śmierć dla mnie nie straszna. Tam przecie, w
krakowskim teatrze,
u szczytu stojąc, zapragnęłam jej i gdy myślałam, że mi w
oczy zagłąda,
wyciągnęłam do niej ramiona. Przyjdź, Śmierci -
Wybawicielko! Przyjdź, Śmierci -
Przyjaciółko!
Nie! nie ona mi teraz grozi, ani na mnie nie czeka.
Więc co? Więc czegoż się lękam?
Ach! bo lękam się tak strasznie! Drzę cała, tchu mi brak, pot
mi występuje na
skronie przed tem czemś, co ku mnie idzie...
Ach, bo idzie ku mnie, idzie nieubłagane, srogie...

Ale co?... Ale co?...

Nie! dość tego tchórzostwa! Spojrzę wrogowi oko w oko.
Spojrzałam w głąb mojej duszy. I dostrzegłam coś tak
straszego, żem się porwała
i biegłam brzegiem rzeki, byle uciec, byle się skryć przed tą
okrutną, przed tą
groźną i zimną świadomością.
«Nie! Nie! Tego nie poświęcę!» — mówiły moje usta.
«Musisz!» dzwonił mi w duszy głos jakiś.
«Nie! Nie zaprę się całej przeszłości, nie zdradzę ideałów, nie
wypuszczę z rąk
zdobyczy!» powtarzały usta.
«Musisz!» wydzwaniał mi głos w głębi.
«Nie, nie! Nie chcę. Nie mogę.
Upadłam na wilgotną ziemię.
I rozegrała się we mnie burza. I rozdarło się znowu moje serce
na dwie części,

na dwie krwawiące połowy. A w głębi, jak rozpalonem
żelazem wyryte, gorzały
słowa: «Nie można dwom panom służyć».
Nie można! Nie można! tętniało mi w głowie.
«Dlaczego nie można!» porwałam się oburzona. Jakąż
krzywdę przynoszę mężowi? Czy
mu nie byłam przez tyle lat dobrą, wierną, oddaną żoną? Czy
go nie ratowałam w
każdej biedzie? Czy nie czuwałam nad nim, jak nad źrenicą
oka? Czyż w każdej
chwili nie wstawałam od najciekawszej pracy i nie biegłam na
jego zawołanie?
Czyż mu cierni i kamyków nie usuwałam z pod nóg i nie
wspierałam na dobrej
drodze? Czyż nie pragne-

łam i jego za sobą poprowadzić na wyżyny i przed nim
otworzyć bramy górnych
pałaców, i jego posadzić przy biesiadnym stole, i jemu dać pić
z mojego źródła!
Ach! jak pragnełam! Lecz gdy nie zechciał, czyż nie
schodziłam codziennie ze
swych górnych siedzib, i czy nie szłam z nim razem, obok
niego, po nizinnych
drogach? Byleby razem! Czy dla niego, dla jego zadowolenia,
dla jego kaprysu
może, nic wtłoczyłam ducha swego we wstrętne mi karby, nie
rozdrobiłam istoty
swej na marne okruszyny, czy nie rozmieniałam złotego mego
skarbu na nędzne

miedziaki? Czy nie wkładałam hamulce na każdy swój
silniejszy poryw?
Dla niego! Dla niego!
Przez dziesięć przeszło lat, raz mu odmówiłam towarzyszenia.
I to gdzie? Na
sezon w Ostendzie! I raz sama wyjechałam na miesiąc.
Oto są moje grzechy względem męża, jedyne! Opuszczenia w
tej służbie...
Chciałabym widzieć rachunek sumienia innych żon.
A zresztą... wiedział, kim jestem i przyrzekał nie stawiać
przeszkód. Dziś to
tylko męski egoizm... chęć absolutnego władania, zaborczość,
samolubstwo.
I ja miałabym temu uleść? Uleść, czując, że w niczem nie
zawiniłam?
Nie! Wszystko wolę, niż...
Wszystko wolę? Czyż tak? Wszystko?... A więc, może i jego
utracić?...
E! skąd znowu! Nie trzeba dramatyzować.
A jednak ta twarz, drgająca bólem, te włosy,

tak niedawno jasne i bujne, a dziś świecące na skroniach
pasmami siwizny, to
silne, męskie ciało, wijące się w rozpacz, i ten głos złamany,
szarpany z
wewnątrz, mówiący: «A twoje myśli? Gdzie były? Ciągle tam
z nimi. A twoje serce?
Całe tam... całe»... I ten krzyk okropny: «Przepadłaś dla mnie!
Już nie mam
żony!»

Nie, to nie była przelotna chmurka na naszym horyzoncie, to nie był kaprys, co się daje pocałunkiem rozpędzić.

To był dramat.

Mniejsza o to, czym był wywołany, czy mojem służeniem dwom panom, czy jego męskim egoizmem. Ale był.

A wobec tego?...

Wobec tego, to było jasne. Choćby za mną było i prawo i sprawiedliwość, ja nie

mogłam dalej dwom panom służyć. Należało wybrać.

Usiadłam pod drzewem i starałam się myśleć spokojnie.

Po jednej stronie stał Mąż. Wybrany dobrowolnie, ukochany sercem i zmysłami,

budzący we mnie dotychczas gorące zapały i miłość. Mąż, dla którego już niejedną

łzę wylałam, lecz z którego dziś tembardziej dumną być mogłam, że dusza jego

była trochę, jakby mojem dziecięciem, marnotrawnem dziecięciem, które do ogniska

wróciło. Człowiek kochający mnie samolubnie może, ale prawdziwie. Człowiek,

którego życie, cnotę, przyszłość całą ja w swem ręku trzymałam, który na mnie

polegał.

Po drugiej stronie stała Sztuka. Ukochanie mojej młodości, dążenie najlepszych

sił moich, ambicya jedyna mojego życia. Pani moich myśli, moja kochanka, i moje

bóstwo, i dusza mojej duszy! Sztuka, której długo wysługiwać się musiałam, aż
nareszcie otwarła mi swe podwoje, przygarnęła i przytuliła, i
wieńcem ozdobiła
me skronie. Na stromym szczycie stała, zimna i niedostępna
dla wielu, dla wielu,
co konali z wysiłku u jej stóp. Miałażbym ja, przygarnięta
łaskawie, od niej się
odwrócić!
Mąż i Sztuka. Stali naprzeciw siebie, jak dwaj wrogowie.
Ach! dlaczego ta nienawiść!
Dlaczego? Nie czas o tem myśleć. Nienawiść jest straszna,
zabójcza i walka już
się toczy na krwawem polu mojego serca.
Staralam się myśleć spokojnie, naukowo.
Mam więc dwie alternatywy. Mąż albo Sztuka. Czy trzecia
droga, godzenie obojga,
jest niemożliwą? Niestety, ośm lat próby doprowadziło do
fatalnego dzisiejszego
rezultatu. Uczciwość każe przyznać, że zrobiłam na tej drodze
fiasco. Ach,
Wiktorze! prorocze były słowa twoje!
Więc pozostają: Mąż albo Sztuka. Wybór nieunikniony.
Ach! nie traćmy czasu na szamotanie się z oczywistością, lub
na czcze żale. Co
pomoże gorycz i oburzenie? Fakt jest faktem, dajmy, że
niesprawiedliwym, ale
jest. I temu faktowi, jakim on

jest, należy spojrzeć w oczy. I tak, muszę: albo przestać pisać,
albo męża

porzucić.

Co wybrać? Ach, Boże... co?...

Okropny ból, z niczem nie porównany, zaczął mną szarpać.

Przez chwilę nie mogłam

wcale myśleć. Oparta o drzewo siedziałam nieruchoma. Jak

człowiek, stojący nad

przepaścią, lękałam się poruszyć, aby w nią nie runąć.

I znowu stanęło przedemną zadanie do rozwiązania. Więc

mam do wyboru: albo

przestać pisać, albo męża porzucić.

Pomijając kwestię obowiązku, sumienia, zasad, złego i

dobrego, zrozumieć muszę w

sobie jedno; bez czego łatwiej mi żyć?

Czy mogę wyrzec się męża? Porzucić go i żyć zdała od niego?

I zostawić go na

pastwę żalowi? Wyrzec się mojego Mika! Nie! tego nie mogę.

A czy mogę wyrzec się Sztuki, rozkoszy tworzenia? Zasklepić

to źródło ze mnie

bijące i zamilknąć na wieki? Czy mogę?...

Długo, długo siedziałam nieruchoma. Patrzałam w tę

przyszłość szarą, w te

szeregi dni bezbarwnych, w te padoły i w te niziny, co się

rozesłały przedemną i

ciągnęły się aż do grobu, tam w dole. Wspominałam moje

górne szczyty i samotne,

chłodne przestworza, i moje zaświatowe loty, i rozkosze

prometejskie, i laurowe

gaje, i blaski i gwiazdy moje.

Porzucić to wszystko?

Dla niego! Dla tej miłości, która dziś bez ofiary ostać się już

nie może. Dla

tej małżeńskiej obrą-

czki, co nie darmo jest symbolem niewoli, bo nietylko
przykuwa ciało do ciała,
lecz i duszę z duszą zwiążuje. Porzucić... Skazać na zagładę i
śmierć tę część
mojego ducha, która się w obrączkę nie daje wtłoczyć i
żadnego ziemskiego pana
nad sobą nie znosi i wolną jest, i samotną, i dumną.
Tę część mojego ducha skazać na śmierć, dla niego!
Czy mogę?... Czy mogę?..
Z głębin jakichś nieznanych znowu przemówił do mnie głos:
«Musisz!»
Pochyliłam głowę nisko, nisko ku ziemi i odpowiedziałam:
«Tak, muszę i mogę».
I naraz potoki łez wytrysły mi z oczu.
Nie wiem, jak długo szlochałam tam i wiłam się w
wewnętrznym bólu, leżąc na
ziemi, pod ciemnymi sosnami, co nademną szumiały. Całe,
zda się, życie moje
wylewałam w potokach łez gorących, rześzystych.
Aż powoli, powoli, zaczęło spływać na mnie Ukojenie. Powoli
zamierał Bunt,
wstawała Rezygnacja.
Szła ona od tego nieba wyblakłego, co lepsze dni widziało,
od tych drzew, co
tak posłusznie odzierały się z liści i pozostawały nagie i
smutne, i od ziemi
tej, co się układała do zimowego snu. Od tej Ziemi-Matki, co
wkrótce, za dni
niewiele,, otworzy i dla mnie swe miłościwe łono i utuli mnie,
i przykuje, i do
wiecznego snu ukołysze.

O, Ziemi-Matko! byle prędzej!...

Więc czemże, wobec wiecznego snu, co nas już... już
ogarnia... czemże są nasze
tu sny o potędze, sny o wielkości i chwale?... Czemże, wobec
wielkiego słońca,
do którego lecimy, nasze marne płomyki i blaski sławy?...
Gzem, wobec
nieskończoności czasów i wieków, nasze śmieszne marzenia o
nieśmiertelności?...

A gdy najpotężniejszy wśród nas jest tylko jedną falą nikłą na
bezgranicznym
oceanie, iskierką wyrzuconą z pędzącego naprzód parowozu,
trawką wykwitłą z
olbrzymiej łąki, ziarnkiem piasku w pustyni. I gdy największy
duch jest tylko
jednym odetchnieniem przedwiecznej piersi, jednym
uderzeniem serca wszechświata.

I gdy wszystko i wszyscy musimy się rozpuścić, i zniknąć, i
utonąć w wielkiej
Niewiadomej, to cóż jest pewnego? Co stałego? Co godnego
starania i troski?

Stałem i pewnem, i przez wieki przeszłe wiekom następnym
podawanem, jest jedna
tylko Miłość. Ona jedna nie ginie, jedna się nie ulatnia i nie
rozpływa, ona
jedna trwa. Ona zostaje po nas, gdy ciało i kości nasze dawno
już się stały
pastwą robactwa. Ona jedna nas, przelotne iskry, zespała z
wielkim Ogniskiem.

Miłość! Ją z siebie prząść i prząść, i omotać nią blizkich i dalekich, i związać się przez nią z światem całym, z zaświatem, z nieśmiertelną Myślą.

Wyrzec się blasków, wznieść się ponad tę biedną ziemię, spojrzeć na nią z góry, nauczyć się wszystko rozumieć, wszystko przebaczyć, za-

pomnieć o własnym, marnem ja, a snuć tylko Miłość...

* * *

Powoli, w ciszy lasu, w łagodnym szurnie drzew, zaczęła się uspakajać moja

dusza. Po walce, po burzy, po łzach wylanych, po przebytej męce, powoli wsiąkała

w nią Rezygnacja.

Szła ku mnie ze smutnej rzecznej fali i z tych wybladłych, jakby wyplakanych

barw, i z nieba zmęczonego, i z zestarzałej i zwiędłej ziemi.

Szła ku mnie cicha, rozplakana, lecz słodko uśmiechnięta.

Kładła mi dłonie na

głowie i nisko, nisko chyliła mię ku ziemi, a do ucha szeptała:

«Musisz!»

Taki był koniec mojej literackiej karyery. Tegoż samego dnia wszystkie notatki,

rękopisy, rzucone na papier urywki, pozbierałam skrzętnie, zawinęłam, obwiązałam

i zapieczętowałam wielką pieczęcią z herbem Żarskich. Tam też spoczęła wiązanka

białych róż, zaschniętych już, którą mi rzucono w teatrze krakowskim. Paczka ta,

nienaruszona, spoczywa dotychczas na dnie mojego biurka.
Małżeńska moja karyera trwała jeszcze lat kilkanaście aż do
śmierci mojego Mika.

Umarł przed dwoma laty na mojem ręku.

Z jego śmiercią i moje życie skończone. Nie mam żadnej racy
i żadnego już
motoru do życia.

Dziś patrzę na lata ubiegłe, patrzę beznamiętnie, obiektywnie,
jakby o naukową

zasadę chodziło i pytam: Gdzie wina?

I odpowiadam: Wina leży w kobiecem sercu. Zanadto ono
kocha, zanadto się oddaje,

zanadto się całe umieszcza w małżeńskiej obrączce. Cóż
dzianego, że jest

nieocenione i wyzyskane? O prawa swoje, chociaż je ma,
chociaż je czuje, walczyć
nie umie.

Lecz dalej przypominam z własnego życia tę chwilę przełomu,
gdy poświęcając

wszystko, co najdroższe mi było, dla niego! ujrzałam prawdę
wielką, co nad

światem świeci. Prawda to była ta: że stałem i pewnem jest
jedna tylko Miłość.

Ona jedna nie ginie i nie rozplywa się w śmierci, ona jedna
trwa, ją wieki

przeszłe przekazują następnym wiekom, ona nas, przelotne
iskry, zespala z

wielkiem Ogniskiem.

Więc pytam znowu: kobiece serca, wy, co zanadto kochacie,
czy nie wy jesteście

właśnie zbiornikami tej Miłości, co naszą biedną ludzkość
łączy z jej przyczyną
i z jej celem? Czy nie przez was przechodzi ta nić złota, której
początek gdzieś
uwiązany u przedwiecznego progu? Czy nie wasze to
przywiązania, bóle i rozkosze
utrzymują na marnej naszej ziemi ogień święty,
prometeuszowe, twórcze płomień?
Czy nie są one właśnie całopalną ofiarą za tę powódź zbrodni i
gwałtu, którą
puściły na świat męskie rządy? Czy nie wasze to kochające, a
najczęściej
zbolełe, serca utrzymują jeszcze pewną równowagę na
wielkiej szali świata? Czy
wa-

sza pozorna słabość w Miłości nie jest największą siłą i
najwznioślejszą potęgą?
Co do mnie, jeśli są jeszcze czasem chwile buntu i żalu za
tem, co być mogło, a
nie było, to są to chwile rzadkie. Zwykle moja dusza jest
spokojna. Nie ronię
łez za przeszłością, niczego nie żałuję i wiem, że jeśli sama
nie byłam
szczęśliwą, to dużo dałam szczęścia i snułam długą nić
Miłości.
Lecz teraz już jestem zmęczona. Wyciągam ramiona do
Śmierci-Wybawicielki, do
Śmierci-Przyjaciółki! I wołam do niej: «Przyjdź! i bądź
błogosławiona!»

KONIEC.